

Rozdział pierwszy

Barat, Turcja 11 czerwca

Wynoś się stamtąd, Saro! - ryknął Boyd z wnętrza dołmu. - Ta ściana w każdej chwili może runąć.

- Mont y coś znalazł. - Sara ostrożnie przesunęła się do sterty gruzów, gdzie warował golden retriever. - Stój spokojnie, chłopie. Ani kroku.

Dziecko?

- Skąd wiesz?

Mont y zawsze miał nadzieję, że to będzie dziecko. Kołchał dzieci, toteż widok zabitych czy poranionych malców dobijał go. Mnie też - pomyślała ze znużeniem Sara. Załwsze najbardziej podle się czuli, odnajdując dzieci i starców. Tak niewielu przeżywało katastrofę. Ziemia drżała, ściany waliły się i życie uchodziło, jakby go nigdy nie było.

Zwijamy się.

- Jesteś pewien? Ale już.

- No dobra. - Bezwiednie poklepała Monty'ego po łbie, wpatrując się w ruinę. Drugie piętro małego domku zapadło się, więc praktycznie nie było szans, by ktoś żywy uchołwał się pod gruzami. Nie słyszała jęków ani szlochów. Sprowadzając do budynku jeszcze kogoś z zespołu poszukiwawczo-ratowniczego, dałaby dowód braku odpowiedzialności. Sama powinna się stąd zabierać.

Dziecko?

Co do diabła? Przestań marnować czas. Wiedziała, że nie wyjdzie, póki wszystkiego dokładnie nie przepatrzy. Wzięła taboret i odrzuciła go na bok.

- Idź do Boyda, Monty.

Retriever usiadł i patrzył na nią.

- Ciągle ci powtarzam, że przecież jesteś zawodowcem. To znaczy, że masz słuchać rozkazów, do cholery.

Czekaj.

Zrzuciła poduszkę i pociągnęła fotel. Rany, ale był ciężki.

- Teraz nie możesz mi pomóc.

Czekaj.

- Rusz się stąd, Saro! - ryknął Boyd. - To rozkaz. Minęły już cztery dni. Nie ma szans, żebyś znalazła kogoś żywego. - A tamtego faceta w Tegucigalpa odkopaliśmy po dwunastu dniach. Zawołaj Monty'ego z łaski swojej, Boyd.

- Mont y!

Monty ani drgnął. Właściwie tego się spodziewała, ale ... a nuż?

- Głupie psisko. Czekaj.

- Jeśli masz zamiar tu zostać, przyjdę ci pomóc - rzekł Boyd.

- Nie, zaraz wychodzę. - Sara spojrzała czujnie na południową ścianę, po czym odciągnęła materac na bok. - Tylko się rozglądam.

- Daję ci trzy minuty. Trzy minuty.

Gorączkowo ciągnęła rzeźbioną deskę u wezłowią. Mont y zaskomlał.

- Ciii... - W końcu odsunęła deskę na jedną stronę. I wtedy ujrzała rękę.

Taką małą, delikatną rączkę, ściskającą różaniec ...

*

- Trafiałś na kogoś? - zapytał Boyd, gdy Sara wyszła z domu. - Wysłać zespół?

- Nie żyje. - Tępo pokręciła głową. - Kilkunastoletnia dziewczynka. Chyba od dwóch dni. Nie ma co niepotrzebnie nadstawiać karku. Tylko oznakuj to miejsce. - Pociągnęła smycz. - Wracam do przyczepy. Muszę zabrać stąd Monty'ego. Wiesz, jak to go wytrąca z równowagi. Wracam za parę godzin.

- Jasne, tylko on jest wytrącony z równowagi. - Ton, którym mówił Boyd, ociekał sarkazmem. - Dlatego trzęsiesz się jak listek.

- Nic mi nie będzie.

- Nie waż mi się wychodzić z przyczepy aż do jutra rana. Nie spałaś od trzydziestu sześciu godzin. Wiesz, że wy-czerpani ratownicy są niebezpieczni dla siebie i ludzi, którzy starają się pomóc. Strasznie głupio się zachowałaś, podejmując takie ryzyko. Zazwyczaj wykazujesz więcej rozsądku.

- Monty był pewien, że tam ktoś jest ... - Dlaczego tak się upiera? Boyd ma rację. Przeżyć w takich sytuacjach można tylko wtedy, gdy przestrzega się reguł i nie działa bez namysłu. Powinna trzymać się instrukcji. - Przepraszam, Boyd.

- I słusznie. - Spojrzał na nią spode łba. - Należysz do moich najlepszych ludzi i nie chciałbym, żeby wyrzucono cię z zespołu za to, że kierujesz się sercem, a nie rozumem. Narażasz na niebezpieczeństwo nie tylko siebie, ale i psa. Co byś zrobiła, gdyby ściana runęła i przygniotła Monty'ego?

- Nie przygniotłaby Monty'ego. Przykryłabym go własnym ciałem, a ty odkopałbyś mnie spod ściany. - Uśmiechnęła się słabo. - Wiem, kto tu jest pierwszą gwiazdą.
- Bardzo zabawne. - Potrząsnął głową. - Tyle że ty wcale nie żartujesz.
- Nie. - Potarła oczy. - Trzymała w ręce różaniec, Boyd.

Musiała go chwycić, kiedy trzęsienie się zaczęło. Ale nie pomógł jej!

- Jak widać, nie.

- Mogła mieć najwyżej szesnaście lat i była w ciąży.

- A niech to szlag!

- Owszem.

Delikatnie pociągnęła Monty'ego za smycz. - Zaraz wracamy.

- Nie słuchasz. Ja jestem kierownikiem tej wyprawy,

Saro. Chcę, żebyś odpoczęła. Prawdopodobnie odnaleźliśmy wszystkich, którzy przeżyli. Chyba jutro stąd ruszymy. Rosjanie dokończą poszukiwania zwłok.

- Tym bardziej powinniśmy pracować dopóty, dopóki nie przyjdzie rozkaz. Zaden z rosyjskich psów nie ma nosa Monty'ego. Wiesz, że jest niesamowity.

- Sama masz niezłe notowania. Pewnie się orientujesz, że inni członkowie zespołu robią zakłady, czy rzeczywiście potrafisz odczytywać psie myśli.

- To dość głupie. Wszyscy dobrze znają swoje psy. Wiadzą, że jak się jest w bliskim kontakcie ze zwierzęciem, można całkiem dokładnie odgadnąć, co mu chodzi po głowie. - Ty to co innego.

- Dlaczego w ogóle rozmawiamy na ten temat? Rzecz

w tym, że Monty jest wyjątkowy. Już wcześniej zdarzało się, że odnajdywał ocalałych, gdy wSZYSGY potracili nadzieję. Dzisiaj też jeszcze może kogoś znaleźć.

- To mało prawdopodobne. - Odeszła parę kroków. -

Mówię poważnie, Saro.

Odwróciła się.

- A ty kiedy ostatnio spałaś, Boyd?

- To nie twój interes.

- Czyń, jako mówię, a nie jako sam czynię? Zobaczymy

się za parę godzin. - Słyszała, jak zaklął za jej plecami, gdy ostrożnie stapała pomiędzy gruzowiskiem ku rzędowi przyczep u stóp wzgórza. Boyd Medford był porządnym, rozumnym człowiekiem i dobrym kierownikiem zespołu. Ale czasami nie mogła myśleć trzeźwo. Zbyt wiele ofiar. Zbyt mało ludzi udało się uratować. O Boże, zbyt wiele zwłok ...

Różaniec ...

Czy ta nieszczęsna dziewczyna miała czas pomodlić się za siebie i swoje dziecko, nim ją zmiażdżyło? Prawdopodobnie nie. Trzęsienia ziemi przebiegają w okamgnieniu. A może śmierć nadeszła błyskawicznie i dziewczyna nie cierpiała?

Monty przycisnął się do jej nogi. Smutny.

- Ja też. - Otworzyła Monty'emu drzwi przyczepy. -Zdarza się. Może następnym razem będzie to inaczej wyglądało.

Smutny.

Napełniła Monty'emu miskę z wodą. - Napij się, chłopie.

Smutny. Położył się przed metalowym naczyniem. Napił się szybko, lecz odczekała ze dwie godziny, nim

go nakarmiła. Był zbyt zdenerwowany, by jeść. Nie mógł się przyzwyczaić do odnajdywania zwłok. Ona też nie.

Usiadła na podłodze obok Monty'ego i objęła go.

- Wszystko będzie dobrze - wyszeptala. - Może następnym razem znajdziemy żywego małego chłopca, tak jak wczoraj. Czy rzeczywiście wczoraj? Podczas wyprawy dni się zacierały. -

Pamiętasz to dziecko, Monty?

Dziecko.

- Zyje dzięki tobie. Dlatego musimy ciągnąć dalej te poszukiwania. Nawet jeśli to tak boli. - Boże, a bolało naprawdę. Widok tak zdenerwowanego Monty'ego sprawiał jej ból. Bolała ją wspomnienie dziewczyny ściskającej różaniec. Bolała świadomość, że prawdopodobnie nikogo żywego już nie znajdą.

Ale to nie było takie pewne. Póki prób, póty nadziei. Zamknęła oczy. Była zmęczona i czuła wszystkie mięśnie.

No i co z tego? Później będzie miała czas na długi odpoczynek. Teraz potrzeba jej zaledwie kilku godzin snu, by dojść do siebie.

- Chodź, zdrzemniemy się. - Wyciągnęła się obok retrievera. - A potem pójdziemy sprawdzić, czy nie znajdzie się jeszcze kogoś żywego w tej piekielnej dziurze.

Monty skomlał cicho, opierając łeb na przednich łapach. - Ciii. - Zanurzyła twarz w jego sierści. -

No, już w porządku. - To nie było w porządku. Śmierć nigdy nie jest w porządku. - Jesteśmy razem. Robimy, co do nas należy. Musimy jakoś przebrnąć przez kilka następnych dni. Po tem wrócimy na ranczo. - Zaczęła głaskać go po głowie. -Będziesz zadowolony, prawda?

Smutny.

Bolał ją widok zwierzęcia, ale zazwyczaj bywało gorzej.

Czasami ciężiej przeżywał pojedyncze przypadki. Nie chodzi o to, że uodpornił się na masy ofiar, z którymi się stykał w większych katastrofach. Rzecz raczej w tym, że pracowali właściwie bez przerwy i reakcja następowała z opóźnieniem. Za parę godzin Monty znowu będzie gotów do akcji. A ona?

Przyjdzie do siebie. Tak jak powiedziała Boydowi.

Ostatnie kilka dni były zawsze najgorsze. Nadzieje rozwiewały się, rozpacz stawała się coraz większa, a umysł i serce ogarniała nieznośna żalność.

Ale wiedziała, że ją zniesie. Trzeba znieść smutek, gdyż gdzieś może jeszcze czekać ktoś, kto będzie zgubiony, jeśli nie znajdzie go Sara wespół z Montym.

Monty przewrócił się na bok. Spać.

- Tak, powinniśmy się przespać. - Śpij, przyjacielu, i ja też się zdrzemnę. Niech zniknie wspomnienie różańców i nie narodzonych dzieci. Niech zniknie śmierć i powróci nadzieja. - Chociaż chwilka oddechu ...

Santa Camaro, Kolumbia 12 czerwca

- Ile ofiar? - zapytał Logan.

- Cztery. - Wargi Castletona zacisnęły się ponuro. - A dwaj mężczyźni w stanie ciężkim leżą w miejscowym szpitalu. Czy możemy już wyjeżdżać? Rzygać mi się chce od tego smrodu. Czuję, że to wszystko moja wina. To ja wynająłem Bassetta do tej roboty. Lubilem go.

- Za moment. - Spojrzenie Logana błędziło po wypalonych ruinach, w które tak niedawno obrócił się najnowocześniejszy ośrodek badawczy. Upłynęły zaledwie trzy dni, lecz dżungla już odzyskiwała swoje terytorium. Trawa kiełkowała pośród zwalonych drzew, pędy pobliskich

końców wyciągały się ku zawalanej budowlu, usiłując zamknąć ją w makabrycznym uścisku. -
Udało ci się odzyskać jakieś fragmenty pracy Bassetta?
- Nie.
Logan spojrział na ciemnoczerwonego skarabeusza, którego trzymał w dłoni.
- I Rudzak przysłał mi to dziś rano?
- Chyba tak. Znalazłem go na stopniu z przyczepionym
do niego twoim nazwiskiem. - To był Rudzak.
Spojrzenie Castletona przesunęło się od skarabeusza do
twarzy Logana.
- Bassett ma żonę i dziecko. Co im powiesz?
- Nic.
- Jak to nic?! Musisz ich zawiadomić, co się stało z Bassettem.
- A co mam im powiedzieć? Nie wiemy, co się z nim stało. Na razie. - Odwrócił się i ruszył w
kierunku dżipa.
- Rudzak go zabije - rzekł Castleton, idąc za nim.
- Możliwe.
- Dobrze o tym wiesz.
- Myślę, że na początku będzie próbował ubić z nami
interes.
- Okup?
- Możliwe. Chce czegoś, bo inaczej nie porywałby Bassetta.
- I będziesz się układał z tym łajdakiem? Po tym wszystkim, co zrobił twoim ludziom?
- Układałbym się z samym diabłem, gdybym mógł wydobyc z niego to, co chcę.
Takiej odpowiedzi Castleton się spodziewał. Gdyby John Logan unikał konfrontacji, nie stałby się
jednym z największych potentatów ekonomicznych na świecie. Jeszcze przed czterdziestką zarobił
miliardy na swej firmie komputerowej i innych przedsięwzięciach.
A teraz ryzykował życie kilku uczonych, by zgarnąć gigantyczne zyski, jakie dałoby się
wyciągnąć z tego projektu. Niektórzy sądzili, że nikt, kto ma choć odrobinę sumienia, nie
zbudowałby takiego urządzenia, wiedząc, jakimi konsekwencjami może ...
- No, dalej - Logan wpatrywał się w niego. - Powiedz to głośno.
- Nie powinieneś tego robić.
- Wszyscy znaleźli się w tym obiekcie z własnej woli.
Powiedziałem im zgodnie z prawdą, w co się pakują. Uważali, że warto.
- Ciekawe, jak się czuli, kiedy dosięgły ich kule. Nadal uważali, że było warto?
Logan ani okiem nie mrugnął.
- Kto, do diabła wie, za co jest sens umierać? Chcesz się wycofać, Castleton?!
Owszem, chciał się wycofać. Sytuacja stawała się zbyt groźna i skomplikowana. Wolał unikać
jednego i drugiego, toteż przeklinał dzień, w którym się w to wplątał.
- Wyrzucasz mnie?
- W żadnym razie. Potrzebuję cię. Wiesz, jak tu wszyst-
ko działa. Głównie dlatego cię zatrudniłem. Ale rozumiem, że wolisz trzymać się z daleka od tego
wszystkiego. Dostaniesz swoją forszę i dam ci wolną rękę.
- Dasz mi wolną rękę?
- Mogę cię zmusić do działania - rzekł ze znużeniem Lo-
gan. - Znalazłbym sposób, gdybym się postarał, ale odwaliłeś dla mnie kawał dobrej roboty i nie
mam zamiaru zatrzymać cię siłą. Spróbuję znaleźć kogoś innego na twoje miejsce.
- Nikt mnie nie może do niczego zmusić.
- Rób jak chcesz. - Logan wszedł do dżipa. - Zawieź
mnie na lotnisko. Muszę się wziąć do pracy. Będę miał kłopoty z miejscową policją?
- Sam wiesz doskonale. W zagłębiu narkotykowym wzgórza są wysokie. Lepiej nie zadawać pytań.
Policja po prostu odwraca wzrok. - Uśmiechnął się gorzko, włączając silnik. - Czy to nie dlatego
zbudowałeś urządzenie właśnie

tutaj?

- Owszem.

- I nie pozwolą ci wyrwać Bassetta z łap Rudzaka. Bassett to trup.

- Jeśli jeszcze żyje, sprowadzę go z powrotem.

- W jaki sposób? Zapłacisz?

- Zrobię, co będzie trzeba.

- To niemożliwe. Nawet jeśli złożysz okup, Rudzak i tak go zabije. Nie przypuszczasz chyba ...

- Wydobędę go spod ziemi. - W głosie Logana nagle zabrzmiała twarda nuta. - Słuchaj, Castleton. Możesz uważać, że jestem sukinsynem, ale nie uchylam się od odpowiedzialności. Zginęli moi pracownicy i chcę dorwać drańni, którzy ich zabili. A jeśli uważasz, że pozwolę im wykończyć mojego człowieka albo wykorzystać go, żeby mnie dopaść, to jesteś w błędzie. Znajdę Bassetta.

- W środku dżungli?

- W środku piekła. - Głos Logana był ostry jak brzyt-

wa. - Opowiadasz mi, jak ci przykro i jakie powinienem mieć poczucie winy. Nie mam czasu na poczucie winy. Zawsze uważałem, że to jałowe biadolonia. Rób, co do ciebie należy, ale nie opowiadaj mi, że coś jest niemożliwe, póki nie spróbowałeś, nie wyszło ci, i nie spróbowałeś znowu. Na to nie pójdę.

- Nie musisz na to iść. Wcale nie proszę cię, żebyś ... - Zwężonymi oczyma spojrzął Loganowi w twarz. - Usiłujesz mną manipulować.

- Doprawdy?

- Doskonale o tym wiesz.

- Spryciarz z ciebie. Mogłeś się tego spodziewać. Jestem tak bezwzględny, jak ci się wydaje, a mówiłem już, że cię potrzebuję. Castleton milczał przez chwilę.

- Naprawdę uważasz, że masz cię szansy na uratowanie Bassetta?

- Jeśli żyje, sprowadzę go z powrotem. Pomożesz mi?

- A co mam robić?

- To, co robiłeś do tej pory. Smaruj łapy i dbaj o moich ludzi. A nawiasem mówiąc, chciałbym, żeby jak najszybciej opuścili szpital i wrócili do domu. Tu zbyt wiele im zagraża. - I tak się miałem tym zająć.

- I miej uszy otwarte, a gębę trzymaj zamkniętą na kłód-

kę. Jeśli nie będzie mnie w pobliżu, Rudzak najprawdopodobniej najpierw skontaktuje się z tobą. - Uśmiechnął się krzywo. - Nie przejmuj się, nie poproszę cię, abys kładł głowę na szafot. Zbyt cię cenię pod innymi względami.

- Nie jestem tchórzem, Logan.

- Nie, ale to nie należy do twojej działki. Do każdej ro-

boty zawsze zatrudniam odpowiedniego człowieka. Zapewniam cię, że bez wahania wpakowałbym cię do niej, gdybym uznał to za stosowne.

Castleton uwierzył mu. Nigdy nie widział Logana w takim stanie. Zazwyczaj ten rys pozbawionej skrupułów bezwzględności starannie ukrywał pod maską ujmującego uroku. Nagle przypomniał sobie liczne opowieści na temat podejrzanych znajomości Logana we wczesnych latach jego kariery, spędzonych w Azji. Spoglądając teraz na swego szefa, uznał, że sporo prawdy może kryć się w owych nie-samowitych historiach o przemyśle i zacieklej walkach o władzę z miejscowymi bandami, które usiłowały żądać odeń okupu w zamian za "ochronę".

- I cóż?

- Niech będzie! - Castleton zwilżył wargi. - Zostaje.

- To dobrze.

- Ale nie z tych powodów, o których mówiłeś. Po prostu czuję się winny jak diabli, że byłem w mieście, a nie tutaj, kiedy to się stało. Może mógłbym coś zrobić, cokolwiek, żeby zapobiec ...
 - Nie bądź głupi. Też już byś leżał trupem. Czy znasz jakiś kontakt Rudzaka, jakąkolwiek osobę, którą moglibyśmy przycisnąć?
 - Mówi się o jakimś handlarzu, Ricardzie Sanchezie z Bogoty, który był pośrednikiem między kartelem Men-deza i Rudzakiem.
 - Znajdź go. Zrób wszystko, co będziesz musiał. Chcę wiedzieć, gdzie mieści się obóz Rudzaka.
 - Nie jestem bandziorem, Logan.
 - W takim razie, czy wynajęcie bandziora uraziłoby twoje delikatne poczucie estetyki?
 - Nie musisz być taki sarkastyczny.
 - Racja - odparł Logan ze znużeniem. - Gdybym miał więcej czasu, sam pojechałbym do Bogoty i przydusiłbym Sanchezę. Nieważne, mam człowieka, który dowie się wszystkiego, na czym mi zależy.
 - Liczę, że ci się uda.
 - Ja też. Lecz jeśli z Sanchezem nic nie wyjdzie, i tak znajdę Bassetta.
- Castleton potrząsnął głową.
- Nikt z tutejszych ludzi nie powie ci, gdzie on jest, ani nie pójdzie do dżungli, żeby go szukać.
 - W takim razie sam go znajdę.
 - Jakim cudem?
 - Znam kogoś, kto będzie mógł mi pomóc.
 - Właściwy człowiek do właściwej roboty?
 - Właśnie.
 - Więc niech Bóg ma go w swojej opiece.
 - To nie mężczyzna. - Logan zerknął przez ramię na zgłiszcza. - Miałem na myśli kobietę.

*

Logan zadzwonił do Margaret Wilson, swej osobistej asystentki, gdy tylko jego odrzutowiec wystartował z Santo Camaro.

- Wyciągnij teczkę Sary Patrick.
 - Patrick? - Oczyma duszy Logan widział Margaret, przeglądającą w myśli wszystkie tecki, znajdujące się pod jej pieczęcią. - Aha, ta opiekunka psów. Myślałam, że wyciągnęłaś z niej wszystko, co ci było potrzebne.
 - Owszem. Wskoczyło coś nowego.
 - Te same argumenty nie wystarczą?
 - Może. Ale sytuacja się skomplikowała. Chcę przejrzeć teczkę, bo pewnie będę musiał wykorzystać wszystko, co o niej wiemy. Nie byle co, ale żeby podskoczyła wyżej niż wtedy, gdy na nią zagwiżdżę.
 - Wątpię, czy Sara Patrick gotowa jest skakać, gdy ktośkolwiek zagwiżdże - odparła chłodno Margaret. - I chciałabym zobaczyć, jak będziesz ściągać wargi, John. Mam wrażenie, że ostatnim razem miałeś szczęście. Dostaniesz po nosie, jeśli do niej wystartujesz i ...
 - Odczep się, Margaret - powiedział z westchnieniem. - W t~j chwili nie mam siły parować twoich ciosów. - Dlaczego? - Urwała. - Cz~ Bassett nie żyje?
 - Chyba nie jest aż tak źle. Zył, kiedy go zabierali.
 - A niech to szlag.
 - Potrzebna mi tateczka, Margaret.
 - Za pięć minut. Przefaksować ci, czy przekazać informacje przez telefon?
 - Oddzwon do mnie. - Logan odłożył słuchawkę, odchylił się w fotelu i przymknął oczy.
- Sara Patrick.

Widział ją oczyma duszy: krótkie ciemne włosy o rozjaśnionych słońcem pasemkach, wystające kości policzkowe, oliwkowa cera i szczupłe, atletyczne ciało. Rysy raczej inte-resujące niż kształtne i umysł równie ostry jak język.

Ta jej kąśliwość nieraz dawała mu się we znaki w Phoenix. Sara nie należała do kobiet, które przebaczą i zapominają. Ale ostra była tylko wobec niego. Zaprzyjaźniła się bardzo z Eve Duncan i Joem Quinnem, gdy Logan zmusił Sarę do współpracy z Eve. Eve twierdziła, że wszyscy troje nadal byli dobrymi przyjaciółmi. Zadzwo-niła do niego w zeszłym miesiącu, żeby mu zakomunikować, że Sara od-wiedziła ich w Atlancie i że ...

Zadzwie-zał telefon.

- Sara Elizabeth Patrick - rzekła Margaret. - Dwadzie-ścia osiem lat. W połowie Indianka z plemienia Apachów, w połowie Irlandka. Wychowana w Chicago, wakacje spędzała u ojca w rezerwacie. Ojciec i matka nie żyją. Ojciec zmarł, gdy Sara była dzieckiem, matka przed pięcioma la-ty. Wysoki iloraz inteligencji. Studiowała weterynarię na Uniwersytecie Stanowym w Arizonie. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy zmarła matka, odziedziczyła po dziad-ku małe ranczo u podnóża gór za Phoenix. Nadal tam mieszka. Och, o tym wiesz, byłeś u niej na tym ranczu. Jest trochę samotnicą, ale dobrze układały jej się stosunki ze studentami i profesorami. Po uzyskaniu dyplomu pod-jęła współpracę z jednostką szkoleniową Centrum Kryzy-sowego. O zwierzętach wie wszystko. Została członkiem ochotniczego oddziału poszukiwawczo-ratowniczego K9 w Tucson i najwyraźniej uzyskała zezwolenie Centrum Kryzysowego na uczestnictwo w akcjach ratunkowych w razie katastrof, zarówno naturalnych, jak i spowodowa-nych przez człowieka. Wraz z jej psem Montym wynajmo-wało ją kilka wydziałów policji, by odnaleźć zwłoki, a tak-że wykryć materiały wybuchowe. Mont y uchodzi za nie-zwykłego psa.

- Wiem.

- Zgadza się, znalazł to ciało w Phoenix. - Zawahała się. -

Wiesz, myślę, że ją polubisz, John. Ci tropiciele i ratowni-cy to wspaniali ludzie. Gdy oglądałam reportaż z wybuchu bomby w Oklahoma City, każdemu z tych facetów chcia-łam dać medal. Albo ofiarować swego pierworodnego.

- Nie masz dzieci.

- Nie w tym rzecz. - Urwała. - Szkoda ją wciągać w tę historię z Bassettem.

- Bassetta też szkoda.

- Zaangażował się i dokonał wyboru.

- Sara zawsze może mi odmówić.

- Nie dopuścisz do tego. Za wiele to dla ciebie znaczy.

- Więc dlaczego starasz się utrzymać ją z daleka od tej sprawy?

- Nie wiem. Owszem, wiem. Czy wspominałam już, że Sara Patrick była jedną z ratowniczek w Oklahoma City? Może w ten sposób usiłuję ofiarować jej mego pierworod-nego?

- Nie potrzebuje go. Ma psa.

- A ty nie chcesz mnie słuchać.

- Słucham. Nie ośmieliłbym się stanąć ci okoniem.

- Bzdura. Nie proszę cię, żebyś odznaczył ją medalem.

Po prostu nie mieszej jej do tego. - Gdzie ona teraz jest?

- Wraca do domu z Baratu. Była tam przez pięć dni. Trzęsienie ziemi.

- Interesuję się trochę światem zewnętrznym, Marga-ret. Słyszałem o trzęsieniu ziemi, zanim wyjechałem z Monterey.

- Ale nie wstrząsnęło to tobą tak jak wiadomość o Bas-setcie. Więc co mam robić? Chcesz, żebym do niej zadzwo-niła? Zorganizowała spotkanie?

- Powie ci, żebyś poszła do diabła. Ponieważ jestem prawdziwym dżentelmenem i chcę oszczędzić ci upoko-rzenia, sam się tym zajmę.

- Boisz się, że się z nią zaprzyjaźnię i sprzymierzmy się przeciwko tobie.

- Trafiałś w sedno.

- Dobrze, więc jak cię łapać? Lecisz bezpośrednio do Phoenix?

- Nie, do Atlanty. Milczenie.

- Do Eve?
- A do kogoż by innego?
- No tak.
- Najwyraźniej oniemiałaś. Cóż za osiągnięcie. Zal mi ciebie. Nie, nie udaję się w sentymentalną podróż w poszukiwaniu utraconej miłości. Jesteśmy teraz z Eve przyjaciółmi.
- Niech Bóg broni, by ktokolwiek uznał cię za kliwego kochasia. Nie musisz mi tłumaczyć ...
- Nie, ale umrzesz z ciekawości, a wtedy będę musiał ujarzmić nową asystentkę. To takie nudne.
- Nie jestem wścibska. Każdego by to zainteresowało – odparła opryskliwie. - W końcu spędziłeś z nią rok. Pomyślałam, że może ...
- Zastaniesz mnie w Atlancie w Ritz Carlton Buckhead.
- Jeżeli nie jedziesz prosto, żeby zobaczyć się z Sarą Patrick, będę miała na nią oko.
- To nie jest konieczne. Zobaczę się z nią w Atlancie.
- Nie, zarezerwowała bilety z powrotem do Phoenix.
- Zmieni plany. A przy okazji, po telefonie do ciebie zadzwonię do Seana Galena. Jeśli potrzebuje kasy, daj mu ... - ... wolną rękę - dokończyła Margaret.
- Jak zwykle.

Byłam pewna, że włączysz go do każdej ekipy ratowniczej. Czy ma jechać bezpośrednio do Santo Camaro?

- Nie, wysyłam go do Bogoty, żeby ustalił, jak się sprawy faktycznie mają.

Margaret mruknęła sceptycznie.

- Piękne słówka. Kogo ma wystawić?
- Może nikogo. Chcę po prostu, żeby odnalazł pewną osobę i zadał jej parę pytań.
- No jasne.
- Jeśli zadzwoni Castleton, połącz mnie z nim natychmiast. Ma mój numer telefonu komórkowego, ale jest zbyt ostrożny. Pewnie będzie usiłował porozumieć się ze mną tylko w nagłym wypadku. Ale jeśli o mnie chodzi, jak na razie wszystko może być nagłym wypadkiem .
- Nie ma problemu.
- Mylisz się. Zewsząd wyłaniają się same problemy. Będę z tobą w kontakcie. - Odłożył słuchawkę.

Powinien przewidzieć, że Margaret będzie orędowniczką Sary Patrick. Margaret to żarliwa feministka, podziwiająca twarde, inteligentne kobiety, które same kierują swoim życiem i pracą zawodową. Z tego samego powodu lubiła Eve Duncan. Eve była słynną rzeźbiarką, której twórczość wywoływała gorące kontrowersje. Ona sama pokonała ogromne przeszkody zarówno w życiu osobistym, jak i zawodowym. Niezwykła kobieta ...

Nie widział jej niemal od pół roku. Czy rzeczywiście z kochanką stał się przyjacielem, jak zapewnił Margaret? Kto to może wiedzieć? Zżył do Eve uczucie, jakiego nie wzbudziła w nim żadna inna kobieta, i roztrząsał je często w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Szacunek, litość, namiętność ... Do diabła, doznawał wszystkich tych emocji. Bezsprzecznie zawładnęła jego wyobraźnią od chwili, gdy ją ujrzał.

Nie, nie był wobec siebie szczery. Kochał Eve. Lecz czy jest miłość, jeśli nie wyrazem szacunku, litości, namiętności i tysiąca innych uczuć? Joe Quinn powiedział, że Logan nie kochał jej dość mocno i zasłużył na to, by ją utracić. No cóż, stracił ją, więc być może ten drań miał rację. Zapewne nie potrafił całym sercem pokochać kobiety. Całkiem zawrócić sobie w głowie mogą tylko młodzi śmiałkowie.

Boże, brzmiało to jak z tandetnej reklamy.

No dobra, zapomnijmy o problemach osobistych. Eve wychodzi za Joego Quinna, z czym pogodził się już przed paroma miesiącami. Teraz on sam zajmuje się sprawą Bassetta i na nim powinien skoncentrować wszelką uwagę.

I tu właśnie jest miejsce dla Sary Patrick.

Mógłby ją zmusić, by mu pomogła, jak poprzednim razem, ale wolałby tego uniknąć. Czy w

przeszłości Sary kryje się coś, co mógłby wykorzystać?

Ma czas, żeby się nad tym zastanowić. Jeden dzień wystarczy, by zdecydować, co jej powiedzieć. Może będzie musiał poświęcić na to sporo czasu - pomyślał ponuro. Sara była twarda jak kamień, a Margaret najprawdopodobniej miała rację. Tym razem, gdy będzie się starał, by zatańczyła, jak jej zagra, pewnie dojdzie do wybuchu.

A i bez Sary sytuacja była dość ryzykowna. Czuł się nie-swojo, odkąd opuścił Santo Camaro. Przeczucie mówiło mu, że coś jest nie tak, a wierzył przeczuciom. Co go, do diabła gryzie? Przepelniał go gniew, smutek i naładowana adrenaliną chęć walki, nagromadzenie zaś tych emocji przeszkadzało mu, zatem powściągnął je. Musiał zebrać myśli i zastanowić się nad pierwszym ruchem Rudzaka. Dlaczego porwał Bassetta? Najbardziej oczywistymi motywami byłyby okup albo zemsta, ale Rudzak rzadko kierował się oczywistymi motywami.

Wyciągnął z kieszeni skarabeusza, tego samego, którego Rudzak przesłał mu przez Castletona. Potarł kciukiem jego karbowaną powierzchnię. Skarabeusz pochodził z tak dawnych czasów, dni bólu, udręki i żalu ... Rudzak zamierzał w ten sposób przesłać mu wiadomość, lecz co miała ona wspólnego z Bassettem?

Odchylił się w fotelu. Zastanów się. Odegraj ten scenariusz. Ułóż wszystko po kolei, zanim zawiesz Galena.

Straszliwe wycie przeraźliwym echem rozniosło się po nocnym lesie.

Sara przystanęła na szczycie wzgórza, ciężko dysząc, gdyż strome podejście porządnie dało się jej we znaki.

Kolejne wycie, jeszcze bardziej żalosne niż poprzednie. Wilk - pomyślała Sara. Pewnie któryś z tych szarych meksykańskich zwierzaków, niedawno wypuszczonych w zachodniej Arizonie. Podobno parę zawędrowało w te okolice, ku wielkiemu niezadowoleniu miejscowych gospodarzy. To zawodzenie zabrzmiało całkiem blisko. Wpatrzyła się w turnie, którymi najeżona była góra z tyłu.

Nic. Noc była przejrzysta, spokojna, a wilczur prawdopodobnie znajdował się dalej, niż można było się obawiać, sądząc z głosu.

Piękne. Mont y wpatrywał się w górę.

- Nie myślałbyś tak, gdybyś napotkał któregoś z tych drapieżników, Monty. Są bardzo źle wychowane. Zapytaj okolicznych gospodarzy.

Kolejne zawodzenie rozdarło nocną ciszę. Mont y podniósł łeb. Piękny. Wolny.

Psy rzekomo pochodzą od wilków, ale w Montym nigdy nie dostrzegła żadnych dzikich cech. Nie spotkała zwierzęcia łagodniejszego ani bardziej kochającego. Czy jednak odczuwał jakiś skryty instynkt, przysłuchując się temu wilkowi? Ta myśl sprawiła, że poczuła się nieswojo, toteż natychmiast ją porzuciła.

- Chyba czas wracać do domu. Zaczyna ci padać na mózg. - Pobiegła ścieżką ku chatce w kotlinie na dole.

Czysty wiatr. Czyste powietrze. Twarda ziemia.

Cisza, nie mająca nic wspólnego ze śmiercią czy smutkiem.

Boże, dobrze być znowu w domu. Och, jak dobrze.

- Jasne. Pierwsza dobiegnę do chaty.

Przegrała oczywiście. Mont y przeskoczył już przez swoje drzwiczki i chleptał wodę z miski, gdy otworzyła frontowe drzwi.

- Powinieneś być zmęczony po tej robocie w Baracie.

Daj mi chwilkę odpocząć.

Mont y rzucił jej pogardliwe spojrzenie, po czym leniwie podszedł do swego chodniczka przed kominkiem.

- No dobrze, mogę nie odpoczywać. Ale pamiętaj, kto płaci za karmę.

Mont y ziewnął i położył się.

Ogień zabuzował na powitanie, a fotel zapraszał. Sama chciałaby się wyciągnąć.

Z niechęcią zerknęła na mrugające czerwone światelko automatycznej sekretarki. Nie zwracała na

nie uwagi, gdy przybyła do chatki przed dwoma godzinami, i teraz też nie miała na to wielkiej ochoty.

Odsłuchać wiadomości czy też wziąć prysznic, a potem zwinąć się przed kominkiem? Wiedziała, za czym najbarǳiej tęskni. Zamknąć oczy na świat zewnętrzny i powrócić do codziennego trybu życia z Montym, co kołło nerwy i przywracało siły podczas okresów wolnych od pracy. Nawet telefon stawał się natrętem, gdy potrzebny był tylko odpoczynek, trochę ruchu i tyle napięcia umysłowego, ile wymaga przeczytanie dobrej książki.

Ale to czerwone światełko mrugało nieprzerwanie. Musi wreszcie się z nim uporać.

Przeszła przez pokój. Dwie wiadomości. Nacisnęła przycisk.

- Todd Madden. Witaj w domu, Saro.

Niech go szlag. Nie potrzebuje jego powitań. Zacisnęła pięści, słuchając gładkiego, lekko drwiącego tonu Madde-na.

- Podobno odwaliliście kawał wspaniałej roboty. Ześpół zyskał wdzięczność i pochwały rządu tureckiego, nie wspominając o pochlebnym reportażu w CNN. Chyba musimy sprowadzić ciebie i Monty'ego do Waszyngtonu dla przeprowadzenia paru wywiadów.

- Akurat, ty dupku - mruknęła.

- Niemalże widzę twoją minę. Łatwo odgadnąć, co myślisz. Niestety, Boyd wspomina w raporcie, że w jednym wypadku odmówiłaś wykonania rozkazu. Bezsprzecznie usiłował cię chronić, ale musi wykonywać swoje obowiązki. Czy twoja równowaga umysłowa zaczyna szwankować, Saro? Wiesz, że w Grupie Kryzysowej nie ma mowy o kryzysie nerwowym. A znasz przecież konsekwencje usunięcia cię z zespołu. Ale z pewnością zdołasz mnie przekonać, że to odosobniony incydent. Przyjeżdż do Waszyngtonu, to pogadamy o tym.

Obleśny sukinsyn.

- Zadzwoń i zawiadom mnie, kiedy się tu pojawisz.

Mam nadzieję, że zobaczę cię najdalej za dwa dni. Nadal chcemy wystąpić w aktualnych wiadomościach. - Rozłączył się.

Zamknawszy oczy czuła, jak przepływają przez nią fale gniewu. A niech go jasny szlag trafi! A niech go szlag!

Głęboko odetchnęła i próbowała się opanować. Madden z radością dowiedziałby się, że udało mu się wytrącić ją z równowagi. Cenił potulne posłuszeństwo i był niezadowolony, kiedy pokazywała rogi. Może i miał nad nią przewagę, ale nieraz dawała mu do zrozumienia, co o nim myśli, i to nie pozostawiając wątpliwości, obelżywym językiem.

Ma go gdzieś. Bezwzględnie musi pojechać do Waszyngtonu, ale nie oddzwoni, a przed wyjazdem da sobie przy najmniej trzy dni wytchnienia.

Nacisnęła przycisk, by odsłuchać drugą wiadomość.

- Saro, tu Eve. Mamy to wreszcie. Uzyskaliśmy potwierdzenie. Czekamy na ciebie. Przyjeżdżaj zaraz. - Eve odłożyła słuchawkę.

No i nici z odpoczynku. Nie zadzwoni do Eve z prośbą, by zaczekała dzień czy dwa. Eve i tak już zbyt długo czekała.

- Chyba jutro znowu lecimy, Monty. Musimy odwiedzić Eve w Atlancie.

Rozdział drugi

Przyjechałem - rzekł Logan, gdy tylko Eve podniosła słuchawkę. - Zatrzymałem się w Ritz Carlton w Buckhead. - Dzięki za przybycie, Logan. Nie byłam pewna, czy się pojawisz.

- Zawsze ci powtarzałem, że przyjadę, gdy tylko zadzwonisz. - Zawahał się chwilę, nim zapytał: - Jak się miewa Quinn?

- Wspaniale. Jest dla mnie bardzo dobry.

- To nic trudnego. A jakżeby inaczej. Zobaczymy się jutro po południu.

- Możesz przyjść do nas dziś wieczorem.

- Nie, jestem tutaj, żeby cię wspierać, nie wyprowadzać z równowagi Quinna. Uważaj na siebie. -

Odłożył słuchawkę•

Jej głos brzmiał spokojnie, a gdy mówiła o JoemQuinnie, dźwięczała w tym nuta prawdy. Czy był rozczarowany? Zdziwił się, że poczuł cień żalu, lecz nie bólu. Cóż, wszystko mija, a on nigdy, nawet gdy mieszkali razem, nie miał wrażenia, że Eve należy do niego. Ich związek był kruchy, toteż Quinn wepchnął się między nich bez trudu i...

Zadzwoił telefon. Margaret?

- Jak leci, Logan? Dawno się nie widzieliśmy.

Ręka Logana zacisnęła się na słuchawce.

- Jak się masz, Rudzak.

- Nie zdziwiłeś się, że dzwonię.

- Dlaczego miałbym się zdziwić? Wiedziałem, że to tylko kwestia czasu.

- Nie znasz znaczenia czasu. Ja również go nie znałem, póki nie wtrąciłeś mnie do tego piekła. Czułem się, jakby zakopano mnie żywcem. Każda minuta ciągnęła się jak dziesięciolecie. Czy wiesz, że w więzieniu kompletnie osiwiiałem? Jestem od ciebie młodszy, a wyglądam dziesięć lat starzej.

- Skąd wiesz, jak wyglądam?

- Staralem się mieć cię na oku. W ciągu ostatnich dwóch lat raz widziałem cię na ulicy, a kilka razy w telewizji. Dobrze ci się powodzi. Jesteś grubą rybą.

- Gdzie się podziewa Bassett?

- Nie chcę mówić o Bassetcie. Chcę rozmawiać o tobie ... i o mnie. Długo czekałem na tę chwilę i właśnie się mam napawam.

- Ja nie. Porozmawiajmy o Bassetcie albo odkładam słuchawkę•

- Nie opowiadaj. Nie odłożysz jej, póki będę chciał z tobą rozmawiać, bo boisz się, że jeśli to zrobisz, Bassettovi może się coś przytrafić. Nie zmieniłeś się. Nadal masz miękkie serce. Cieszę się, że nie stałeś się starym draniem, bo dzięki temu łatwiej mi pójdzie.

- Czy Bassett żyje?

- Na razie tak. Wierzysz mi?

- Nie, chcę usłyszeć jego głos.

- Nie teraz. Bassett to pionek w rozgrywce między nami. Czy wiesz, że gdy wyszedłem z więzienia, przede wszystkim poszedłem na grób Chen Li?

- Nie chodzi o Chen Li. Chodzi o Bassetta.

- Chodzi o Chen Li. Wszystko kręci się wokół Chen Li.

Pozwoliłeś pochować ją w tym odrażająco zwyczajnym grobie, jak tysiące innych na tym cmentarzu. Jak mogłeś do tego dopuścić?

- Pochowana została godnie i przystojnie. Tak jak żyła.

- Bo do takiego życia ją zmusiłeś. Była królową, a ty zrobiłeś z niej prostytutkę. - Nie mów o niej.

- Dlaczego nie?! Jak możesz mi jeszcze zaszkodzić?

Przyprawiam cię o poczucie winy? Jesteś winny. - A ty jesteś pokreconym sukinsynem.

- Nie byłem pokrecony, gdy poszedłem siedzieć. Jeśli

teraz jestem porąbany, to przez ciebie. Wiesz, że słusznie postąpiłem, a ty pozwoliłeś mi zgnić w celi. Ale nie zważywałem i gdy to wszystko się skończy, znowu będę mógł normalnie żyć. Wiesz, dlaczego rozwalilem to laboratorium badawcze?

- Bo wiedziałeś, że ma dla mnie wielką wagę.

- Nie, nie dlatego. Zastanów się nad tym. W końcu na to wpadniesz. Pomogę ci. Dostałeś skarabeusza? - Owszem.

- To dobrze. Uznałem to za odpowiednią sygnaturę dla

Santo Camaro. To pierwsza pamiątka z Egiptu, jaką dałem Chen Li. Nie była kosztowna ani wartościowa, ale jej to nie przeszkadzało. Później obdarowywałem ją znacznie cenniejszymi prezentami.

- Kradzionymi właścicielom, których następnie mordowałeś. Sądzisz, że przyjęłaby je, gdyby

wiedziała, ilu ludzi zabiłeś, żeby położyć łapę na tych przedmiotach?

- Ale nie wiedziała, a ci ludzie się nie liczyli. Tylko ona się liczyła. Zasługuje na wszystko, co najlepsze. Zawsze dam jej to, co mam najdroższego.

- Mówisz, jakby jeszcze żyła.

- Dla mnie zawsze będzie żyła. Codziennie była przy

mnie w więzieniu. Utrzymywała mnie przy zdrowych zmysłach. Opowiadałem jej, jak bardzo cię nienawidzę i jak ci zatruję życie.

- Nie możesz zatruć mi życia, Rudzak.

- Ależ mogę. - Zniżył głos do jedwabistego szeptu. - Może osiwiiałem, ale Chen Li nadal uważała, że jestem przystojny. Pamiętam, jak głąskała mnie po twarzy i mówiła, że jestem piękny, miły i ...

- Zamknij się.

- Widzisz, jak łatwo ci dopiec. - Rudzak zachichotał. - Jeszcze do ciebie zadzwonię. Jestem bardzo zadowolony z tej rozmowy. - Odłożył słuchawkę.

Sukinsyn.

Gniew, który nim wstrząsał, był całkowicie jałowy. Rudzak z radością dowiedziałby się, jak to ułkucie przebiło linie obronne Logana. I wiedział. Dopadł go znienacka, by się przekonać, w jaką może wprawić go wściekłość, ile zadać bólu.

Jesteś winny. Chen Li.

Nie myśl o niej. Myśl o Bassetcie i kłopotach, które sprawia teraz Rudzak.

Nie myśl o Chen Li.

Rudzak nacisnął widełki telefonu i spojrzał na małe, czarne pudełko, które trzymał w drugiej ręce. Starł krople deszczu z pokrywki. Było to urocze puzderko, wykładane kością słoniową i lapis-lazuli. Powiedziano mu, że należało niegdyś do królowej Egiptu, ale upiększył tę opowieść, gdy ofiarowywał owo cacko Chen Li.

- Należało do Meretaten, córki Nefertari. Była podobno jeszcze piękniejsza i mądrzejsza niż matka.

- Nigdy o niej nie słyszałam. - Chen Li zaniósła puzderko do okna, by spojrzeć, jak błękitne kamienie lśnią w słonecznym blasku. - Jest prześliczne, Martinie. Jak je zdobyłeś?

- Od kolekcjonera z Kairu.

- Musiało kosztować fortunę.

- Nie taką wielką. Zrobiłem dobry interes.

Zachichotała.

- Zawsze to powtarzasz.

Uśmiechnął się.

- Powiedziałem mu, że będzie okazem w kolekcji kobiety, która powinna była urodzić się jako królowa za czasów faraonów. Obowiązywały ich wówczas tylko te reguły, które sami dla siebie tworzyli.

Cień przemknął po jej twarzy. Sprawy szły tak gładko, że chyba posuwał się zbyt szybko. U dał, że nie rozumie, dlaczego nieco się odeń odsunęła.

- Po prostu jesteś uprzejma? Tak naprawdę wcale ci się nie podoba?

Padła mu w objęcia.

- Jest przepiękne. Zawsze dajesz mi przepiękne rzeczy. Odchyliła się i uniosła ku niemu spojrzenie. Oczy miała czarne jak noc i dojrzał w nich swoje odbicie. Jego obraz we wzroku Chen Li zawsze wydawał mu się szlachetniejszy, niemal boski.

Spoglądała nań niepewnie.

- Martinie?

Tylko jej nie przestrasz. Była z nim bliżej niż kiedykolwiek i niebawem nadejdzie ta chwila.

Będzie należeć do niego. Bylebyś tylko jej nie wystraszył.

Unióś jej dłoń do ust.

- Wszystkiego najlepszego, Chen Li. To jedne z jej ostatnich urodzin.

Czuł, jak ciepłe łzy zlewają się na jego policzkach z kroplami deszczu.

- Rudzak. - Gdy się odwrócił, ujrzał, że podchodzi ku niemu Carl Duggan. - Nastawiłem mechanizm zegarowy. Musimy stąd wiać, zanim ktoś go nie uruchomi.
- Za chwilę. Chcę zostawić Loganowi prezent. - Ostrożnie umieścił puzderko za kamieniem, który osłoni je przed wybuchem. - Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, Chen Li.

*

Spoczywaj w spokoju, Bonnie Duncan.

Te słowa pastora dźwięczały jeszcze w głowie Sary, gdy trumnę spuszczano do grobu. Nie tylko Bonnie odzyskała w tej chwili spokój - pomyślała, patrząc na Eve Duncan, która stała między Joem Quinnem i adoptowaną córką Eve, Jane MacGuire. Po latach poszukiwań szczątków swego dziecka, zamordowanego przed ponad dziesięcioma laty, Eve sprowadziła Bonnie do domu. Wyniki badań DNA, które właśnie nadeszły, potwierdziły, że są to kości jej córki.

Po policzkach matki Eve spływały łzy, ale Eve nie płakała. Z jej twarzy bił spokój, smutek i spełnienie. Łzy za Bonnie wyplakała już dawno temu. Córka wróciła teraz do domu.

Lecz Sara czuła, jak łzy kłują ją w policzki, gdy rzucała różę na wieko trumny.

Zegnaj, Bonnie Duncan.

- Chyba powinniśmy zostawić rodzinę samą, by pożegnała zmarłą - rzekł cicho John Logan. - Wróćmy do domu i poczekajmy na nich.

Sara nie wiedziała, że przesunął się tak, by stanąć obok niej. Instynktownie odsunęła się od niego. Logan potrząsnął głową.

- Wiem, jaki masz do mnie stosunek, ale to nie pora, by obarczać tym Eve. Musimy pomóc jej przez to przebrnąć.

Miał rację. Nie była zadowolona, patrząc, jak podjeżdża do domku parę godzin przed pogrzebem, ale nie mogła niczego zarzucić jego zachowaniu się wobec Eve i Joego. Był pełen współczucia, jak mógł, dodawał im otuchy. Miał też rację, że teraz rodzinę należało zostawić samą. Odwróciła się od grobu i zaczęła przemierzać krótką odległość wokół jeziora ku domowi. Ślicznie tu - pomyślała. Eve na mogiłę dla córki wybrała urocze miejsce na niskim wzgórku nad Jeziorem.

- Gdzie Monty? - zapytał Logan, gdy dogonił Sarę.

- Zostawiłam go w domu. Zdenerwowałby się na widok grobu.

- A tak. Zapomniałem, jak wrażliwym czworonogiem jest twój Monty.

- Wrażliwszym od wielu ludzi.

- Au - skrzywił się. - Nie miałem zamiaru dogryźć twemu psu. Staram się być miły.

- Doprawdy?

- I najwyraźniej mi się to nie udaje.

- W istocie.

- Zaczę jeszcze raz. Eve oświadczyła mi, że to ty i Monty znaleźliście Bonnie. Powiedziała, że we dwoje musieliście przeszukać każdą piędź tego parku narodowego, póki nie natrafiliście na miejsce, w którym morderca ją pochował.

- Owszem. Ja już nieomal dałam za wygraną.

- Ale nie zrezygnowałaś.

- Eve jest moją przyjaciółką.

- Czy zatem możesz mi wybaczyć, że bez specjalnych skrupułów usiłuję namówić was do współpracy?

- Nie - odparła chłodno. - Nie lubię, gdy się mnie do czegoś zmusza. Jesteś tak samo wredny jak Madden. Zawsze usiłujesz wykorzystać wszystkich i wszystko.

- Nie jestem taki straszny, jak mnie malujesz. Mam parę zalet.

Nie odezwała się.

- Jestem cierpliwy. Odpowiedzialny. Umieję być dobrym przyjacielem. Zapytaj Eve.

- Nie interesuje mnie to. Dlaczego na próżno usiłujesz mnie przekonać, że jesteś przyzwoitym człowiekiem? - Oczy się jej zwięziły. - Coś kombinujesz.

- Dlaczego uważasz ... - Wzruszył ramionami. - Owszem. Coś kombinuję. Nie udało mi się co

prawda przekonąć cię, że nie jestem sukinsynem. Wielka szkoda. To znacznie ułatwiłoby sprawę.

- Co cię tu, do diabła, przyniosło?

- To samo, co i ciebie. Chciałem dodać Eve otuchy w chwili, gdy potrzebowała przyjaciół.

- Nie byłeś jej przyjacielem, tylko kochankiem. Nie powinienes przyjeżdżać tutaj i odciągać ją od Joego. Kocha go, a ty to już przeszłość, Logan.

- Wiem, ale dzięki za przypomnienie. Widzę, że tylko twój pies ma nieco wrażliwości. Nie przyjechałem tu, że-by rozdmuchiwać stygnący żar namiętności. Czy tak trudno uwierzyć, że pragnę dla Eve wszystkiego, co naj-lepsze?

- Nie muszę ci wierzyć albo i nie wierzyć. - Przyspieszyła kroku. - I jak powiedziałam, nic mnie to nie obcho-dzi. Nieważne, czy ...

- Saro!

Gdy się odwróciła, ujrzała, że Jane MacGuire zbiega ku nim ze wzgórze, a jej rude włosy lśnią w późnym popołu-dniowym słońcu. Kiedy dziewczynka zatrzymała się obok Sary, widać było, że jest blada i spięta.

- Mogę wrócić z tobą?

- Oczywiście. Ale myślałam, że chcesz poczekać na Eve.

- Nie potrzebuje mnie. Ma J-ego. - Potrząsnęła głową.

Spojrzała wprost przed siebie. - Zadne z nich mnie tam te-raz nie potrzebuje.

Sara wyczuwała nadciągające kłopoty.

- Należysz do rodziny Eve. Zawsze chce, żebyś przy niej była.

- Nie teraz. Nie ma tam dla mnie miejsca. Teraz myślą tylko o Bonnie. - Spojrzała na Logana. -

Wiedział pan o tym. Dlatego zabrał pan Sarę.

Logan skinął głową.

- Ktoś przynajmniej docenia moją wrażliwość. Ale Sa-ra ma rację. Należysz do rodziny.

Jane zacisnęła usta.

- Usiłuje mi pan poprawić samopoczucie. Nie potrze-buję pańskiej litości. Wiem, że Joe i Eve troszczą się o mnie, ale nie jestem Bonnie. Nigdy nie będą czuli do mnie tego, co do Bonnie. Więc niech mi pan nie mówi, że chcą, abym była z nimi, kiedy się z nią żegnają. Nie widzi pan, jak im ciężko, kiedy się tam kręcę. Teraz pragnę być tylko z Bonnie, ale usiłują zachowywać się wobec mnie mi-ło, żeby nie robić mi przykrości.

- Porozmawiaj z nimi - rzekła łagodnie Sara.

- Nie. - Jane odwróciła wzrok i powtórzyła: - Chcą być z Bonnie. - Zmieniła temat. - Czy mogę pobiec naprzód i wziąć Monty'ego na spacer?

- To świetny pomysł.

Sara z zakłopotaniem zmarszczyła brwi, patrząc, jak Jane zbiega ścieżką ku domkowi.

- Mont y pójdzie z nią? - zapytał Logan. Sara skinęła głową.

- Uwielbia ją. Zdążyli się bardzo dobrze poznać w Phoenix.

- Ty też ją lubisz. Niełatwo się z nią zaprzyjaźnić.

- Wygląda jak mała dziewczynka, ale jest bardziej dojrzała niż większość dorosłych. Tak się dzieje, gdy dziecko chowa się na ulicy albo w rodzinach zastępczych. - Przy-gryzła dolną wargę. - Ma rację, prawda? Jej obecność byłaby kłopotliwa dla Eve i Joego.

- Chyba tak. Zdaje się, że J ane ma dobre przeczucia. -Badawczo wpatrywał się w jej twarz. - O czym myślisz?

- Nie twój interes. - Doszli do werandy domku. - Zaraz wyjeżdżasz?

- Jeszcze nie. Chciałem pojechać na lotnisko po kolacji.

Ty masz samolot o dziesiątej, prawda? - Skąd wiesz?

- Eve powiedziała mi przez telefon. Mówiła, że podjadą z tobą na lotnisko. Może cię podwieźć? - Joe mnie zawiezie.

- Ale czy nie powinien zostać z Eve? Przecież nic ci się nie stanie, jeśli wsiądziesz ze mną do samochodu. To tylko godzina jazdy.

Nic jej się nie stanie, ale nie chce od niego żadnych przysług. Mogłoby się wydawać, że czyta w jej myślach.

- Nie wyświadczam ci żadnej przysługi, Saro. Biorąc pod uwagę, jaką masz o mnie opinię, powinnaś doskonale zdawać sobie z tego sprawę.

Nie ma racji, bo Logan wyświadczal przysługi Eve, ale jej nie. Bo niby dlaczego? Widziała, że usiłuje zasypać po wstała między nimi przepaść, ale wcale nie dlatego, iż załuje swojego postępowania. Logan nigdy nie zastanawiał się nad raz powziętymi decyzjami.

- Eve potrzebuje teraz Joego - rzekł Logan. - Oboje o tym wiemy.

- ~ to cię boli, Logan?

- Załowałabyś mnie, gdyby tak rzeczywiście było?

- Do diabła, nie.

- Tak też myślałem. Więc podwieźć cię na lotnisko?

Wzruszyła ramionami.

- Niech będzie. Powinnam wyjechać o ósmej. Skinął głową.

- Będę gotów. Ale czy nie musisz przyjechać wcześniej, żeby wpakować Monty'ego do ładowni?

- Mont y zawsze podróżuje ze mną w kabinie.

- Myślałem, że tylko małe zwierzątka albo przewodnicy niewidomych mogą wejść do kabiny.

- Ma specjalne zezwolenie Grupy Kryzysowej. Uśmiechnął się.

- A gdyby nie miał, pewnie uparłabyś się, żeby go zabrać jako bagaż ręczny?

- Pewnie, że tak. - Sara otworzyła przednie drzwi. - Zaczę robić kanapki i kawę. Wielebny Watson nadchodzi ścieżką. Mógłbyś się do czegoś przydać: powiedz mu coś miłego, a potem spław go.

- A więc uważasz, że potrafię być miły? To zadziwiający.

Och, nigdy nie wypróbował na niej swego uroku, ale widziała, jak czarował innych. Była to prawdopodobnie jedna z naj potężniejszych broni w jego arsenale.

- Dlaczego to cię tak dziwi? - Gdy wchodzili do domku, zerknęła nań przez ramię. - O ile się orientuje, większość Niemców uważała, że Hitler był ujmującym człowiekiem.

- Dzięki za przyjazd, Saro. - Eve usiadła na bujanej ła weczce na werandzie i spoglądała na jezioro, ciemniejące już w mroku. - Wiem, że jesteś zmęczona. Ale twoja obecność wiele dla mnie znaczy.

- Nie opowiadaj głupstw. Chciałam przyjechać.

- Bonnie byłaby zadowolona, że tu jesteś. W końcu to wy ją znaleźliście.

- Mieliśmy szczęście.

- Daj spokój. Harowaliście jak woły.

- Co wcale nie zawsze oznacza, że znajdujemy z Montym to, czego szukamy. - Wpatrywała się w twarz Eve. - Dobrze się czujesz?

- Wkrótce dojdę do siebie. Teraz czuję się bardzo dziwnie. - Powędrowała spojrzeniem do wzgórza nad jeziorem. - Jest teraz w domu. To się głównie liczy. Choć tak naprawdę nigdy mnie nie opuściła.

Sara skinęła głową.

- Wspomnienia mogą być bardzo cenne.

- Tak. - Eve uśmiechnęła się słabo. - Ale nie całkiem o to mi chodziło. - Zmieniła temat. - Martwię się o Jane. - Tak też myślałam.

- Na ogół biorąc, chyba Jane jest dobrze z nami. Wie, że ją kochamy. - Westchnęła. - Ale niełatwo jej dogodzić.

- Bo i sytuacja nie jest prosta. - Sara urwała. - A może spędziłaby parę tygodni u mnie w domku?

Eve nie odzywała się przez chwilę. - Dlaczego?

- Zmiana dobrze jej zrobi. Uwielbia Monty'ego i lubi mnie. Będę się nią dobrze opiekować.

- Co do tego nie mam wątpliwości. - Zmarszczyła lekko brwi. - Rozmawiała z tobą o Bonnie?

- Przede wszystkim chodzi o to, czy rozmawiała o niej z tobą.

- Nie od czasu, gdy znalazła Bonnie. Kilkakrotnie próbowałam pogadać z nią na ten temat, ale zamykała się w sobie. Miałam nadzieję, że z czasem ... Sama nie wiem. W tej chwili trudno mi myśleć.

- Teraz musicie przywyknąć do tej sytuacji. Przez lata żyłaś tym, by sprowadzić Bonnie do domu. Wiem, jaka jesteś szczęśliwa, że masz ją znowu, ale minie ...

- Jane uważa, że obecnie jest na drugim miejscu - przejrzała Eve. - Usiłowałam jej wyjaśnić, że to coś zupełnie innego, lecz nie chce słuchać. Nie czuje żalu, ale nie mogę wybić jej tego z głowy.

- Biorąc pod uwagę, jak parszywie obchodzono się z nią w dzieciństwie, może nigdy nie zdołasz jej przekonać. Co wcale nie znaczy, że nie będzie wam dobrze razem.

- Nie mów tak. Chciałabym, aby czuła, że jest niezwykła. Każdy człowiek powinien czuć się niezwykły.

- Jane jest niezwykła. Ma silny charakter, niezależnego ducha, bystry umysł. Zorientowała się od razu, że w tej chwili czujesz się zagubiona, a ona nie może ci pomóc i jest jej przykro. Poślij ją do mnie na jakiś czas, Eve.

- Zastanowię się nad tym. - Eve usiłowała się uśmiechnąć. - Nie sądziłam, że będę miała takie problemy z przystosowaniem się do życia, gdy odnajdę Bonnie. Czuję ulgę, ale mimo wszystko ...

- Żyłaś w pewien sposób, ponieważ straciłaś Bonnie. Teraz się odnalazła.

Eve skinęła głową.

- Zajmie to trochę czasu, ale, Boże, Saro, jestem szczęśliwa. Mam Joego. Wszystko się ułoży, skoro mam Joego. - Wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Sary. - I takich przyjaciół jak ty i Logan.

- A skoro mowa o Loganie, pora, żebym jechała na lotnisko. Gdzie on się podziewa?

- Poszedł nad jezioro.

- Sam?

Eve skinęła głową.

- To świetnie. Jeszcze niezbyt dobrze układa im się z Joem.

- Bo z ciebie taka femme fatale - uśmiechnęła się pod nosem Sara.

- No jasne. - Eve poprawiła okulary i podniosła się. - Poszukajmy Jane i Monty'ego. Musisz ją od niego oderwać.

- Będzie jej lżej, jeśli powiesz, że niedługo znowu się zobaczą.

- Obiecałam ci, że się nad tym zastanowię. - Zrobiła zabawną minę. - Jesteś uparta jak diabli, Saro. Dlaczego uważasz, że w tej chwili Jane najlepiej będzie się czuła z tobą? Jeśli dostaniesz telefon, razem z Montym powędrujecie do jakiejś zapadłej dziury gdzieś na końcu świata. Gdzie wtedy upchniesz Jane?

Sara wzruszyła ramionami. - Jakoś sobie poradzimy. Eve potrząsnęła głową.

- A co byś zrobiła, gdybyś miała własne dziecko? I ty mi tłumaczysz, jak należy się przystosować?

- Będę się zastanawiać nad tym problemem, kiedy przed nim stanę.

- Dzieci są bardziej wymagające niż psy.

- Dlatego mam psa. Odpowiada mi moje życie. Wyobrażasz mnie sobie z mężem i kupą dzieciaków?

- Właściwie nie. Ale musisz czuć się samotna.

- Dlaczego? Mam Monty'ego i kolegów z zespołu.

- Z którymi wcale się nie widzisz, jeśli nie prowadzicie jakiejś akcji ratunkowej. - To wystarczy.

- Dlaczego to ci ma wystarczać? Nie chcesz być z nikim blisko?

Sara uśmiechnęła się.

- Eve, przestań ze mnie robić jakąś królową z dramatu o zranionej duszy. Nie jestem taka jak ty. Nie mam mrocznej, nieszczęśliwej przeszłości. Jestem zwykłą kobietą, może tylko nieco bardziej samolubną. Moje życie bardzo mi odpowiada.

- A ja powinnam pilnować własnego nosa.

- Rób, jak uważasz. Ale zdumiewasz mnie. Kiedyś byłaś jedną z najbardziej samotnych kobiet na tej planecie, a teraz martwi cię mój brak kontaktów z ludźmi.

- Punkt dla ciebie. - Eve uśmiechnęła się. - Po prostu chcę, żeby wszyscy byli tak szczęśliwi jak ja ostatnio.

- Jestem szczęśliwa jak nowo narodzone dziecko. - Sara przechyliła głowę. - Wiesz, zawsze się zastanawiałam, dlaczego uważa się, że nowo narodzone dziecko ma być znowu takie szczęśliwe. Jak

ktoś słusznie zauważył, nie ma przecież zębów ani pieniędzy i nie może się z nikim dogadać. - Zachichotała. - No dobrze, jestem szczęśliwa jak Monty, gdy się go drapie po brzuchu. Większego szczęścia nie można sobie wyobrazić.

Za piętnaście ósma. Pora się zbierać.

Logan ruszył w kierunku domku. Widział cieniste sylwetki Sary i Monty'ego, rysujące się w świetle z okien. Wyglądały niczym fantastyczne postaci z okładki powieści.

Ale sama Sara nie kryła w sobie ani cienia fantazji. Była diabelnie praktyczna. Nie przebaczała, nie zapominała i miał przez nią związane ręce. Została mu tylko godzina, by zapewnić sobie jej pomoc na zasadzie dobrowolności, potem będzie musiał...

Zadzwoił jego telefon komórkowy.

- Dostałem wiadomość od Rudzaka - rzekł Castleton. - Chce się dogadać.

Ręka Logana zacisnęła się na słuchawce. - Rozmawiałeś z Bassettem?

- Jeszcze nie. Powiada, że jeśli przyjdiesz z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów, pozwoli ci porozmawiać z Bassettem. Mam zostawić pieniądze w uskoku koło ośrodka badawczego.

- A ile żąda gotówki za uwolnienie go?

- Powiada, że chce to ustalić z tobą osobiście.

Logan spodziewał się tego.

- Dowiedziałeś się czegoś na temat miejsca pobytu Rudzaka?

- Mówiłem już, że to ty musisz się tym zająć. Dałem ci cynk. Czy ten twój człowiek odnalazł Sancheza?

- Robi, co może, ale przydałaby mu się pomoc.

- Do diabła, przecież wyłażę ze skóry. Kiedy przyjeżdżasz?

- Wylatuję dziś wieczorem.

- A co mam zrobić z pieniędzmi?

- Daj mu je. Powiedziałem Margaret, żeby ci wypłaciła, ile potrzebujesz.

- Niewykluczone, że to podpucha. Bassett może już nie żyć.

- Daj mu je.

- A jeśli nie pozwoli ci porozmawiać z Bassettem?

- Będziemy się o to martwić, jeśli do tego dojdzie.

Castleton urwał.

- Podałem mu twój numer, bo mnie o to poprosił. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

- Nie, słusznie postąpiłeś. Jeśli będzie chciał ze mną porozmawiać, ułatw mu to. Chcę podtrzymać dialog. W im bliższym będziemy kontakcie, tym większe mamy szanse, że się czegoś dowiemy.

- Uważam, że go zabił, Loganie. A jeśli Bassett nie żyje?

- Wtedy Rudzak też zginie.

Skończył rozmowę i wsunął telefon do kieszeni. Musi pojechać do Santo Camaro. Już dawno przekonał się, że należy dostosować się do reguł aktualnie rozgrywanej gry, a ta gra zapowiada się wyjątkowo paskudnie.

Powrócił spojrzeniem do Sary i Monty'ego, czekających na ganku. Fatalnie. Nie ma czasu. Znowu wyjął telefon i szybko wybrał numer.

*

- Uważaj na siebie. - Logan musnął wargami czoło Eve, nim wszedł do samochodu. - Dzwonił, gdybym mógł ci się na coś przydać.

- Nic mi nie jest. - Spojrzała na Sarę, siedzącą w fotelu pasażera. - Dam ci znać, co z Jane.

- Stąd muszę lecieć prosto do Waszyngtonu, ale zajmie mi to najwyżej parę dni. Potem będę w chałupie.

Eve pomachała i cofnęła się, gdy Logan zapuścił motor. Odwróciwszy głowę, Sara ujrzała, że Eve nadal tam stoi, patrząc, jak ruszają zwirową drogą. Przez chwilę wydawała się bardzo samotna, lecz zaraz Joe wyszedł z domku i położył jej ręce na ramionach. Nie, Eve nie jest samotna. Miała Joego, matkę i Jane. Nigdy już nie będzie samotna, chyba że sama tego zapragnie. Lecz czy nie

dotyczy to każdego? Człowiek dokonuje wyborów, a samotność jest jednym z nich.

Co jej chodzi po głowie? Nie jest sama. Jak powiedziała Eve, ma Monty'ego i pracę, która wypełnia jej życie. Nie chce niczego ani nikogo więcej.

- Co to znaczy, że miała ci dać znać, co z Jane? - zapytał Logan.

- Mogę zaprosić Jane do siebie na parę tygodni.

- Kiedy?

- Jak najprędzej.

- Nie.

Rzuciła mu zdumione spojrzenie.

- Co takiego?

- Nie teraz.

- O czym ty, do diabła, mówisz? Właśnie teraz Eve potrzebuje mojej pomocy. Im szybciej, tym...

Dlaczego w ogóle o tym z tobą rozmawiam? To nie twój interes.

- To mój interes. Ja potrzebuję twojej pomocy. I to zaraz. Ależ ten sukinsyn ma tupet.

- Powieś się, Logan.

- Zapłacę ci, ile chcesz. Wymień tylko sumę.

- Nie masz tyle.

Zacisnął usta.

- Bałem się, że to powiesz. Niestety, tego ci nie odpuszczę, Saro. To zbyt ważna sprawa.

- Dla ciebie. Nie obchodzą mnie twoje problemy, Logan.

- Wiem. Dlatego zadzwoniłem do Todda Maddena i poprosiłem, żeby Oddział Kryzysowy wypożyczył mi ciebie. Miał to z nimi załatwić.

Wpatrywała się weń, oniemiała.

- Co takiego?

- Słyszałaś.

- Mój Boże, znowu to zrobiłeś.

- Nie miałem wyjścia. - Wzruszył ramionami. - Nie mogłem dojść z tobą do porozumienia. Ciągłe czujesz do mnie urazę.

- A ty byś nie czuł? Gdyby cię pospiesznie skazano na podstawie fałszywych oskarżeń, wybaczyłyś i zapomniałaś?

- Rozumiem twoje rozgoryczenie, tłumaczę ci tylko, dla czego musiałem zadzwonić do Maddena. Powiedział, żebyś zapomniała na razie o tej konferencji prasowej. Ty i Monty będziecie ze mną dopóty, dopóki będę was potrzebował.

Jej zdumienie przeradzało się we wściekłość. - Akurat.

- Madden zapewnił mnie, że zrobisz, o co cię poproszę.

- A co mu obiecałeś?

- Moją wdzięczność. I wszelkie profity, które się z nią wiążą. Twój senator Madden jest bardzo ambitny, zgadza się? Czy przymierza się do posady rządowej?

- Nie wierzę, że odwołał konferencję prasową. Zbyt lubi oglądać swoje oblicze w gazetach.

- Przedstawiłem mu argumenty nie do odparcia.

- Ty sukinsynu.

- Martwiłem się, że mi odmówisz mimo rozkazów Maddena, ale powiedział, że nie ma od nich odwołania. - Przyjrzał się jej zwięzonymi oczyma. - Ma coś na ciebie, co? Jakiegoś haka?

- Co cię to obchodzi? Masz to gdzieś, w jaki sposób Madden zmusił mnie, żebym ostatnim razem zrobiła to, co chciał. Chodzi ci tylko o wyniki. Tylko one cię interesują. - Trzęsła się z gniewu. - Dlatego tu przyjechałeś?

- Przyjechałem, ponieważ Eve chciała, żebym tu był. Podobnie jak pragnęła, żebyś i ty podtrzymywała ją na duchu. - Ale wiedziałeś, że tutaj będę. Dwie pieczenie przy jednym ogniu.

- Owszem, wiedziałem, że się pojawisz.

- I czego ode mnie chcesz? Żeby ci znalazła kolejne zwłoki?

- Myślę, że on żyje. - Uśmiechnął się krzywo. - Wiem, że nie lubisz wykorzystywać Monty'ego do odnajdywania truposzy. Powinnaś być zadowolona, że proszę ciebie i Monty'ego, byście trafili

na ślad prawdziwej, żyjącej osoby.

- Zadowolona?

- To niewłaściwe słowo. Usiłuję ukazać paskudną sytuację w znośnym świetle. - Nie jest znośne.

- Będziesz musiała wytrzymać.

- Odpieprz się. - Wyjęła telefon i nacisnęła numer

Maddena. - Co ty, do diabła, ze mną wyprawiasz? - zapytała, gdy tylko się odezwał.

- Saro, wszystko będzie dobrze.

- Dobrze dla kogo, niech cię szlag!

- Logan twierdzi, że to bardzo ważne i wcale nie musi długo trwać.

- Czy przyszło ci do głowy, że wróciliśmy z Montym z akcji, która kompletnie nas wykończyła?

Musimy odpocząć.

- Musicie robić to, co wam każę. Logan się wami zajmie. Daj mi znać, kiedy będziecie mogli znowu wyruszyć. - Rozłączył się.

Jego ręka zacisnęła się na słuchawce tak mocno, że aż zbieleły jej kłykcie. Sukinsyny. Jeden w drugiego sukinsyny.

- Zadowolona? - zapytał Logan.

- Chętnie wyrwałabym mu jaja. - Obrzuciła go wściekłym spojrzeniem. - I tobie też.

Skrzywił się.

- Chyba potwierdził to, co ci mówiłem. Opowiedzieć ci o twoim zadaniu?

Usiłowała się opanować. Już dawno pogodziła się z tym, że z Maddenem sobie nie poradzi. Miał zbyt mocne karty. Ale, na miły Bóg, ogarniała ją wściekłość na myśl, że ma chodzić na pasku Logana. Chciała komuś porządnie przyłożyć. Nie, nie komuś. Loganowi.

Mont y zaskomlił na tylnym siedzeniu, gdy wyciągnęła rękę i pogłaskała go.

- Już dobrze, chłopie. Już dobrze.

- Nie jest dobrze, ale zrobisz to, co? - rzekł Logan.

- Niech cię cholera!

Mont y znowu zaskomlił.

- Ciii!

- Wyczuwa, że jesteś zdenerwowana - uśmiechnął się Logan. - Wiem, jak blisko jesteście ze sobą związani. To dobry pies.

- Powinam mu kazać, żeby skoczył ci do gardła. Wiesz, jaki jest zmęczony?

- Mont y nie sprawia na mnie wrażenia szczególnie złośliwego psa obronnego.

- Chyba że jestem w niebezpieczeństwie.

- Ale jeszcze nie jesteś w niebezpieczeństwie.

Spojrzała mu w twarz.

- Jeszcze nie?

Jego uśmiech zgasł.

- Ta praca nastęcza trochę trudności, ale będę się starał, żeby nic się wam nie stało.

- Więc co właściwie mam zrobić?

- Chciałbym, żebyście wraz z Montym odnaleźli jednego z moich pracowników, którego porwano.

Zaatakowano pewien mój obiekt badawczy w Kolumbii i zabito czterech ludzi. Bassetta uprowadzono.

- Wiesz, kto go porwał?

- Martin Rudzak. Parszywy typ.

- Jak bardzo parszywy?

- Jak tylko można. Macza palce we wszystkim, od handlu narkotykami po terroryzm.

- Terroryzm? Więc dlaczego wziął się na ciebie?

- Przed paroma laty w Japonii doszło między nami do

różnicy zdań. Nie przepada za mną.

- Więc powinien był porwać ciebie.

- Jestem pewien, że też by to wolał, ale z pewnych powodów wybrał Bassetta.

- A ty nie chcesz mi ich zdradzić.

- Nie w tej chwili.
 - Nie tropię kryminalistów, Logan.
 - Pracujesz dla Grupy Specjalnej.
 - Obecnie zajmuję się poszukiwaniem i ratowaniem ofiar katastrof.
 - Będziesz ratować Bassetta.
 - Zapłać po prostu okup. Masz mnóstwo forsy.
 - Jest wysoce prawdopodobne, że nawet jeśli zapłacę, Bassetta i tak zabiją. Muszę go odnaleźć i odbić.
 - A jak mam go znaleźć? Wiesz dokładnie, gdzie go przetrzymują?
 - Jeszcze nie. Gdzieś w dżungli w pobliżu Santo Camaro w Kolumbii.
- Jej oczy rozszerzyły się.
- W Ameryce Południowej?
 - Tam był ostatnio.
 - Chcesz, żebym pojechała do Ameryki Południowej! I wędrowała po dżungli, póki nie znajdę ...
 - Mój człowiek pracuje nad ustaleniem dokładnej lokalizacji miejsca, gdzie przebywa Rudzak. Mam nadzieję, że kiedy dotrzemy do Kolumbii, będę miał więcej informacji
 - A kiedy to nastąpi?
 - Mój samolot czeka teraz na lotnisku w Atlancie.
 - I przypuszczasz, że wskoczę do samolotu, aby potulnie polecieć z tobą.
 - Nie potulnie. Na to nie liczyłem. Głęboko zaczerpnęła powietrza.
 - Narażasz nie tylko moje życie, ale i Monty'ego. Jeśli te szumowiny zorientują się, że usiłuję ich wytropić, pierwszą rzeczą, jaką zrobią, będzie zastrzelenie jego.
 - Będę na was bardzo uważał. Zrobię wszystko, żebyście byli bezpieczni.
 - I myślisz, że ci uwierzę? Potrząsnął głową.
 - Nie, ale niemniej to prawda.
 - Nigdy nie będę miała do ciebie zaufania. Wykorzystujesz wszystko i wszystkich dla własnych korzyści. To ja będę się troszczyć o bezpieczeństwo Monty'ego. Nie obchodzi cię nikt ani ... - urwała. Dlaczego w ogóle z nim dyskutuje? Wiedziała, że nie ma wyboru. On i Madden zapędzili ją do narożnika. - Jak długo to potrwa?
 - Nie mam pojęcia.
- Zamknęła oczy, czując, że oblewa ją fala gniewu i zniechęcenia.
- Niech będzie. Wykopię spod ziemi twojego człowieka. - Otworzyła oczy i dodała jadownicę: - Ale wtedy znajdzie sposób, by cię dopaść. A jeśli zginie mój pies, będziesz żałował, że się w ogóle urodziłeś.
 - W to akurat wierzę. - Zjechał z autostrady na drogę, prowadzącą na lotnisko. - Wiesz, nawet wykorzystując Maddena na postrach, nie byłem pewien, czy ze mną pojeździsz. Madden musi mieć na ciebie potężnego haka. Nie powiesz mi, o co chodzi?
 - Idź do diabła, Logan.

Rozdział trzeci

- Jesteśmy w powietrzu już od ponad sześciu godzin -rzekł Logan. - Byłoby miło, gdybyś powiedziała słówko albo dwa. A może nawet trzy.
- Powiedzieliśmy już wszystko, co mieliśmy sobie do powiedzenia, i nie zamierzam być miła. - Zjadłabyś coś? - zapytał Logan.
 - Nie.
 - A Monty? Może on jest głodny?
 - Monty jada tylko dwa razy dziennie. Nakarmiłam go w domku. - Sara zwinęła się w fotelu i wyjrzała przez okno. - I nie musisz się troszczyć o Monty'ego. Sama się nim zajmuję. - To oczywiste. Pomyślałem tylko, że zagram rolę gościnnego gospodarza i zaproponuję poczęstunek.
 - Proponujesz nam poczęstunek, a potem wystawisz nasze życie na szwank?

- Robię, co mogę - odparł znużonym głosem. - Mówiłem już, że będę się starał was chronić.

Pogłaskała Monty'ego po głowie.

- Co z tego, że się będziesz starał - rzekła przez zaciśnięte zęby. - Wiesz, jak ja się czuję? Nie tylko ty odpowiadasz za narażenie Monty'ego na niebezpieczeństwo. To mój pies. Główny ciężar odpowiedzialności zawsze spoczywa na mnie. On nigdy nie odmawia, więc jeśli poweźmę błędną decyzję, wina spadnie na mnie.

- Nawet jeśli zmusiłem cię do tego szantażem?

- Właśnie dlatego jesteś sukinsynem, ale koniec końców to ja decyduję.

Milczał przez chwilę.

- Wystarczy, że wykryjesz obóz. Nie znajdziesz się nawet na milę w zasięgu ognia. Nic nie grozi ani tobie, ani Monty'emu.

- Wiem - odparła sarkastycznie. - Będziesz się starał nas chronić.

- Nic złego się wam nie stanie. Przysięgam. - Odwróciła się, by nań spojrzeć. - Nie wierzysz mi?

- A dlaczego miałabym ci wierzyć?

- Rzeczywiście, dlaczego? Czasami wkracza los i czło-

wiek nie może już zmienić biegu wypadków. Ale jeśli uda mi się wydostać z tej dżungli, to znaczy, że ty i Monty również przeżyjecie. - Skrzywił się. - Zapewniam cię, że niełatwo mi złożyć taką obietnicę. Mam silny instynkt samozachowawczy. - Podniósł się. - Pójdę pogadać z naszym pilotem. Zrób listę rzeczy potrzebnych ci do wykonania tego zadania, a ja zadzwonię do swojej asystentki i każę jej upewnić się, że wszystko to czeka na ciebie w Santo Camaro. W szufladzie stolika obok ciebie leży blok papieru i ołówek. Nie będzie mnie najwyżej piętnaście, dwadzieścia minut, ale z pewnością nie odczujesz braku mojej obecności.

- W każdym razie niezbyt boleśnie. - Patrzyła, jak idzie po pokładzie, po czym sięgnęła po notes, ołówek i zaczęła sporządzać listę. Dlaczego tak usilnie starał się przekonać Sarę, że będzie chronił i ją, i Monty'ego? Nic dla niego nie znaczyli. Byli zwykłymi narzędziami, dzięki którym wydobędzie to, co chce. A jednak przez chwilę mu uwierzyła. Widywała nieuczciwych urzędasów i potężnych notabli w miastach dotkniętych klęskami żywiołowymi na całym świecie i umiała rozpoznać szczerłość, gdy przypadkiem któryś z oficjeli ją okazał.

Ale czy rzeczywiście? Logan nauczył się manipulowania

ludźmi w radach nadzorczych dziesiątek korporacji. Może niezbyt dobrze się nawzajem rozumieją.

Bzdura. Albo Sara wierzy w swój zdrowy rozsądek, albo nie. Czy Logan jest skończonym sukinsynem, czy też uchowała się w nim odrobina dobra, które dałoby się wykorzystać?

Skończyła sporządzanie listy, po czym przymknęła powieki. Nie chce wykorzystywać nikogo ani niczego. Pragnęła tylko wrócić do domu i zapomnieć o Loganie, Mad-denie i wszystkim, co się z nimi wiąże.

- Kawy?

Gdy otworzyła oczy, ujrzała, że Logan wyciąga ku niej filiżankę. Uśmiechnął się słabo.

- To tylko kawa, nie biesiada z nieprzyjacielem. A poza tym, powinnaś wyciągnąć ode mnie wszystko, co się da. Smakowite potrawy, napoje, pieniądze. - Spojrzał na Monty'ego. - Mam rację, chłopie?

Monty uderzył ogonem w podłogę, po czym przewrócił się na grzbiet.

Logan podrapał go po brzuchu. Z głębi gardła psa dobiegło miękkie bulgotanie.

Dobry.

- Zdrajca - wymamrotała. Miły.

- Akurat.

Logan uniósł brwi.

- Czegoś nie dopatrzyłem?

- Nie przekonasz mnie, że jesteś fantastycznym facetem tylko dlatego, że pieścisz mojego psa. - Ale on mnie lubi.

- Nie pochlebiaj sobie. On wszystkich lubi. To golden retriever, na miłość boską. Wiadomo, że te psy są bardzo sympatyczne ... nawet dla ludzi, którzy na to nie zasługują.

Miły.

Spojrzała na Monty'ego z niesmakiem. Zadnego rozeznania.

- Dlaczego czuję się tu, jakbym się urwał z choinki? – Logan gwałtownym gestem podał jej filiżankę. - Z rapor-tów, które czytałem na twój temat, wynika, że nieomal potrafisz czytać w myślach tego psa ... teraz zaczynam do-chodzić do wniosku, że i twój umysł nie ma przed nim ta-jemnic. Wypij kawę, a ja przyniosę twemu serdecznemu druhowi miskę wody.

Zanim zdążyła zaproponować, szedł już do kuchni. Mont y przewrócił się na brzuch. Miły.

Nie zwracając na niego uwagi, upiła łyk kawy. Kusiło ją, by odmówić, lecz była tak zmęczona, że ledwo mogła ze-brać myśli, a to, co mówił, brzmiało sensownie. Dlaczego ma go nie wykorzystać, skoro on wykorzystuje ją? Ze-sztywniała nagle, gdy dotarła do niej ta myśl. Mój Boże, dlaczego nie? Dlaczego ma tu siedzieć, użalając się nad so-bą, skoro nadarza się jej możliwość, by ...

- Dobrze. Obawiałem się, że wylejesz tę kawę na podło-gę. - Logan postawił przed Montym delikatną chińską czarzkę. - Cieszę się, że wykazujesz rozsądek.

- To znaczy robię to, co ty chcesz? - Pociągnęła następ-ny łyk. - Miałam ochotę na kawę, więc się napiłam. Nie zamierzam wykonywać pustych gestów.

- Dlaczego Mont y nie pije?

- Jedzenie i picie przyjmuje tylko z moich rąk. - Do-tknęła brzegów czarki i Manty łapczywie zaczął chleptać wodę. - To ładna porcelana. Mont y mógłby ją stłuc. Gdy opróżni miskę, lubi popychać ją, gdzie popadnie.

- Mam tylko taką, a on zasługuje na najlepsze rzeczy.

- Owszem. Pieprz tę porcelanę. - Rozejrzała się po luksusowym wnętrzu odrzutowca. - Pięknie tu. Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

- Cenię wygodę. Często podróżuję, a najgorzej się czuję, gdy wysiadam z samolotu zmęczony i poirytowany. Jedna omyłka protokolarna albo błędne posunięcie finansowe i cała wyprawa może się zdać psu na budę. - U siadł obok niej. - Często latałaś samolotami wielkich korporacji?

- Czasami. Rząd rzadko płaci za transport grup poszu-kiwawczo-ratowniczych, a obecna administracja daje tyle co nic. - Skrzywiła wargi. - Choć chętnie podłączają się pod wszelką reklamę, jaką im robimy. W razie potrzeby najczęściej przewożą nas korporacje.

- Dziwi mnie to. Miliardy dolarów na pomoc zagra-niczną i ani centa na akcje ratunkowe?

- Jakoś dajemy sobie radę. - Wzruszyła ramionami. –Może to i lepiej, że rząd się nie wtrąca. Prawdopodobnie musielibyśmy wypełniać podania w trzech egzemplarzach i składać dodatkowe zobowiązania.

Milczał przez chwilę.

- Jak to, którym Madden trzyma cię w szachu? Zesztywniała.

- Ty sam też lubisz pociągać za sznurki. Obaj kochacie władzę•

Szybko zmienił temat.

- Pracujesz dla Grupy Kryzysowej, prawda? Czy nie pokrywają kosztów wysyłania ciebie i Monty'ego na miej-sce katastrofy?

- Tylko kiedy w grę wchodzi materiały wybuchowe. Gru-pa Kryzysowa nie ma sekcji poszukiwawczo-ratowniczej.

- Więc dlaczego podjęłaś tę pracę?

- Musiałam z czegoś żyć. - Wyjrzała przez okno. - Po pierwszym roku byłam tylko luźno związana z Grupą Kry-zysową. Monty'emu i mnie pozwolono na ochotnika brać udział w akcjach ratowniczych, gdy akurat nie byliśmy przydzieleni do wydziałów policji w sprawach szczególnie trudnych.

- Poszukiwania zwłok?

- Tak.

- Dlaczego to robiłaś? Nienawidzisz tej roboty. Musiałem cię zdrowo przycisnąć, żebyś pomogła Eve. - Robiłam to, co musiałam.

Zwężonymi oczyma przyjrzał się jej twarzy, z której rysów nie mógł niczego wyczytać.

- A dlaczego musiałaś to robić? Nie mogłaś po prostu odejść?

- Mówiłam ci, jakoś trzeba zarabiać.

- To chyba nie jest prawdziwy powód. Prowadzisz prosty tryb życia i najwyraźniej ci to odpowiada - rzekł z namysłem. - Proponowałem ci każdą sumę za wykonanie tej pracy. Więc nie chodzi o pieniądze. Szantaż? Jakaż też zbrodnię musiałabyś popełnić, żeby być na każde skinienie Maddena?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Zamordowałam sukinsyna, który wtykał nos w nie swoje sprawy.

Zachichotał.

- Przepraszam. Moim przekleństwem jest dociekliwy umysł. Stanowisz ciekawą zagadkę, Saro. Wprost nie można się oprzeć pragnieniu, by cię rozwiązać.

- Bo myślisz, że będziesz potrzebował na mnie jeszcze jednego haka?

Jego uśmiech zgasł.

- Nie.

- Bzdura. Cały czas kombinujesz, rozważasz wady i zalety, zastanawiasz się, jak mnie zażyć z mańki, główkujesz, które posunięcie będzie dobre, a które złe. Otóż to było złe posunięcie, Logan.

- Nic innego nie przychodziło mi do głowy.

- Zawsze jest wybór. Wybrałeś Monty'ego i mnie. Może dokonałeś najgorszego wyboru w życiu. Bo jeśli cokolwiek stanie się Monty'emu, dopadnę cię i rozszarpie na kawałeczki. - Jednym łykiem dopiła kawę. - Siedząc tu, też się zastanawiałam. Z jakiegoś powodu chcesz, żebym dobrowolnie pomogła ci odnaleźć Bassetta. Nie wiem dlaczego. Może jesteś na tyle inteligentny, by zrozumieć, że współpraca w zgranym zespole zwiększa szanse na wydobycie.

- Porzuć myśl, że będę się wzdrygał przed użyciem siły.

- Ani na chwilę nie przyszło mi to do głowy. Jak Madden, imasz się wszelkich środków. Jeśli trzeba będzie zastosować przemoc, dobędziesz siekierki. - Zaciśnęła wargi. - Jestem ciągle wykorzystywana i mam już tego serdecznie dosyć. Więcej na to nie pozwolę. W każdym razie ani tobie, ani Maddenowi.

- Doprawdy?

- Zależy ci na współpracy. Mogę z tobą współpracować.

Wydobanę twojego człowieka, ale chcę stosownej zapłaty. - Powiedziałem już, że gotów ci jestem zaoferować każdą sumę.

- Chcę, żeby Madden wyniósł się z mojego życia. Milczał przez chwilę.

- Nie wątpię, że jest wyjątkowo antypatyczny, ale nie chcesz chyba, żebym wynajął człowieka, który by go usunął. To byłoby dosyć niezręczne.

- A jeśli powiem, że tak? - zapytała z ciekawością.

- Musiałbym się nad tym zastanowić.

Jej oczy rozszerzyły się, gdy się zorientowała, że Logan wcale nie wyklucza takiej możliwości.

- Nie wygłupiaj się. Chciałam tylko, żeby wyniósł się z mojego życia, by przestał trzymać mnie w garści.

- Wielce mi ulżyło. Nie chcesz mi wyjawić, jakim sposobem zdobył nad tobą taką władzę? Nie odpowiedziała.

- Tak też myślałem. Nie masz do mnie zaufania. Boisz się, że przejmę smycz od Maddena. Nie przyszło ci do głowy, że nadal jesteś narażona na to ryzyko?

- Przyszło. To część umowy. Chcę się uwolnić od was obu.

- A więc ufasz mi bardziej niż Maddenowi.

- Eve ci wierzy. Umiesz dotrzymać słowa. A kiedy skończę tę pracę, nie będę ci do niczego potrzebna. Wtedy pozwolisz mi odejść.

- To prawda. Ale nie będę mógł ci pomóc, jeśli odejdiesz w ciemno.

- Powiem ci, kiedy przyjdzie pora.

- A dlaczego uważasz, że ci pomogę?

- Nie mam dość siły, by się wyrwać z jego łap, inaczej

zrobiłabym to dawno temu. Więc umowa stoi?

Logan z wolna skinął głową.

- Jeżeli postarasz się jak najlepiej, wyeliminuję Maddena z twojego życia, niezależnie od tego, czy uda się nam uwolnić mojego człowieka. Masz na to moje słowo.

Na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia.

- Nie jestem takim sukinsynem, za jakiego mnie uważasz - rzekł szorstko Logan. - Zapytaj Eve.

Jak powiedziałaś, ona mi ufa.

- Ma do ciebie szczególny stosunek. W końcu byliście kochankami. Względem niej prawdopodobnie zachowywałeś się inaczej niż wobec innych.

- Tak, bardzo się starałem, żeby ją traktować jak człowieka. Kosztowało mnie to wiele wysiłku. - Podniósł się. - Muszę zadzwonić do paru osób. Wyciągnij się na kanapie i spróbuj się zdrzemnąć. Wylądujemy w Santo Camaro. - Wziął ze stołu listę. - To wszystko, czego potrzebujesz?

- Wszystko.

- Dopilnuję, żeby niczego nie zabrakło - powiedział i ruszył przejściem między fotelami.

Rozgniewała go, a on okazał się nieoczekiwanie drażliwy. Może nie był tym człowiekiem ze stali, za jakiego go uważała. Ale nieważne, czy jest mięczakiem, czy twardziellem, jeśli usunie Maddena z jej życia.

Madden przestanie trzymać ją w szachu ...

Ta myśl sprawiła jej niewiarygodną ulgę. Przez lata żyła bez nadziei i nagle wyłoniła się taka możliwość. Wygra czy przegra, Madden zniknie z jej życia, jeśli tylko wykona zadanie. Logan dał jej słowo.

Monty zaskomlał cicho i położył głowę na jej podołku, wyczuwając podniecenie swojej pani.

- Mamy szansę, chłopie - wyszeptała. - Jeśli nie kłamie, możemy na tym całkiem nieźle wyjść.

Miły.

- Nie jest miły, ale to nieważne, jeśli dotrzyma słowa. Miły.

Uparte psisko. Podniosła się i podeszła do kanapy.

- Chodź, musimy się trochę przespać. Będziemy w szczytowej formie, załatwimy się z tym szybko i wrócimy do domu.

Monty ułożył się na podłodze przed kanapą, lecz powędrował wzrokiem do kabiny, w której zniknął Logan.

Miły ...

- Więc jednak ją namówiłeś? - zapytała Margaret, gdy Logan wytrajkotał jej całą listę Sary. - Miałam nadzieję, że załatwisz to siłą.

- Wiem. Dałaś mi to bardzo jasno do zrozumienia - rzekł Logan. - Dowiedz się wszystkiego, co się da o Mad-denie. Chcę mieć pełny raport.

- Na ile pełny?

- Muszę znać nazwisko każdego dzieciaka, którego napastował w przedszkolu.

- Ach, o to chodzi! Jak rozumiem, nie gramy już w jednej drużynie?

- Jest w komitecie zbierającym fundusze dla Grupy Kryzysowej, ale chyba nie dzięki temu podporządkował sobie Sarę Patrick. Musi się za tym kryć coś jeszcze.

- Zgodziła się z tobą współpracować, więc co to za różnica?

- Jest różnica. Są dla mnie jakieś wiadomości?

- Dzwonił Galen z Bogoty. Powiada, że to nie jest pilne, ale chce, żebyś się z nim skontaktował.

- Jak tylko skończę rozmawiać z tobą. Czy mówił o jakichś kłopotach?

- Nie, prosił, żebym ci przekazała, że zespół jest na miejscu. - Urwała, po czym dodała niechętnie: - Wiesz, naprawdę go lubię.

- I to cię dziwi? No tak, oczywiście. Nie powinnaś lubić takich mężczyzn jak Galen. To narusza twój kod.

- Tak, ale Galen jest ... inny. .

- To nie ulega wątpliwości. Zadnych wieści od Castletona?

- Nie odzywał się ani słówkiem. Znalezienie czegoś na Maddena może zająć trochę czasu. Jest

politykiem, a oni starannie ukrywają swoje ciemne sprawy.

- To je odkryj.

- Jak tam pudelek?

- Lepiej mi idzie z nim niż z Sarą.

- Cóż, trudno ją winić za ...

- Zadzwoń, gdy dotrzemy do Santo Camaro. - Zakończył rozmowę i wybrał numer Galena.

- Co się dzieje?

- Nie przywitasz się? Zadnych grzecznościowych for-

mułek? - cedził słowa Galen. - Myślałem, że po tylu latach w Tokio nabrałeś manier.

- Namierzyłeś go?

- Czy kiedykolwiek cię zawiodłem? Mam ogólne zamiary, ale Sanchez powiada, że Rudzak przenosi się co parę dni. I ma zamiar założyć pozorowane obozowisko na przynętę

- Musimy natychmiast znaleźć główny obóz. Nie mamy chwili do stracenia. Wpadniemy tam i natychmiast wypadniemy, bo inaczej będziemy mieli martwego zakładnika. Jesteś pewien, że wydobyłeś z Sancheza prawdę?

- Czuję się głęboko urażony. Nie tylko brak manier, ale jeszcze i wątpliwości? Przyznaję, że Sanchez był uparty, ale zdołałem przemówić mu do rozumu.

- Przekupiłeś go?

- Nie. Sanchez i tak robi ogromne pieniądze na handlu narkotykami. Tu w obrocie są miliony. Przekonałem tę kupę gówna, że będzie bezpieczniejszy, uciekając przed Rudzakiem niż przede mną. Wyobrażasz sobie, że nie brał mnie poważnie?

- Ale to z pewnością długo nie trwało.

- Prawie pół godziny.

- Tracisz formę.

- A teraz chcesz mnie obrazić? - Cmoknął z dezaprobatą. - A przy okazji przeprowadziłem te prace badawcze, które zważyłeś mi na głowę.

- I co?

- Wszystko się potwierdziło.

Ręka Logana zacisnęła się na słuchawce. - Sukinsyn.

- Chcesz, żebym się tym zajął?

- Nie, sam tego dopilnuję. - Do diabła, dobrze o tym wiedział. - Ale Sanchez nie może pisać ani słówka Rudzakowi.

- O tym nie ma mowy. Wysłałem go za granicę z walizką pieniędzy Rudzaka, które ma wyprać. Nie utrzymują żadnego kontaktu.

- To dobrze - rzekł Logan. - Będziemy w Santo Camaro za parę godzin.

- Już wyjeżdżam. Dotrę tam za godzinę i zawiadomię Castletona, żeby odebrał was z lotniska.

Logan zakończył rozmowę. Wszystko się kręciło. Galenowi, jak zwykle, udało się zdobyć potrzebne informacje. Logan trzymał Sarę i Monty'ego w garści i znalazł sposób, by Sara dobrowolnie dla niego pracowała.

Taaak, oczywiście. W istocie panowanie nad sytuacją przejęła Sara. To ona tak obróciła kota ogonem, że z ofiary stała się głównodowodzącą. Ile razy robiła to ze swoim życiem z minuty na minutę?

Chryste, co on wyprawia? Powziął decyzję i nie czas teraz na daremne żale. Wecisnął telefon do kieszeni i przeszedł między fotelami do kabiny pilotów.

Sara spała na kanapie i nawet się nie poruszyła, gdy przy niej przystanął. Monty otworzył oko i leniwie machnął ogonem.

- CiiL.

Ale Sara nie obudziła się, a nawet we śnie zwinięta była w pozycji obronnej, mięśnie miała zaciśnięte i sztywne.

Poszukiwanie i ratownictwo. Co skłania człowieka do uprawiania zawodu, który jest nie tylko niebezpieczny, ale wzbudza ciągłe poczucie rozpaczki? Żadne raporty ani opracowania nie ujawniają, co daną osobę tak naprawdę porusza. Logan wiedział, że Sara jest silna, sprytna, zna życie jako

prawdziwe dziecko ulicy i ma przewrotne poczucie humoru, z którym odnosi się do wszystkich, z wyjątkiem niego. Ale zaczynał zdawać sobie sprawę, że za tą szorstką powłoką może kryć się o wiele więcej. Jaką kobietą jest Sara Patrick?

Chyba się nie dowie. Była czujna, a on okopał się w obozie nieprzyjaciela. A tam, do diabła! Cóż to ma za znaczenie. Nie musi jej poznawać. Tak będzie lepiej. Dawno temu przekonał się, że niebezpiecznie jest zbliżać się do ludzi w niebezpiecznych sytuacjach. Ból po ich utracie jest zbyt wielki.

Chen Li.

Myśl o niej zepchnął z powrotem w ciemność, gdzie było jej miejsce. Miał wówczas mniej lat, mniej doświadczenia. Ta historia nie musi skończyć się tak jak tamta. Sara Patrick nie jest Chen Li.

Sarę może utrzymać przy życiu.

Santo Camaro

- To jest Sara Patrick - przedstawił ją Logan na lotnisku. - Ron Castleton. Pracuje dla mnie.
- Jak i my wszyscy - mruknęła pod nosem. Gestem nakazała Monty'emu, by wskoczył do samochodu Castletona. - Miło mi pana poznać, panie Castleton. Nie mam zaświadczenia o stanie zdrowia Monty'ego. Czy władze będą robiły z tego powodu jakieś trudności?

Castleton gapił się na psa szeroko otwartymi oczyma.

- Co to za historia? Gdyby mnie uprzedzono, mógłbym ...

- Nie potrzebujemy żadnych zaświadczeń - oznajmił Logan. - Wyniesiemy się stąd, zanim ktokolwiek zorientuje się, że w ogóle przylecieliśmy.

- A jeśli nie zdążymy?

- Zajmę się tym. - Logan usiadł w fotelu pasażera na przodzie. - Miałeś jakieś wiadomości od Galena?

- Jest na obiekcie. Powiedział, że chcesz zacząć na tychmiast.

- I słusznie. - Spojrzał na niebo, które już zaczynało się ściemniać. - Ale chyba zaczekamy do rana. Rudzak się nie odzywał?

- Ani słówkiem, odkąd zostawiłem pieniądze tam, gdzie mi kazał. - Zerknął z ukosa na Logana. - Ale wszędzie ma swoich informatorów. Pewnie w tej chwili też ktoś nas śledzi.

- W takim razie zabierajmy się stąd. Castleton uruchomił samochód.

- Ten pies na nic się nie zda, a tylko nas zdradzi. Rudzak wie, że szukamy Bassetta. Ma ludzi, którzy mogą wytropić ...

- Dlatego musimy działać szybko.

- Masz te wszystkie rzeczy z mojej listy? - zapytała Sara.

Castleton zmarszczył brwi.

- Jakie rzeczy? Nie dostałem żadnej listy.

- Galen już to załatwił, Sara - rzekł Logan. - Margaret zadzwoniła do niego, kiedy tu jechał, i podała mu spis wszystkiego, czego potrzebujesz.

- Nie podoba mi się, że wciążacie w to kobietę. - Castleton zerknął przez ramię na Sarę. - Czy Logan wytłumaczył ci, jak niebezpieczna jest ta sprawa? Mam nadzieję, że wiesz, w co się pakujesz.

Tak naprawdę o niczym nie miała pojęcia, niech ich wszystkich szlag.

- Dzięki za troskę, ale jakoś sobie poradzimy. - Lecz słowa Castletona nie polepszyły jej samopoczucia. A ten upał... Przez niego poszukiwania będą dwa razy trudniejsze. Ciężko było oddychać, a Monty już sapał. - Opuściła rękę i pogłaskała go po łbie. - Trzeba cię będzie przystrzyc, chłopie.

- Nie mamy na to czasu.

- Przecież nie zaprowadzę go do fryzjera dla psów. Sama to zrobię. - Zaciśnęła wargi. - Nie wezmę go do dżungli, zanim mu trochę nie ulży. To długowłosego pies, a nie wiadomo, ile czasu potrwają poszukiwania.

- Jeżeli źle znosi upały, będziemy mieli kłopoty.
- Już się marnie czuje. Muszę go przystrzyc.
Logan otworzył usta, by zaprotestować, lecz po namyśle postanowił siedzieć cicho.
- Dobrze, jakoś to zorganizujemy.
- Mam nadzieję. - Wyjrzała przez okno. Skręcili w wyboisty, ubity trakt, który po obu stronach zarastała bujna roślinność, ledwo zostawiając miejsce na samochód. Nie tylko pogoda dawała się im we znaki.
- Kim jest ten Galen? Jakimś twoim pracownikiem? Logan skinął głową.
- To wolny strzelec. Ktoś w rodzaju agenta.
- Ktoś w rodzaju?
- Jesteśmy na miejscu. - Castleton zakręcił, po czym zatrzymał wóz z piskiem opon, by nie potraścić człowieka, stojącego na środku drogi. - Co, do diabła! Oszalałeś, Galen? - Nad tym zastanawiano się przez dziesiątki lat. - Wyszczrzył zęby do Logana. - Co ja mam z tobą zrobić? Załóż się spóźniasz. Obiad jest już na stole.
- Omal nie zjechałem z drogi. - Castleton wyłączył zapłon. - Nie spodziewałem się ...
- Nie sądziłem, że grozi ci jakieś prawdziwe niebezpieczeństwo. To teren prywatny, a ty jesteś ostrożny, Castleton. Wiedziałem, że będziesz się turlał powolutku. - Otworzył tylne drzwi i gwizdnął cicho na widok Monty'ego, leżącego na podłodze. - Ach, więc to jest amator psich herbatników, które trzymam w plecaku. Przyznaję, że doznałem lekkiego rozczarowania. Myślałem, że są dla ciebie, Logan. Miałem nadzieję, że nabrałeś kulinarnej fantazji. Pamiętasz, jak nie chciałeś zjeść tych wysmienitych robali w osadzie Maorysów.
- To jest Sean Galen - przerwał Logan. - Sara Patrick i jej pies Monty.
- Bardzo mi miło. - Galen uśmiechając się, pomógł jej wysiąść z samochodu.
Liczył sobie pod czterdziestkę, był wzrostu nieco powyżej średniego, wyglądał szczupło, lecz atletycznie. Ciemne włosy nosił krótko obcięte, lecz i tak zwijały mu się w niesforne loki. Oczy miał równie ciemne i powabne, co włosy. Energia biła zeń falami.
- Lubi pani szynkę zapiekaną z makaronem? Brytyjczyk? Mówił ledwo uchwytnym akcentem niższych sfer.
- Tak.
- Świetnie, bo to właśnie mamy na kolację. - Zerknął na Monty'ego. - Dla ciebie mogę też trochę podwędzić. Ta psia karma i witaminy, które ze sobą przywiozłem, nie wyglądają zbyt zachęcająco.
- A więc na tym polegają te kulinarne fantazje - mruknął Logan.
- Nie wiem, jak pani, ale Castleton sprawia na mnie wrażenie człowieka, który najchętniej wcina kawał mięcha z kartoflami. - Zszedł na pobocze. - Tędy. Założyłem obóz w pewnej odległości od tych ruin. Przygnębiają mnie.
Po raz pierwszy Sara pobiegła spojrzeniem ku wypalonymu budynkowi paręset metrów przed nią. Była tak rozgniewana, zmartwiona i pełna niechęci, że nie pomyślała nawet o ludziach, którzy tu mieszkali i zginęli. Żywoty, tak pełne obietnic, przecięte kulami zabójców ...
- Widzisz? Pani też posmutniała - rzekł Galen. - Chodź, Castleton. Pomożesz mi podawać do stołu.
- Muszę wracać do miasta.
- Po kolacji. Chcesz mi zrobić przykrość?
- Powinienem ... - Castleton wrzucił ramionami i poszedł za Galenem w zarośla.
Stała, patrząc za nimi przez chwilę. Miała wrażenie, że nikt nie zwraca na nią najmniejszej uwagi, co nie bardzo jej odpowiadało.
- Nie obawiaj się. - Logan ujął ją za łokieć. - Nie otruje cię. Prawdę mówiąc, zadowolili najwybredniejszego smakosza. - W środku dżungli?
- W oku cyklonu. Przystosuje się do każdej sytuacji.
- Nie bałam się, że mnie otruje. Po prostu poczułam się zaskoczona.
- Doskonale cię rozumiem. - Delikatnie popchnął ją na pobocze. - Mnie nieraz zaskakiwał. Najwyraźniej byli starymi, dobrymi przyjaciółmi. - Arobale?
- Nie powiedział ci, że naprawdę jadłem te świństwa.
Zapędził mnie w kozi róg, tak że rzeczywiście musiałem je przełknąć, bo inaczej obraziłbym

Maorysów.

- A co to właściwie za robale?
 - Larwy. Odrażająco podobne do glist.
 - Tak myślałam. - Uśmiechnęła się. - Chyba zaczynam lubić twojego Galena.
 - Tak właśnie sądziłem. Dzięki tej opowiastce stanie się bliski twemu sercu. - Milczał przez chwilę.
 - Możesz mu wierzyć, Saro. Jeśli coś mi się stanie, słuchaj go, a wydobędzie cię stąd.
- Przejął ją chłód, na który starała się nie zwracać uwagi. - Z zasady nie ufam nikomu i sama się sobą zajmuję•

A co on robi dla ciebie?

- Powiedzmy, że wzywam go, gdy mam kłopoty.
- Takie, jak ten?
- Kłopoty to jego specjalność. Więc nie denerwuj się, jeżeli przejmie komendę, gdy zaczniesz się robić gorąco.
- A ty pozwalasz mu przejąć komendę?
- Do diabła, tak.

Przyjrzała mu się sceptycznie.

- Jak na moje oko, ufasz tylko sobie.
- Już dawno nauczyłem się wynajdywać sobie zastępców. - Uśmiechnął się. - Z jakiego innego powodu bym się za tobą tak uganiał?
- Nie bardzo widzę, żebyś się usunął i dał mi wolną rękę w pracy.
- Niezależnie od tego, co o mnie myślisz, nie mogę zrzucić z siebie odpowiedzialności.
- Od jak dawna znasz Galena?
- Od jakichś piętnastu lat. Spotkałem go w Japonii.

Właśnie wyszedł z wojska i pracował dla miejscowego przedsiębiorcy.

- Więc go zatrudniłeś?
 - Wtedy jeszcze nie mogłem sobie na to pozwolić. Dopiero co założyłem własną firmę i usiłowałem utrzymać się na powierzchni. W ciągu następnych kilku lat zrealizowaliśmy wspólnie parę przedsięwzięć. Potem, gdy zacząłem mieć kłopoty osobiste, pomógł mi się pozbierać.
- Jakie też mógł mieć kłopoty osobiste, zastanawiała się Sara. Nie miała zamiaru pytać. Nie chciała nic wiedzieć o jego życiu prywatnym. Pragnęła po prostu wykonać swoją robotę i pójść własną drogą.

- I od tej pory dla ciebie pracuje?
- Od czasu do czasu. - Podeszli do polanki, na której Galen rozbił obóz. Ku jej zdumieniu, przy ognisku stał stół, nakryty adamaszkowym obrusem i kolorową porcelaną.
- A niech mnie!

Galen podniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Mama zawsze mi powtarzała, że nawet majówka winna być wykwinna.
- Uważa pan, że to zadanie to coś na kształt majówki?
- Zależy, jak na nie spojrzeć.
- Ciekawe, jak pan zamierza przetransportować te wszystkie rzeczy?
- W ogóle nie zamierzam. Są do jednorazowego użytku. Tak jak wszystko.
- Chyba nie wszystko.
- Miło mi to słyszeć. - Uniósł brwi. - Wreszcie spotkałem kogoś, kto nie jest cynikiem. - Uważnie nakładał makaron.
- Powiedz, Logan, czy te wijące się nitki nie przypominają ci robali?

Zapiekanica była wyśmienita, a kawa, którą Galen podał po niej, jeszcze lepsza.

- Niestety, nie ma deseru. Może następnym razem. - Uniósł brew. - Pozmywasz, Castleton? Na ciebie wypada.

Castleton podniósł się.

- Muszę wracać do miasta. Mam jeszcze do załatwienia parę rzeczy, żeby wypisać naszych ludzi ze szpitala. Dzięki za kolację. Była naprawdę doskonała.

Galen wykrzywił się.

- Pochwałami nie zmyje się naczyń. Logan wstał.
- Odprowadzę cię do samochodu, Castleton. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.
- Jasne. - Castleton odwrócił się do Sary. - Uważaj na siebie. Życzę powodzenia.
- Dziękuję•

Patrzyła, jak Castleton i Logan wolnym krokiem idą przez porębę i wchodzą między drzewa, po czym zaczęła zbierać talerze.

- Usiądź i napij się jeszcze kawy - rzekł Galen. - Zarto-wałem.
- Janie. Wypadło na mnie.

- Słusznie. Mówiłaś, że musisz podstrzyc szczeniaczka. -

Kiwnął głową w kierunku Monty'ego. - Będziesz miała niezłą robotę z tymi złotymi klaczkami.

Chciałbym, żebyś się trochę przespała w nocy.

- To mi nie zajmie wiele czasu. Mont y jest bardzo grzeczny.

- Podstrzyż szczeniaka - rzekł stanowczo, zabierając od niej naczynia. - Możesz stłuc moją cenną porcelanę.

- To plastik.

- Zauważyłaś? W katalogu przysięgali, że nikt nie za-uważa różnicy.

- Nabrali cię, Galen - uśmiechnęła się.

- I tak przez całe życie. Przynieść ci nożyczki? Są w ple-caku, razem ze wszystkimi rzeczami, o które prosiłaś.

Tej rundy nie wygra. Nie ulegało wątpliwości, że mimo sympatycznego stylu bycia, Galen jest człowiekiem nie-zwykle stanowczym.

- Wyciągnę je.

- Dałaś Loganowi całkiem sporą listę.

Przykłękła i zaczęła grzebać w plecaku.

- Musiałam wyjechać bez ekwipunku. Masz butelkowa-ną wodę? Nie mogę dopuścić, żeby Mont y się rozchoro-wał.

- Więc cała woda jest dla Monty'ego?

- Większość. Mnie wystarczy mniej niż jemu. - Usiadła obok psa. - Chodź, chłopie. Pozbądźmy się tych kudelków.

Westchnął i przewrócił się na brzuch. Galen zachichotał.

- Racja, rzeczywiście jest niezwykle zgodny. Miły pies.

- Masz jakiegoś zwierzaka?

Potrząsnął głową.

- Zbyt wiele podróżuję. Kiedyś miałem papugę, ale musiałem ją oddać. Była tak grubiańska, że moje ego nie mogło tego znieść. Twój Mont y nigdy nie będzie gru-biański.

- Nie licz na to.

- Przynajmniej nie słownie. Może podnieść nogę na coś, na co nie powinien.

Skinęła głową.

- Zawsze daje poznać, kiedy jest niezadowolony.

- Ale najwyraźniej jesteście bratnimi duszami. Od dawna go masz?

- Od czterech lat. Miał rok, kiedy go zobaczyłam w ośrodku szkoleniowym Grupy Kryzysowej. -

Uśmiech-nęła się na wspomnienie tego dnia. - Wyleciał właśnie ze szkoły dla psów przewodników i trenerzy z Grupy Kryzy-sowej go wzięli.

- Wyleciał ze szkoły?

- Był bardzo rozgarnięty - rzekła, stając w jego obro-

nie. - Po prostu miał rozproszoną uwagę, a to mogło sta-nowić niebezpieczeństwo.

- Nie potrafił się skupić?

- Chodzi o jego nos. Był zaledwie szczeniakiem i miał chyba najwrażliwszy węch ze wszystkich kursantów w hi-storii Grupy Kryzysowej. Skoro ciągle bombardowano go zapachami, nic dziwnego, że nie mógł się skupić.

U niósł w górę rękę.

- Nie chciałem obrazić twego psa. Zbyt szanuję te zwierzęta. Widziałem je w warunkach bojowych i raczej wolałbym mieć za kumpla czworonoga niż kogokolwiek na dwóch nogach.

- Przepraszam. Chyba zbyt się uniosłem. Przewróć się, Monty. - Zaczęła przycinać mu sierść na brzuchu. - Mówisz z akcentem, jesteś Anglikiem?

- Urodziłem się i wychowałem w Liverpoolu.

- Logan powiada, że poznał cię przed laty w Japonii.

Skinął głową.

- Obaj byliśmy młodzi i nieopierzeni. Powiedzmy, młodszy i jeszcze bardziej nieopierzeni. Ja uchodziłem za twardziela, a Logana też nie można było uznać za mięczaka, nawet przed śmiercią Chen Li.

- Chen Li?

- Jego żony. Umarła na białaczkę, gdy znaleźliśmy się z Loganem już od paru lat. To ciężka śmierć, a on bardzo ją przeżywał. Szalał na punkcie tej kobiety.

Kłopoty osobiste. Tak, można to uważać za kłopot osobisty. Załowała, że zadała pytanie, które doprowadziło do tego odkrycia. A więc w jego życiu wydarzyła się tragedia.

Życie co rusz daje człowiekowi w kość. Ale, do diabła, nie będzie się nad nim litować.

- Na pewno sobie poradził.

- O tak, poradził sobie. - Galen kończył zmywać ostatni talerz. - Przez jakiś czas trochę świrował, a potem potworzyły się blizny i znowu wszystko z nim było w porządku. Przez jakiś rok włóczyliśmy się po Pacyfiku, a potem wrócił do Tokio.

- Wtedy poczęstował go pan robalami?

- Nie, to było później, kiedy rany już przyschły. Gdybym spróbował tego w pierwszym roku po śmierci Chen Li, złamałby mi kark. - Otaksował wzrokiem Monty'ego. - Bez sierści wygląda jak wielki, żółty niedźwiedź.

- Przynajmniej jest mu chłodniej. - Przysiadła na piętach i zaczęła zbierać z ziemi ścięte kudły. - Ciekawe, gdzie jest Logan. Myślałam, że wróci wcześniej.

- Może po spotkaniu z Castletonem poszedł przyjrzeć się ruinom. - Zmarszczył brwi. - Paskudna sprawa. Rudzak powystrzelał ich jak kaczki.

Zadrżała.

- Po co miałby tam chodzić?

- Może wcale go tam nie ma. Ale założę się, że błąka się wśród tych zgliszcz. Ten wybuch wstrząsnął nim. Pewnie usiłuje coś z tego zrozumieć.

- Nie wydaje mi się, by Logan był taki wrażliwy.

- Bo nie chcesz go za takiego uważać, mam rację? - Wytarł ręce ręcznikiem. - Nieważne. Nudzi mnie ta inteligentna pogawędka. Moja płytka dusza się męczy. Potrzebuję bezmyślnej rozrywki, zanim walnę się do łóżka. Grasz w pokera?

- Dlaczego chciałeś tu wrócić? - Castleton z trudem przełknął ślinę, rozglądając się po wypalonych ruinach. - Boże, dla mnie to ciężkie przeżycie. Niczego tu nie znajdziemy. Mówiłem ci, że odzyskałem wszystkie, nawet najdrobniejsze informacje, które nie zostały zniszczone. Niczego nie przepuściłem, Logan.

- Wierzę ci. Wiem, jaki jesteś sprawny. - Nie patrząc na Castletona, przyklęknął i podniósł nadpalone drewniane pudełko.

- Jak myślisz, co w nim było?

- Nie mam pojęcia. Może dyskietki.

Logan milczał przez chwilę.

- Cztery ofiary. Carl Jenkins, Betty Krenski, Dorothy Desmond, Bob Simms. Czy wiesz, że Betty Krenski czyniła starania, by zaadoptować dziecko, zarażone wirusem HIV, z sierocińca w Afryce Południowej?

- Owszem, ale nie wiedziałem, że ty wiesz.

- Poprosiła mnie o pomoc. Mówiła, że ktoś musi zająć się tymi dziećmi. Usiłowałem wybić jej to z

głowy. Branie na siebie odpowiedzialności za dziecko z HIV może człowieka załamać.

- Ale zgodziłeś się jej pomóc?
- Decyzje trzeba podejmować samodzielnie. Można wywierać na człowieka wpływ, ale nie da się niczego mu na-kazać. Obiecałem, że jeśli pod koniec roku nadal będzie przy tym obstawać, to jej pomogę.
- Szkoda, że nie zwróciła się z tym do mnie. To ja zajmuję się załatwianiem problemów osobistych.
- Myślisz, że z chwilą, gdy cię zatrudniłem, przestałem być odpowiedzialny za pracowników, których tu przysła-łem?
- Jesteś bardzo zajęty.
- Nie aż tak bardzo. To przedsięwzięcie wiele dla mnie znaczyło. Gdy przyjmowałem ich do pracy, przeczytałem ich akta, mogę cytować całe fragmenty z twoich miesięcz-nych raportów. Nie widziałem tych osób na oczy, ale mam wrażenie, jakbym je znał.
- To porządni ludzie. Sam najlepiej o tym wiem. -Castleton urwał. - Bardzo ci współczuję, ale muszę już pędzić. Nie mogę nic zrobić dla tych, których zabito, ale przynajmniej przetransportuję rannych do szpitala w Sta-nach.
- Wiem. Spieszysz się. - Podniósł się. - Widok tego miejsca musi cię wytrącać z równowagi.
- Dlaczego tu wróciliśmy? - powtórzył Castleton.
- Uważałem, że tak wypada. Galen twierdzi, że nie mam odrobiny taktu ani znajomości form, ale niezupełnie odpowiada to prawdzie. Nie w tym szczególnym wypadku. - Jakim wypadku? Co miałem zrobić, Logan?
- Po prostu umrzeć. - Obrócił się i pięścią walnął Castletona pod nosem, aż roztrzaskane kości wbiły mu się w mózg.

Rozdział czwarty

Załatwione? - Galen stał na środku ścieżki, patrząc, jak Logan kroczy zamaszyście pomiędzy drzewami ku obo-zowisku.

Logan skinął głową. - A co ze zwłokami?

- Nikt go tu nie znajdzie.

Galen przyjrzał się Loganowi z ciekawością.

- Już od dawna nie zajmowałeś się taką robotą. Trud-no ci to przyszło?

- Nie.

- Ani trochę? Od dłuższego czasu jesteś szanowanym człowiekiem interesu. Myślałem, że będzie ci ciężko po-wrócić do starych metod.

Logan wykrzywił usta.

- Sprawilo mi to przyjemność.

- Ja też nie lubię zdrajców. Mówiłem, że zrobię to za ciebie.

- Wiem. Ale to była moja robota. Ja go wybrałem. Mo-że gdybym baczniej przyglądał się Castletonowi, wyczuł-bym, że okaże się judaszem. - Twarz mu pociemniała, gdy zerknął przez ramię. - Ci wszyscy ludzie ...

- Prawdopodobnie po prostu skorzystał z okazji. Castleton mógłby pozostać porządnym i uczciwym człowie-kiem, gdyby Rudzak go nie skusił.

- N a ile to było kuszące?

- Sanchez powiada, że zapłacili mu pięć milionów dolarów za pomoc w zorganizowaniu ataku na obiekt i miał dostać następne dwa, gdyby zwabił cię w zasadzkę. Jak zgadłeś, że Castleton siedzi w kieszeni u Rudzaka?

- Nie zgadłem. Po prostu rozważyłem wszelkie możli-wości. Castleton dziwnym trafem znajdował się w mie-ście, gdy nastąpił atak. To było dla mnie punktem wyj-ścia. Mógł to być zbieg okoliczności, ale w tej sytuacji nie chciałem ryzykować przyjęcia takiej tezy. Musiałem mieć pewność. Gdyby był umoczony, dałby mi lipny cynk na Sancheza. Sanchez, urobiony, podałby mi błędne infor-macje na temat miejsca, w którym ukrywa się Rudzak, a ja wszedłbym jak po sznurku

prościutko w zasadzkę. Dlatego do Sancheza posłałem ciebie.

- Ponieważ wiedziałeś, jaki jestem sprawny.

- Ponieważ nie mogłem sobie pozwolić na jeszcze jednego trupa. Myślałem, że ośrodek badawczy jest tu bezpieczny. Ale nie był. Rudzak go wyniuchał.

- Przestań się o to obwiniać. Nie wiedziałeś, że Rudzak znowu wypłynie. Myślałeś, że siedzi w więzieniu w Bangkoku.

- Mylisz się. Zawsze miałem uczucie, że się znowu pojawi.

- Więc powinieneś być wówczas wykończyć go w tym więzieniu. Proponowałem, że to załatwię. - Galen zerknął nań z ukosa. - Dlaczego tego nie zrobiłeś?

Logan nie odpowiedział.

- Nigdy nie mogłem zrozumieć, co zaszło między tobą i Rudzakiem. Przez dłuższy czas uważałem go za twój najlepszy przyjaciel.

- Ja też. Potem zaczął mnie nienawidzić. Ale aż do końca nie dał mi tego poznać. - Wzruszył ramionami. - A teraz nienawidzi mnie jeszcze bardziej. Więc może było mi pisane, że wytnie taki numer.

- Myślisz, że to kwestia przeznaczenia? - Galen potrząsnął głową. - Jesteśmy panami własnego losu.

Logan zgodził się z tym twierdzeniem. Mieszkał tak długo na Dalekim Wschodzie, że nabrał sporego szacunku dla węzłów, jakie spleta życie. Ale wierzył w to tylko do pewnego stopnia.

- Możliwe. Byłem tylko stuprocentowo pewny, że będę pierwszym celem Rudzaka, gdy w końcu przed dwoma laty wykupił się z tego więzienia.

- Dwa lata to długo. Miałem nadzieję, że może o tobie zapomni.

- Spójrzmy prawdzie w oczy. Po tym, co mu zrobiłem?

Czekałem na niego. Wiedziałem, że musi odnowić dawne kontakty, zanim zacznie mnie ścigać. Ale, Chryste Panie, sądziłem, że się nie dowie o tym ośrodku badawczym.

- Jak długo działał ośrodek?

- Trzy lata.

- Zrobili jakieś postępy?

- Na razie byli w fazie wstępnej, ale zapowiadało się to obiecująco. Bardzo obiecująco. Bassett był rewelacyjny.

- Był?

- To lapsus. Liczę, że jeszcze żyje. Ale ponieważ Rudzakowi nie chodzi przede wszystkim o pieniądze, może być różnie.

- Tak też myślałem. Ale mimo wszystko, zrobimy, co się da.

Logan skinął głową.

- Nie pozwolę, by Rudzak zabijał moich ludzi ani krążył nade mną niczym czarna chmura. Zlikwidujemy go. - Jeżeli go znajdziemy. Sara i jej pies są naprawdę dobrzy?

- A myślisz, że wynająłbym jakichś niedorajdów? Ale uważaj na nią, Galen. Gdyby coś się ze mną stało, wydobądź z tego ją i Monty'ego.

- Zrobię, co będę mógł. - Milczał przez chwilę. - Zdajesz sobie sprawę, że jeśli Rudzak przeżyje, ona będzie następnym celem na jego liście?

- Taki głupi nie jestem. Właśnie dlatego nie powiedziałem Castletonowi o niej i o Montym. Teraz pilnuję, żeby trzymała się z dala od któregośkolwiek z ludzi Rudzaka i mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

- A jeśli nie pójdzie dobrze?

- Wtedy będę się martwił. Potrzebuję jej. - Zmienił temat.

- Coś mi nie daje spokoju. Rudzak może igrać z ... - Potrząsnął głową. - Sam nie wiem. Czuję się nieswojo. Gdy zadzwonił, miałem wrażenie, że daje mi jakąś zagadkę do rozwiązania.

- Lipne obozowisko, na które cię wystawia?

- Możliwe. - Rozważał coś przez chwilę. - Wiesz, tuż

przed atakiem na ośrodek przysłał mi skarabeusza. To skarabeusz Chen Li.

- Nie mówiłeś mi o tym.

- Nie byłem pewien, czy to ma jakieś znaczenie. Nadal nie jestem o tym przekonany. - A jak on go zdobył?
- Skradł cały zbiór z jej sypialni, zanim opuścił Tokio. Policja w Bangkoku szukała go, ale niczego nie znaleźli. Myślałem, że sprzedał kolekcję i zamelinował pieniądze. Za taką forszę wydostałby się z kilkunastu więzień.
- Ale najwyraźniej jej nie sprzedał, bo inaczej wy-szedłby z pudła dużo wcześniej. Musiała mieć dla niego jakieś znaczenie.
- Jak najbardziej. Przez całe lata opowiadał Chen Li o starożytnym Egipcie, długi czas próbował robić jej pra-nie mózgu. Kupował książki, prowadził ją do muzeów. Tego skarabeusza otrzymała od niego, gdy miała zaledwie piętnaście lat.
- Dlaczego zadawał sobie tyle trudu, żeby ... - Galen gwizdnął cicho. - Podstępny dupek.
- A potem ja się pojawiłem - ciągnął Logan. - Gdyby Chen Li nie zachorowała, pewnie ni z tego, ni z owego zdarzyłby mi się nieszczęśliwy wypadek. A jemu mogłoby to ująć na sucho. - Wykrzywił usta. - Jak już mówiłeś, uważałem go za swego najlepszego przyjaciela.
- Więc może tym skarabeuszem chciał ci szczególnie dać w kość?
- Może. Ale mam wrażenie, że ... Kto to, do diabła, mo-że wiedzieć? Czuję, że tu coś śmierdzi.
Sara poszła spać?
Galen skrzywił się.
- Ale przedtem trzy razy ograła mnie w pokera. Mog-łaby zarabiać na życie w Las Vegas. Łebska dziewczyna.
- Wiem. Kiedy ją poznałem, puściła mnie w samych skarpetkach. Powiedziała, że poker to ulubiona gra ra-towników, gdy czekają na rozpoczęcie akcji na miejscu katastrofy.
- Cóż, miejmy nadzieję, że ta robota nie okaże się ka-tastrofą. - Dochodząc do obozowiska, ściszyli głosy, by nie obudzić Sary, która spała przy ognisku z Montym u boku. - Jakie mamy szanse?
- Dziś zyskałem trochę czasu. Przypuszczam, że zjedzą dwa dni, zanim Rudzak nabierze podejrzeń. Jeśli będzie-my działać szybko i z zaskoczenia ... jak siedem do dziesięciu.
Galen opadł na karimatę.
- Musimy wykorzystać jedno i drugie. Chcę jeszcze pożyć. Miliony ludzi nie zdążyły poznać się na mojej in-teligencji ani wdzięku.
- Będę o tym pamiętał. - Logan wyciągnął się na swojej karimacie i zamknął oczy.
Śmierć.

Siedem do dziesięciu.

Sara wpatrywała się w ciemność, gdy Logan kładł się naprzeciwko niej. To były niezłe szanse, większe niż w niejednej sytuacji, w jakiej już się w życiu znalazła. A widoki na to, że ona i Monty przeżyją, muszą być na-wet lepsze, gdyż ich rola kończy się z chwilą, gdy odnaj-dą obóz Rudzaka. Nie będzie brała udziału w ataku, a na-wet jeśli Logan i Galen zostaną schwytani lub zabici, Sa-ra wraz z Montym są wystarczająco przeszkoleni i mają dość doświadczenia, by samotnie przeżyć w dżungli.

Jezus, nie ma odrobiny serca.

Nie, to nieprawda. Ma absolutne prawo zachować życie swoje i Monty'ego bez najmniejszego poczucia winy. Lu-bi Galena, lecz zatrudniono ją do wykonania określonego zadania, a on najwyraźniej jest najemnikiem, którego do-brze opłacono za to, że się naraża. Co do Logana, to on

wciągnął ich wszystkich w tę matnię. Nawet jeśli jego cel – uratowanie współpracownika - godzin jest uznania, to stosowane przezeń metody na pewno nie. Nie, jest osamotniona w tym przedsięwzięciu i musi odpowiednio się zachowywać.

Monty zaskomlał i wyczuwając napięcie swojej pani, położył jej łeb na ramieniu. Wyciągnęła rękę, by go pogłaskać, uspokoić. Nie, póki ma Monty'ego, nie jest sama. - Śpij, chłopie.

Przeżona?

Była przeżona. Czowała strach od chwili, gdy ujrzała ten spalony ośrodek badawczy. Przeczucie?

Nie, do diabła. Wyobraźnia.

Ale Monty w to nie uwierzy, skoro wyczuwa, jak tężeją jej napięte mięśnie.

Delikatnie pogłaskała go po szyi.

- Troszeczkę, ale wszystko jest w porządku.

Odprężył się. Monty wiedział, co to strach. Jak czasami trzeba posuwać się naprzód, nawet jeśli się boisz. Kiedyś pełzli tunelem w zburzonym budynku parkingu, gdy poczuł ofiarę. Poszła za nim, a z tyłu zawalił się szyb. Nie było drogi odwrotu, a przed sobą mieli tylko ciemność i strach. Czowała, jak Monty drży obok niej, w powietrzu unosił się zapach strachu ich obojga. Mógł zastygnąć, ale pełzł przez długi tunel, prowadząc ją, aż zobaczyła przed sobą światło.

Skoro przeżyli ten koszmar, przeżyją wszystko.

A szanse siedem do dziesięciu wcale nie wyglądają tak źle.

- Obudź się. Czas ruszać.

Gdy Sara otworzyła oczy, ujrzała nad sobą twarz Logana.

- Dobrze. - Usiadła i odrzuciła koc. - Monty.

Monty wyciągnął się, po czym potruchtał do najbliższego drzewa, by załatwić poranny interes.

- Tu jest twój plecak. - Logan położył go tuż przy niej. - Wyjąłem z niego kilka butelek i przelożyłem do swojego, ale nie mam wiele miejsca.

- Nie potrzebuję twojej pomocy. Sama dałabym sobie radę.

- To nie wynikało z mojego dobrego wychowania. - Logan uśmiechał się, ale ton jego głosu był szorstki. - Nie mogę pozwolić sobie na to, żebyś zostawała z tyłu.

- Nie zostanę z tyłu. - Założyła plecak. - Zresztą to twoje zmartwienie, żebyś dotrzymał mi kroku.

Ta przechadzka przez dżunglę będzie trochę bardziej męcząca niż partyjka tenisa w którymś z twoich szpanerskich klubów. - Rozejrzała się i nagle uświadomiła sobie, że na polanie jest ich tylko dwoje. - A gdzie Galen?

- Poszedł naprzód.

- Dlaczego?

- Dopilnować paru rzeczy. Otrzymaliśmy informację,

że Rudzak mógł założyć lipny obóz jakieś dziesięć mil na zachód. Galen dołączy do nas później.

- A w jakim kierunku idziemy?

- Na wschód. - Logan gasił ognisko. - Do terenu po-

szukiwań powinniśmy dotrzeć koło południa. Potem wszystko zależy od ciebie i od Monty'ego.

- Dobra. Masz coś, co należało do Bassetta?

- Margaret przesłała mi ekspresem starą czapkę bejs-

bolówkę, którą zostawił w szafce w fabryce w Dolinie Krzemowej. Ale nie był w domu od pół roku. Czy zapach będzie jeszcze się trzymał?

- Prawdopodobnie. Ale czy Castleton nie mógł przy-

wieźć ci tutaj czegoś, co do niego należało?

- Nie. - Logan odwrócił się. - To nie wchodziło w grę.

- Ale dlaczego, przecież Castleton ...

- Czy Monty jąda tak wcześnie?

Potrząsnęła głową.

- Dopiero jak przejdziemy jakiś kawałek szlaku.

- Więc ruszajmy.

Jej śniadaniem w ogóle się nie zainteresował. Był tak obojętny i sprawny jak skalpel chirurga, a ją zaniepokoiło, że nic wcześniej nie wspomniał o lipnym obozie.

- Myślisz, że mogłabym umyć zęby i skorzystać z toalety?

Jej sarkazm nie speszył go.

- Jeżeli się pospieszysz.

Zesztywniała, gdy zauważyła, że pobiegł spojrzeniem w kierunku drzew czy też na skraj poręby.

- Na co patrzysz? Myślisz, że ktoś nas obserwuje?

- Nie, Galen zbadał teren, zanim rozbił tu obóz, i uznał, że zeszłej nocy nie było sensu czuwać na zmianę na straży.

Nie miała pojęcia, że w ogóle odbyła się jakaś dyskusja na temat trzymania straży. Myślała, że przynajmniej tej nocy byli bezpieczni.

- Więc dlaczego zachowujesz się, jakbyś uważał, że ktoś tu jest ...

- Ostrożność nie zawadzi. Rudzak lubi zaskakiwać. - Ruszył w kierunku drzew. - Ale tym razem i my też szykujemy niespodziankę.

O dziesiątej zatrzymali się na posiłek, a do terenu poszukiwań dotarli za kwadrans pierwsza.

Przepełniona koszula lepiła się już Sarze do ciała, lecz Monty nadal poruszał się żwawo. Dała mu trzecią miskę wody i gdy z niej chleptał, opadła obok niego na ziemię.

- Musimy się spieszyć. - Logan zawrócił i stanął obok niej.

- Piętnaście minut. Monty potrzebuje odpoczynku. - Zdjęła plecak i sama upiła łyk wody. - Odtąd my prowadzimy, nie wlecemy się z tyłu. Daj mi czapkę Bassetta.

Sięgnął do swego plecaka, wyciągnął spłowiałą czapkę bejsbolową kibica Giantów i rzucił Sarze.

Odłożyła ją na bok i wygrzebała z plecaka brezentowy pas. Był trochę za długi, toteż wyjęła nóż i wycięła w nim kilka dodatkowych dziur. Potem wyciągnęła smycz Monty'ego i zarzuciła ją na pas.

- Na co ci to? - zapytał Logan.

- Tym razem pewnie nie będę go potrzebować, ale zawsze noszę pas podczas poszukiwań. To sygnał dla Monty'ego, że zabieramy się do pracy. - Otarła pot z karku. - Radziłabym ci odpocząć. Jeżeli Monty złapie trop, będziemy się zatrzymywać tylko po to, żeby go napić.

Usiadł obok niej i zdjął kapelusz.

- Niech będzie, i mnie się przyda mały odpoczynek.

Nie wyglądał na zmęczonego. Sprawiał wrażenie niezmożonego twardziela. Koszulę miał tak samo przesiąkniętą potem jak Sara, ale czuła bijące od niego fale energii i napięcia. Czy napięcie wywołane było strachem? Być może. Lecz jeśli się boi, nie podda się temu uczuciu. Nieustępliwie prowadził ją przez dżunglę.

Pogłaskała Monty'ego po głowie. - Narzuciłeś niezłe tempo.

- Mówiłem ci, że się spieszymy. - Uśmiechnął się sardonicznie. - Przepraszam, jeśli cię rozczarowałem. Wiem, z jaką radością dałabyś nam popalić.

- Jesteś w dobrej formie - przyznała niechętnie.

- Chyba dzięki temu tenisowi w szpanerskich klubach.

- Możliwe. - W tej chwili nie mogła go sobie wyobrazić w eleganckim klubie sportowym.

Wyglądał raczej na wrednego przemytnika broni niż rekina finansjery. - Do czego Galen się przymiera? - zapytała po chwili milczenia.

- Co?

- Powiedziałaś, że Galen ma się zająć paroma rzeczami.

Co zamierza zrobić? Może nie powinnam o to pytać? - Chcesz znać szczegóły? Myślałem, że interesuje cię tylko to, co dotyczy ciebie i Monty'ego.

- Ależ to nas dotyczy. Jeśli dacie się zabić, chcę mieć jakąś szansę wydostania się z tej dżungli. Co robi Galen?

- Atakuje lipny obóz.

Oczy jej się rozszerzyły.

- Sam jeden?

- Nie, Galen jest dobry, ale to nie superman. Gdy będzie gotów, wezwie przez radio swój zespół, żeby przylecieli helikopterem.

- Ilu członków liczy jego zespół?

- Dwunastu.

- Przeciwno ilu ludziom Rudzaka?

- Nasz informator, Sanchez, mówi, że jest ich co najmniej dwudziestu. Co daje ośmiu w prawdziwym obozie, gdzie powinien być Bassett.

- A jaki jest plan?

- Jednostka Galena uderza na lipny obóz, dzięki czemu Rudzak pomyśli, że połknęliśmy haczyk. Galen udaje, że ledwo ledwo się wydostał i przechodzi do głównego obozu, gdzie spotyka się z nami. Zabieramy Bassetta, wskakujemy do helikoptera i lecimy do domu.

Wykrzywiła usta.

- To bardzo proste.

- Wcale nie takie proste. Jeśli Galen ich nie nabierze, Rudzak natychmiast wróci do bazy i wpadniemy w gówno po uszy.

- A po co w ogóle atakować lipny obóz?

- Rudzak nabierze podejrzeń, jeśli nie dostanie wiadomości od Sancheza czy swojego człowieka w Santo Camaró. Jeśli atak na lipny obóz nie nastąpi najpóźniej dziś w nocy, Rudzak pomyśli, że się na niego szykujemy i stracimy element zaskoczenia. - Popatrzył na Monty'ego. - Dlatego Monty musi wytropić tę bazę przed zmrokiem.

- Nie mogę ci tego obiecać. Co zrobimy, jeśli jej nie znajdziemy? A jeżeli atak Galena nie zmyli Rudzaka?

- Wtedy spróbujemy wydostać się z dżungli, zanim Rudzak nas wytropi.

Zbyt wiele rzeczy mogło pójść nie tak. Zupełnie jej się to nie podobało.

- Ja też nie jestem tym zachwycony. - Czytał z jej twarzy. - Ale to najlepszy pomysł. - Podniósł się.

- Monty miał swoje piętnaście minut. Idziemy.

Z wolna wstała i spojrzała na słońce. Noc zapadnie za jakieś siedem, osiem godzin.

- Gotowa?

- Tak. - Nie patrząc na Logana, podniosła pas i zapięła go sobie w tali.

Monty zastygł, wpatrzony w pas. Potem skoczył na nogi.

- Czas się wziąć do pracy. - Wzięła czapkę Bassetta i dała psu do powąchania. - Szukaj.

Obrócił się i ruszył pędem.

- Nie zgubi się? - zapytał Logan.

- Nie, będzie wracał. Kiedy znajdzie trop, wezmę go na smycz i pobiegnę z nim.

- Nie boisz się, że w gorączce poszukiwań może już nie wrócić?

- Nie. - Zaczęła iść w kierunku, w którym pobiegł Monty. - Boję się, żeby jakiś sukinsyn go nie zastrzelił i chcę być w pobliżu, by strzec Monty'ego.

Dwie godziny później pies nie schwycił jeszcze tropu. - Chyba zataczamy koła - rzekł Logan, zmarszczywszy brwi.

- Możliwe. - Sara przepychała się przez palmowy gąszcz. - Ale Monty wie, co robi.

- Naprawdę? Nie węszy nawet po ziemi.

Rzuciła mu przez ramię zniescierpliwione spojrzenie.

- Węszy w powietrzu. Nie zawsze musi trzymać nos przy ziemi. W takich wypadkach jak ten węszenie w powietrzu daje dokładniejsze rezultaty. U nosi nos do góry, macha nim w przód i w tył, aż wywęszy podstawę stożka.

- Stożka?

- Zapach Bassetta rozproszył się zgodnie z kierunkiem wiatru na kształt stożka. Węszszy koniec skupia się wokół jego ciała, a im bardziej rośnie

odległość od niego, tym staje się szerszy. Mont y znajdzie jego podstawę, a po-tem będzie węszył w przód i w tył, w miarę zważania się obszaru zapachu, co doprowadzi go do Bassetta. Jesteś pewien, że założyli obóz i nie wędrują?

- Tak moje źródło powiedziało Galenowi. Czy to stanowi jakąś różnicę?

- Jasne, że tak - warknęła. - Nawet jeśli Mont y znaj-dzie trop, może go znowu zgubić i cała zabawa zacznie się od nowa.

- Przepraszam. Po prostu zapytałem. Nie mam o tym poJęCIA.

Większość ludzi nie ma o tym pojęcia, toteż nie warknęłaby na niego, gdyby nie była tak zniechęcona. Poszukiwania nieraz trwają tak długo, ale zorientowała się, że zagląda za każde drzewo, bojąc się spuścić Monty'ego z oczu. Boże, kiedyż to się skończy!

- Dasz mi jeszcze raz kopa w tyłek, jeśli się ciebie za-tytam, jak długo to potrwa?

- Mont y nie może się dostosować do twojego harmo-nogramu. Potrwa tyle, ile będzie musiało. Robi, co może, do jasnej cholery!

- Wiem - odparł cicho. - Czy mogę w czymś pomóc? Głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Nie, żadne z nas nic nie może zrobić. Wszystko zale-ży od Monty'ego. Mamy szczęście, że jest tak gorąco. Cia-ło Bassetta będzie wydzielać silniejszy zapach.

Skrzywił się.

- W tej chwili nie uważam się za szczęściarza.

Sara też nie miała wrażenia, że chwyciła Pana Boga za nogi. Była straszliwie spięta, a żar z nieba lał się taki, że nie mogła oddychać.

Znajdź go, Monty. Znajdź i wracajmy do domu.

Ponad godzinę później usłyszała szczekanie Monty'ego. Spłynęła na nią fala ulgi.

- Dzięki Bogu.

- Wpadł na coś? - zapytał Logan.

- Chyba tak. Nauczyłam go, żeby nie szczekał, póki nie znajdzie tropu. Jeśli wróci i pociągnie mnie za sobą, będziemy wiedzieli, że ...

Mont y skoczył ku niej, szczekając jak szalony; machał ogonem z podniecenia.

- Ma go. - Wyjęła smycz z plecaka i przypięła ją do obroży. - Chodź.

- Czy on nie mógłby przestać szczekać? Nie chcemy nikogo zaalarmować.

- Szczeka tylko po to, by dać mi znać, że szuka tropu. Jeśli jestem przy nim, nie musi szczekać. -

Puściła się szybkim truchtem, by dotrzymać kroku Monty'emu. -Rusz się, Logan. Nie możemy na ciebie czekać.

Chryste, ale z niej twarda sztuka - pomyślał Logan. Sara prawie biegła przed nim, przeciskając się przez za-rośla. Od czasu do czasu zatrzymywała się, by Mont y po-węszył w powietrzu, po czym podrywała się znowu. Musi być równie zmęczona jak on, ale utrzymywała to tempo przez ponad godzinę. W ciągu ostatnich dziesięciu minut przyspieszyła jeszcze, a Mont y pędził ze wzmoczoną gorli-wością•

Zasapany Logan patrzył na falujące piersi Sary, która usiłowała zaczerpnąć nieco parnego, gorącego powietrza do płuc. Napiąwszy mięśnie, pędziła z taką samą szybko-ścią i skupieniem jak jej pies.

Nagle poślizgnęła się i przystanęła.

Logan zastygł w miejscu, gdy gestem nakazała mu, by się zatrzymał. Mont y nie szczekał, ale żwawo, gorączko-wo pociągał za smycz. Sara położyła mu rękę na głowie, a on natychmiast się uspokoił.

- Coś tam się dzieje z przodu. Chyba znalazł źródło.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem, do diabła. - Rzuciła mu wściekle spojrzenie. - I nie zabiorę Monty'ego ani kroku dalej, że-by go jakiś strażnik nie zastrzelił.

- Nikt cię o to nie prosi. - Zdjął plecak i położył go na . ziemi. - Pójdę naprzód i upewnię się, zanim zawiadomię Galena przez radio.

- I pewnie cię zastrzelą. - Spojrzała nań spod oka. - Nie musisz sprawdzać sam tylko dlatego, że nie mam żadnego dowodu, że obóz jest przed nami. Powiadam ci, Monty wie.
- A ty wiesz, co Monty wie. - Otworzył swój plecak. - Wierzę ci. Bardzo szanuję przeczucia. Zostań tutaj.
- Oczywiście, że tu zostaniemy. Dlaczego miałabym ... - urwała, widząc broń, którą wyciągnął z plecaka. - A niech cię! To dlatego miałeś miejsce tylko na parę butelek wody. - Zwilżyła wargi. - Czy wiesz chociaż, jak się tym posługiwać?
Uśmiechnął się.
- O tak. Wiem, jak się tym posługiwać. Brałem lekcje w szpanerskim klubie.

Minęło pół godziny. Potem jeszcze kwadrans.

Dlaczego on, do diabła, nie wraca? - zastanawiała się Sara. Pewnie go złapali albo zabili. To, że nie słyszała, jeszcze niczego nie dowodzi. Nie każda broń jest tak głośna jak ta, z którą Logan obchodził się z dziwną wprawą. Nie ulegało wątpliwości, że po utracie żony nie tylko opłakiwał śmierć, ale także, wraz z Galenem, również ją zadawał.

Monty zaskomlał ze wzrokiem ukrytym w gęstej roślinności, gdzie zniknął Logan. On też chciał iść. Przezwano jego poszukiwania i nie rozumiał, dlaczego nie może doprowadzić ich do szczęśliwego końca.

Szukać?

- Nie, wszystko będzie dobrze. Nie musimy iść za nim. Logan to załatwi.

Ale gdzie jest Logan?

Czym ona tak się martwi? Przecież oboje z Montym potrafią wyjść z dżungli. Logan nic ją nie obchodzi. Przysparza jej samych kłopotów.

Ale nie zasługuje na śmierć, skoro próbuje ratować czyjeś życie. Może nie mieć krzty litości, ale nie jest mordercą, jak ci ludzie z obozu.

Nie słychać było nic prócz ostrego świergotu ptaków. Wtem Monty zaczął machać ogonem i podniósł się na nogi.

Poczuła przypływ ulgi. Zbliżał się. Do niej nie dochodziło nic, ale Monty słyszał go i wyczuwał jego zapach.

Po kolejnych pięciu minutach Logan wyłonił się spod liści.

- Obóz jest tam - kiwnął w kierunku swego plecaka gdy Monty podbiegał ku niemu, skomląc radośnie na powitanie. - Jakaś milę przed nami.

- Mówiłam ci. Dlaczego tak długo to trwało?

Ukląkł i czule poklepał Monty'ego, po czym sięgnął do plecaka po radio.

- Wiem przecież, że się o mnie nie martwiłaś. Aż tak zarozumiała nie jestem.

- Ja nie - odparła chłodno. - Ale Monty. Ja byłam po prostu ciekawa. Zorientowałeś się, czy jest tam Bassett?

Uścisnęła Monty'ego, po czym go odepchnęła.

- Przed jednym namiotem stoi strażnik. Przypuszczam, że trzymają tam Bassetta. Obóz jest mały. Sześć namiotów i chyba liczba ludzi zgadza się z tą, którą podał Sanchez.

- Nie natknąłeś się na jakiś patrol?

- Tylko jeden człowiek pilnował terenu. Nie zauważył mnie.

- To oczywiste, w przeciwnym razie nie byłoby cię tutaj.

- Wcale nie takie oczywiste. Znowu ranisz moją dumę.

Ale gdybym go usunął, mogłoby to wzbudzić ich czujność. - Więc teraz nawiążesz kontakt z Galenem i sprowadzisz go tutaj? Czy załoga obozu nie usłyszy helikoptera?

- Pilot spuści Galena i jego ludzi na porębie, którą mijaliśmy, jakaś milę na północ stąd. Tam się z nimi spotkamy. Potem pilot zabierze nas z obozu Rudzaka, gdy wszystko będzie załatwione.

Zacisnęła usta.

- To znaczy, kiedy wszyscy zostaną zabici.

- To znaczy, kiedy wydostaniemy Bassetta. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Niezależnie od ceny. - Pochylił się nad radiem. - Później wygłosisz mi kazanie. Będziemy mieli mnóstwo czasu.

Przypuszczam, że co najmniej godzinę, nim Galen tu dotrze. Teraz muszę z nim porozmawiać i powiedzieć mu, żeby zaatakował lipny obóz.

- Sześciu zabitych. Jeden ranny - meldował Carl Duggan Rudzakowi. - Ale odparliśmy atak i ocaliliśmy helikopter. I chyba mamy jednego z ich ludzi. Idziemy ścigać resztę?

Rudzak rozejrzał się po obozie. Dwa namioty płonęły, a Duggan mylił się. Rudzak widział siedmiu zabitych. Był to szaleńczy atak, wspaniale przeprowadzony.

- Nie widziałem Logana. A ty?

Duggan potrząsnął głową.

- Ale był tam Galen, a on jest najemnikiem Logana. Rudzak rzucił mu druzgoczące spojrzenie.

- Wiem o tym.

- Ścigamy ich? - powtórzył Duggan. - To się nie musi tutaj skończyć. Daj mi szansę, a jeszcze zdążymy ich złapać.

- Zamknij się, myślę! - Galen, a nie Logan. Atak był brutalny, ale Galena odparto zbyt łatwo.

Siedmiu zabitych, lecz nie zrobiono wszystkiego, by dopełnić misji.

- Ludzie czekają - rzekł Duggan. - Nie chcemy ich stracić.

Duggan nie zdawał sobie sprawy, że prawdopodobnie już ich stracili. Nie słyszeli helikoptera, lecz bez wątpienia Galen miał helikopter, skoro zamierzał wydostać swoich ludzi żywcem.

I przetransportować ich szybko w inne miejsce. Ach, Logan, myślisz, że mnie nabrałeś.

- Nie stracimy ich. - Rudzak odwrócił się. - Wiem, dokąd idą.

Zapadała już noc, gdy Galena i jego ludzi zrzuciono na polanę, gdzie czekali Logan i Sara. Wyskakiwali jeden za drugim niczym Delta Force. Galen z ponurym wyrazem twarzy dał helikopterowi znak do odlotu, po czym odwrócił się do Logana.

- Chodźmy.

Logan stanął twarzą w twarz z Sarą.

- Zostań tu, póki nie usłyszysz, że helikopter wraca.

Wtedy idź do obozu. Nie nawiążemy łączności radiowej z pilotem, póki nie będzie mógł bezpiecznie lądować.

- Jak długo potrwa zdobywanie obozu? - spytała Sara.

- Przynajmniej ze trzy kwadranse. - Wzruszył ramionami. - Może dłużej. W każdym razie nie ruszaj się, póki nie usłyszysz helikoptera.

- Nie mam zamiaru zbliżać się do obozu - rzekła Sara. - Moja rola już się skończyła. Zrobiłam, co miałam do zrobienia.

- Chodź, Logan. - Galen, na czele swoich ludzi, szedł ścieżką w las. - U Rudzaka straciłem człowieka. Skończmy z tymi głupotami. - Mówił zwięźle i zachowywał się zupełnie inaczej niż wtedy, gdy ujrzała go po raz pierwszy. To był Galen najemnik, a zmiana, która w nim zaszła, przerażała Sarę.

Cała ta sytuacja jest zatrważająca - myślała Sara, patrząc, jak mężczyźni znikają jej z oczu. Co ona robi w środku dżungli z bandą najemników i Loganem, noszącym broń tak niedbale, jakby to była teczka?

Monty przycisnął się do niej ze wzrokiem utkwionym w ścieżce.

- Nie, czekamy tutaj, Monty. - Tylu ludzi może zginąć przy próbie ocalenia jednego człowieka, choć są niewielkie szanse na to, że on jeszcze żyje. Galen powiedział, że jeden z jego grupy już został zabity.

Logan może zginąć.

Nie myśl o tym. Po prostu siedź tu i nasłuchuj, czy nie leci helikopter.

Dziesięć minut. Dwadzieścia. Trzydzieści.

Trzydzieści pięć minut upłynęło, nim usłyszała śmigłowiec.

Najpierw słabo.

Gdzieś z oddali.

Ale zbliżał się z każdą sekundą. Wzięła Monty'ego na smycz.

Chodź, chłopie.

Zwawo skoczył przed nią na ścieżkę, ciągnąc ją na przód przez krzewy. Wiedział dokładnie, gdzie się znajduje, choć ona nie miała o tym pojęcia.

Strzały. Wybuchy

Gdy spojrzała na obóz, wydało się jej, że przetacza się po nim front. Gryzący dym. Ciała. Walka. Stała na ścieżce, przypatrując się temu ze zdumieniem. Co tu się dzieje? Gdy helikopter wrócił, walka miała już dobiec do końca. Ale się nie skończyła.

- Co ty tu, do diabła, robisz? - Logan znalazł się tuż obok niej. - Mniejsza z tym. Tylko nie podchodź bliżej. Bassett, zostań z nią - rzucił przez ramię.

Stojący za nim wysoki, szczupły mężczyzna skinął głową.

_ Mogę przysiąc, że palcem nie kiwnę, póki po mnie nie wrócisz.

Logan odwrócił się i pobiegł w kierunku obozowiska

Rozdział piąty

Nie czas teraz na uprzejmości, ale nazywam się Tom Bassett - powiedział mężczyzna, stojący obok Sary. - A pani?

- Sara Patrick - odparła roztargnionym głosem, utkwivszy wzrok w Loganie.

"Co ty tu, do diabła, robisz?" - powiedział Logan.

- Nie mam pojęcia, skąd się tu pani wzięła, ale miło mi panią widzieć. Do diabła, miło mi widzieć każdego prócz tych gamoniów Rudzaka. - Bassett potrząsnął głową. - Myślałem, że to już naprawdę koniec ze mną. Gdy zobaczyłem, że Logan wpada do mojego namiotu, chciałem go ucałować.

- Chyba nie byłby zachwycony.

Skoro Logan się jej nie spodziewał, to najwyraźniej nie wezwali helikoptera przez radio.

Ale helikopter nadlatywał. Słyszała go. Boże drogi!

- Niech pan tu zostanie. - Pobiegła w stronę obozu.

Nie straciła jeszcze z oczu Logana, który pośród dymu szedł do Galena. Wraz z Montym przemknęła się przez obóz i stanęła obok nich.

Logan spojrział na nią z niezadowoleniem. - Mówiłem ci, żebyś ...

- Zamknij się. Uważasz, że przyszedłam tu, żeby sobie popatrzeć, jak kogoś zabijasz albo okaleczasz?

Wezwałś helikopter przez radio?

- Jeszcze nie.

_ Słyszałam helikopter, niech to szlag. A jeśli to nie był pilot Galena, to w takim razie kto?

Zesztywniał.

- Cholera jasna! Rudzak! Jesteś pewna?!

_ Latałam już tyloma helikopterami, że rozpoznam ten dźwięk we śnie. Nie udało ci się go zmylić.

- W jakiej odległości mógł się znajdować?

_ Wtedy był niezbyt blisko, ale teraz może być już prawie nad nami.

Galena odwrócił się.

- Poproszę przez radio, żeby nas zabrali. - Pomachał ręką i krzyknął do swoich ludzi: - Zabieramy się stąd.

_ Powiedz pilotowi, żeby wrócił na porębę - rzekł Logan. - Musimy tam podbiec.

_ Weź Bassetta i uciekajcie stąd. My pogonimy tuż za wami. To nie jest ...

Wirniki. Ogłuszające. Tuż-tuż.

Serce Sary zabiło mocniej. Nie widziała helikoptera przez palmy, ale musiał być blisko i z każdą minutą zbliżał się coraz bardziej.

Logan ujął ją pod ramię.

- Biegnij co sił. Ja zabiorę Bassetta.

Nie trzeba jej było tego dwa razy powtarzać. - Monty!

Gałęzie uderzały ją w twarz, gdy przedzierała się przez dżunglę z Montym u boku.

Helikopter przeleciał nad nią, niemal dokładnie nad samym obozem.

Pociski.

Helikopter zionął ogniem na całe, leżące w dole obozowisko.

Logan i Bassett znajdowali się teraz tuż obok niej.

Kolejne strzały z helikoptera.

Galen i jego ludzie biegli tuż za nimi, po czym minęli ich i pognali na porębę.

Oddalona była ledwie o półtora kilometra, a wydawało się jej, że musi przebiec jeszcze ich z tysiąc.

Płuca bolały ją, gdy próbowała wtłoczyć w nie powietrze. Boże, jakże się bała. Przestań. Strach zawsze działa na niekorzyść. Bała się już kiedyś i przeżyła. Przeżyje i te raz.

Poręba znajdowała się wyżej przed nią. Czy będzie tam helikopter?

Ładował, gdy wyskoczyli z dżungli. Ludzie Galena nie czekając nawet, aż dotknie ziemi, szarpnięciem otworzyli drzwi i czym prędzej wtłaczali się do środka. Galen stał przy drzwiach, gestem nakazując im się pospieszyć, po czym sam wskoczył na pokład.

Bassett dobiegł do helikoptera, a Galen wepchnął go maszyny.

- Logan! - krzyknął Galen. - Pospiesz się, do cholery!

Musieli nas wytropić. Słyszę, że nadlatują.

- Ja też. - Logan wpatrywał się w niebo. - Niech Sara i pies wsiadają.

Gdy zerknęła przez ramię, ujrzała, że helikopter Rudzaka leci nisko nad ziemią, zbliżając się ku nim z dużą prędkością.

- Pospiesz się. - Galen wyciągnął rękę do Sary.

- Mont y! - zawołała i retriever wskoczył wraz z nią do helikoptera.

Pociski. Sypiące się gradem z helikoptera Rudzaka. Logan odsunął się od śmigłowca, uniósł broń i puścił

serię w zbliżającą się maszynę.

Kolejny deszcz kul.

- Logan! - krzyknął Galen.

Logan leżał na ziemi, z jego uda tryskała krew.

- Zabieraj się stąd, Galen.

- Akurat. - Galen wyskoczył z helikoptera.

Ale wyprzedził go Mont y, który już pędził do Logana.

- Mont y! - wrzasnęła Sara.

Mont y zaczął ciągnąć Logana za koszulę, usiłując go przesunąć.

Sara wyskoczyła z helikoptera. Kolejne pociski.

Monty. Nieruchomy. Krwawiący.

- Nie! - Opadła na kolana obok Monty'ego. Ciągłe od-
dychał. Bogu dzięki.

- Wracaj do helikoptera. - Galen przykucnął obok niej. - Zajmę się Logariem.

- Za nic w świecie nie zostawi Monty'ego. Najpierw wpakuj psa, Galen - rzekł Logan. - Mówię, do cholery, najpierw wsadź psa.

- To mój pies. Ja się ... - Sara urwała, gdy Galen podniósł Monty'ego.

- Zajmij się swoim psem - powiedział Logan. - Galen poradzi sobie ...

- Zamknij się. - Podniosła Logana chwytem, jakiego używają strażacy, i z trudem wstała. Jezu, ale był ciężki. Trzy kroki wystarczyły, by wsadziła go do helikoptera. -Startuj.

Kolejne strzały.

A jeśli trafią w zbiornik paliwa?

- Oslaniać ogniem - warknął Galen.

Sara mgliście tylko zdawała sobie sprawę z tego, że ludzie Galena strzelali, gdy kołysała Monty'ego w ramionach. Otworzył oczy i polizał ją po ręce. Helikopter uniósł się i skierował na północ, lecąc tuż nad wierzchołkami drzew.

O Boże! Maszyna Rudzaka była tuż za nimi. Wtem, nagle, zniknęła.

- Trafiliśmy go. - Galen wodził wzrokiem za helikoptrem Rudzaka, który zataczając kręgi z wolna

opadał ku ziemi. - Musieliśmy im rozwalić jakieś kluczowe urządzenie. U siłuje wrócić na porębę, żeby tam wylądować. Mam nadzieję, że drzewo palmowe wejdzie mu w tyłek. Szkoda, że ostatnią raketę wystrzeliliśmy w obozie. - Odwrócił się do Logana. - Zawsze sprawiasz mi kłopot. Jeśli ktoś mi poda apteczkę, spróbuję zatamować krwawienie.

- A co z ... psem? - wyszeptał Logan.

- Ja się nim zajmuję. - Sara przyciskała kompres do rany Monty'ego. - Chyba nic mu nie będzie. Kula drażniła tylko łopatkę. Nie stracił dużo krwi. - Zerknęła na Galena. - Pomóc ci przy Loganie? Jestem przeszkolona.

Logan próbował się uśmiechnąć.

- Jasne, skończyła szkołę weterynaryjną. Przy okazji wciśnie mi pchły.

Przemilczała to i zwróciła się do Galena.

- Przeszłam też przeszkolenie w zakresie udzielania pierwszej pomocy.

- Galen sobie poradzi - rzekł Logan. - Najważniejsze, żeby pies z tego wyszedł. Wiem, że jeśli coś mu się stanie, będę pierwszy do likwidacji na twojej liście.

- Masz rację. - Była zła, przerażona i owszem, miała poczucie winy, że Monty odniósł ranę. To ona pchnęła go na złą drogę. Ostateczną odpowiedzialność ponosi bez wątpienia Logan, ale to on kazał Galenowi ratować najpierw Monty'ego, choć jego własne życie było w niebezpieczeństwie. - Zaopiekuję się Montym. Ty martw się o siebie.

Zamknął oczy.

- Za duży kłopot. Galen ... ty się tym zajmij. Zemdlął.

Logan odzyskał przytomność dopiero wtedy, gdy przenoszono go do odrzutowca w Santo Camaro.

- Pora, żebyś już doszedł do siebie - rzekł Galen. - Narobiłeś mi mnóstwo kłopotów i zapaskudziłeś helikopter. Bryś tylko pogorszył sytuację.

- A żyje?

- Jest w lepszej formie niż ty. Sara obandażowała mu ranę i usiłuje utrzymać go w jednym miejscu.

- Gdzie ona jest?

- W samolocie, z Montym i Bassettem. - Galen urwał. - Nadal masz kulę w udzie. Chyba nic się nie stanie, jeśli wrócisz do Stanów i tam ci ją wyjmą. Sara też tak uważa. Opatrzyliśmy ranę, a Sara da ci zastrzyk morfiny, gdy samolot wystartuje. Dokąd chcesz lecieć? Monterey?

U siłował zebrać myśli. Był ledwie przytomny, jakby już dostał morfinę.

- Wszystko zależy od tego, czy Rudzak żyje. Wróć, sprawdź i zadzwoń do mnie. Miło byłoby, gdyby ten sukinyś rozbił się i spłonął, ale chyba nie jesteśmy aż takimi szczęściarzami.

Galen skinął głową.

- I tak miałem wracać. Pomyślałem, że tak czy owak, będziesz chciał mieć pewność.

- I nie pozwól, żeby mi podała morfinę. Wciśnij jej ją - ktoś kit, że o ile pamiętasz, jestem uczulony czy coś w tym rodzaju. Jak najszybciej muszę się dowiedzieć, co z Rudzakiem.

- P.; dlaczego nie powiedzieć jej prawdy?

- Żeby się domyśliła, że to może być dopiero początek?

Obiecałem, że gdy znajdziemy Bassetta, jej rola już się skończy, ale sytuacja uległa zmianie i nie wiem, w jakiej mierze będzie to jej dotyczyło. Na razie nie mam siły się z nią szarpać. Muszę jej jakoś zamydlić oczy.

- P.; co mam powiedzieć pilotowi?

- Żeby wyniósł nas poza przestrzeń powietrzną Ameryki Południowej. Dam mu rozkazy, kiedy otrzymam wiadomość od ciebie.

- No dobrze, ale to długi lot i będzie cię bolało jak diabli. - Już teraz boli mnie jak diabli, ale Rudzak musiał widzieć ją i Monty'ego. Jeżeli żyje, będzie usiłował najpierw ją załatwić. Jest łatwiejszym celem, a zanim Rudzak mnie wykończy, najpierw postara się dać mi w kość.

- I masz zamiar jej to powiedzieć?

- Nie, jeśli nie będę musiał. To pogorszy nasze stosunki,

a już jest na mnie dostatecznie wkurzona. Muszę po prostu trzymać się blisko niej, żeby

przyhamować Rudzaka.

- W twoim stanie nikogo nie przyhamujesz. Możesz jej zapewnić ochronę. Nie musisz tego robić osobiście.

- Obiecałem jej. - Uśmiechnął się krzywo. - I, do diabła, teraz mam wobec niej dług nie tylko za Bassetta.

- Chodzi ci o to, że cię podniosła i wrzuciła do helikoptera? Może i racja. Wtedy liczyła się każda sekunda. - Galen zaśmiał się. - I było to interesujące odwrócenie ról. Czy myślisz, że płynnie w niej krew Amazonek?

- Wiem tylko, że męczy mnie poczucie winy. - Zamknął oczy. - Wsadź mnie do tego samolotu, a potem wróć i sprawdź, co się dzieje z Rudzakiem. Muszę to wiedzieć.

Logan miał zamknięte oczy, lecz Sara wiedziała, że nie śpi. Zaciśnął wargi, a po obu stronach ust wyryły mu się głębokie bruzdy.

Usiadła obok niego na łóżku. - Weź to.

Logan otworzył oczy i spojrzał na szklanekę, którą trzymała w ręce.

- Ci to takiego?

- Tylenol. - Pstryknęła mu dwie tabletki na język. - Na to nie jesteś uczulony, co?

Potrząsnął głową, popijając pastylki wodą. - Dzięki.

- U czuleniu na morfinę to fatalna sprawa. Tylenol może ci trochę ulżyć. Monty'emu też dałam.

- W takim razie będę wiedział, że to niezawodny środek. Zaryzykowałabyś zdrowie moje, ale nie Monty'ego. Jak on się miewa?

- Lepiej niż ty.

- Musisz odczuwać pewną satysfakcję. W końcu to z mojej winy został ranny.

- Nie czuję najmniejszej satysfakcji. Nienawidzę przemocy. Wcale nie chciałam, żeby cię postrzelili. - Odwróciła od niego wzrok. - A ty powiedziałeś Galenowi, by najpierw ratował Monty'ego, a dopiero potem ciebie. Niewielu mężczyzn zdobyłoby się na to dla psa.

- Nie oceniaj mnie zbyt wysoko. Nie jestem taki całkiem bezinteresowny. Chciałem powiedzieć Galenowi, żeby wsadził mnie do cholery do tego helikoptera.

- Ale nie powiedziałaś. - Nadal na niego nie patrzyła. - I zawsze dochodziłam do wniosku, że liczy się to, co robisz, nie to, co mówisz. Ciągłe się czegoś obawiasz.

- Doprawdy?

- Nie jesteś głupi. - Podniosła się. - Muszę wracać do Monty'ego. Spróbuj zasnąć, choć pewnie za bardzo cię boli.

- Czekam na telefon od Galena. Jeśli zasnę, obudzisz mnie, żebyś go odebrał?

- Czy to takie ważne? Powinieneś się przespać.

- Obudzisz mnie?

- Jasne. - Uniosła ramiona. - Dlaczego nie? To ty będziesz cierpieć.

- Jak się miewa Bassett?

- Dobrze. Strasznie pogryzły go komary i jest w szoku. Chce zadzwonić do żony.

Logan potrząsnął głową.

- Nie teraz. Powiedz mu, żeby się niczym nie przejmował. Nie powiedziano jej, że zaginął.

- Ale dlaczego nie może do niej zadzwonić?

- Mogą wynikać z tego kłopoty. Nie wiadomo, czy od razu wróci do domu.

- Czy to nie od niego zależy? Ostatnio dużo przeszedł. - Potarła skroń. - Wszyscy dużo przeszliśmy.

Napluję ci w pysk, jeśli będziesz mi utrudniał powrót na ranczo.

- Doprawdy?

- Założymy się o wszystko? Dlaczego ma nie wracać do domu?

Nie odpowiedział.

- Martwisz się Rudzakiem ... ? - powiedziała powoli.

- Może jeszcze żyć, a już przedtem uważał, że Bassett

jest na tyle cenny, by wziąć go jako zakładnika. Lepiej będzie, jeśli na jakiś czas znajdę dla niego bezpieczną kryjówkę.

- A jeżeli nie zechce się ukrywać? I tak umiera z niepokojem. Będzie się czuł, jakby wsadzono go do kolejnego Włężnika.

- Może to nie okaże się konieczne. W każdym razie mam taką nadzieję.

- Bassett powinien o tym zdecydować. Nie ty.

- Ja o tym zdecydowałem, gdy Rudzak zniszczył ten ośrodek badawczy. Wszystko, co robi Rudzak, skierowane jest bezpośrednio przeciw mnie. Tylko ja mogę go od tego odciągnąć.

- Mówisz, jakby to były jakieś zawody.

- To nie są zawody. To wojna, a Rudzak jest nieustępliwy jak buldog.

- Nie oczerniaj żadnego psa, przyrównując go do tego mordercy. Usiłował zabić Monty'ego.

Uśmiechnął się.

- Zastanawiam się, czym powinien odznaczać się człowiek, żebyś troszczyła się o niego tak jak o tego psa.

- Niezachwianą lojalnością, odwagą, poczuciem humoru, inteligencją i gotowością oddania życia za mnie. No i muszę dobrze czuć się w jego towarzystwie.

Gwizdnął cicho.

- Masz niemałe wymagania.

- Pytałeś, to ci odpowiedziałam. Całkowite zaangażowanie się jest niemal niemożliwe między dwojgiem osób. Dlatego bardziej lubię psy niż większość ludzi. - Podniosła się. - To dużo bezpieczniejsze.

- Przekonałaś się o tym na własnej skórze?

- A ty nie? - Czuła jego spojrzenie na plecach, gdy odchodziła od łóżka. Był ranny, cierpiał, a w dalszym ciągu próbował pociągać za sznurki w sprawie Bassetta. To było dla niej spore zaskoczenie. Pewnie zrezygnuje z panowania nad wszystkimi i wszystkim dopiero, gdy go zamknie w trumnie.

A może jest niesprawiedliwa. Przecież Logan usiłuje pomóc Bassettowi.

Jestem zbyt zmęczona, by oddać mu sprawiedliwość, pomyślała, siadając przy Montym. Nerwy miała w strzępach i była tak zmęczona, że prawie odrętwiała. Pragnęła tylko wrócić do domu i odpocząć.

Spojrzała na Bassetta, który spał skulony po drugiej stronie przejścia. Zasługuje na to, by wrócić do żony i dziecka. Nie powinien wdawać się we współpracę z kimś tak niebezpiecznym jak Logan. Co jej przychodzi do głowy? Ale aż do niedawna nie sądziła, by Logan był niebezpieczny. Z pozoru wydawał się potężnym, powszechnie szanowanym przedsiębiorcą. Bassett prawdopodobnie uważał, że złapał Pana Boga za nogi, mogąc realizować projekt dla takiego potentata jak Logan. No cóż, ona była innego zdania. Zrobiła, co do niej należało, i skończyła z Loganem.

Monty wydał głęboki, gardłowy dźwięk, a ona szybko pochyliła się nad nim, by pogłaskać go po boku.

- Wiem, że boli. Ale zaraz przestanie. Wracamy do domu.

- Uważam, że to przemieszczony obojczyk - powiedział Duggan. Musi cię boleć jak diabli. Lepiej już dalej nie idź.

- Nie bądź głupi. Muszę iść. Odpocznę chwilę i zaraz ruszę na nowo. - Rudzak oparł się o drzewo, zamknął oczy i poczuł, jak przez jego ciało przepływają fale bólu.

Nauczył się w więzieniu, że lepiej pogodzić się z bólem, niż z nim walczyć. Kolejna lekcja, którą zawdzięcza Loganowi. - Połączyłeś się przez radio z Mendezem i poprosiłeś go, żeby przysłał następny helikopter?

- Tak, powiedział, że będzie czekał na nas przy skałach.

Skały. Osiem kilometrów stąd. Biorąc pod uwagę, w jakiej jest formie, mogłoby to być równie dobrze osiemdziesiąt. Do diabła, dlaczego helikopter musiał się rozbić? W jednej chwili wszystkie jego plany wzięły w łeb.

- Powiedziałeś mu, że jestem ranny? Duggan unikał jego spojrzenia.

- Oświadczył, że to nie leży w interesie firmy i że nie będzie narażał swoich ludzi na starcie z Galenem. Chętnie ci pomoże, jeśli dotrzesz na stosunkowo bezpieczny teren.

Powinien był się domyślić. Interes firmy był jedyną namiętnością w życiu Mendeza i jak długo

Rudzak zapewniał krociowe zyski, na jego rachunek bankowy wpływały nieograniczone sumy. Lecz jeśli Rudzak zrobiłby coś, co mogłoby zaszkodzić firmie, zerwał z nim w okamgnieniu. Mendez nie musi się martwić. Rudzak nie naraziłby ich stosunków na szwank. W tym świecie pieniądź jest bogiem, a on potrzebuje forsy, by spuścić piorun na Logana.

- Może skontaktuję się z nim jeszcze raz - rzekł Duggan. - Pewnie nie zdaje sobie sprawy ...

- Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co robi. A to oznacza, że musimy dotrzeć do tych skał przed powrotem Galena i jego zespołu. Pomóż mi wstać.

Gdy Duggan podnosił go na nogi, górną część jego ciała przeszył potworny ból. Wszystko będzie dobrze - powiedział sobie. Pogódź się z bólem. Niech działa na twoją korzyść. Przetwórz go w nienawiść.

O nienawiści wiedział wszystko. Piętnaście lat ... - Chcesz się na mnie oprzeć?

- Nie. - Chwiejnie powłókł się szlakiem. Idź. Nie zwracaj uwagi na ból. Myśl o Loganie. Zaplanuj następny ruch. - Gdy tylko dostaniemy się do Bogoty, załatw transport do USA.

- Musisz pójść do lekarza, zanim ...

- To nie potrwa długo. Jeśli to rzeczywiście przemieszczony obojczyk, można go nastawić. Do jutra chcę wrócić na trasę. Logan nie może czuć się bezpiecznie.

- Celujemy na Dolinę Krzemową?

Duggan węszył wokół głównego celu swego zainteresowania. Niech mu tam, przynajmniej będzie czymś zajęty. Jest jeszcze tyle innych rzeczy, które musi pomścić, że Duggan nie będzie w stanie wszystkiego ogarnąć.

- Tak, ale najpierw muszę sprawdzić, czy ... - Urwał, by schwycić oddech, gdyż przeszył go następny paroksyzm bólu. Zwalcz go. Zbierz myśli. - Widziałem kobietę i psa ... Pomagała Loganowi wsiąść do helikoptera. Dowiedz się, co to za jedna.

- Postaram się jak najszybciej.

- Natychmiast. Znam Logana. Można z nim zrobić

wszystko, kiedy czuje dla kogoś wdzięczność. Sam wykorzystywałem tę jego słabość. - Ból stawał się nie do zniesienia. Ale nie należy się zniechęcać tylko dlatego, że jedna rzecz poszła nie tak.

"Zbliżam się, Logan. Czujesz moją nienawiść? Niebawem cię dosięgnie. Spali ciebie i wszystkich wokół na popiół".

- Zyje - powiedział Galen przez telefon. - Znaleźliśmy helikopter, ale zdołał wylądować. Ani śladu po nim ani po jego ludziach.

Logan zaklął. - Szukaj dalej.

- Szukam, ale założę się, że siedzi bezpiecznie w narkotycznym niebie gdzieś wśród wzgórz.

- Już niedługo. Wyruszy, jak tylko dojdzie do siebie.

- Ale my moglibyśmy trochę odpocząć. Jaki mamy plan?

- Opracowuję go. Ale na razie musimy poczekać na ruch Rudzaka. Niech Margaret skontaktuje się z FBI oraz Grupą Kryzysową i powie im, że otrzymaliśmy anonimowe groźby, więc prosimy o dodatkową ochronę naszych fabryk i ośrodków badawczych.

- W tym również Dodsworth? Logan milczał przez chwilę.

- Nie, Dodsworth nie. Niech im nie mówi ani słówka o Dodsworth. Potroiłem tam już ochronę. Dodsworth będzie bezpieczne.

- Nie lekceważ Rudzaka.

- Nie musisz mi tego mówić.

- Spokojnie.

- Nie mogę siedzieć spokojnie. - Do diabła, Logan miał nadzieję, że Rudzak został zlikwidowany. - Spróbuj go odnaleźć. Jeśli nie uda ci się umiejscowić drania, znajdź kogoś, kto wskaże ci drogę. Musimy wiedzieć, co szykuje. - Powinien się zastanowić mimo pulsującego w nim bólu. - Aha, powiedz Margaret, żeby skierowała pilota do Phoenix i niech u mnie w domu czeka chirurg, by wyjąć tę cholerną kulę.

- Phoenix?

- Dom ma ochronę. Podwoję ją i przygotuję w niej mieszkanie dla Bassetta. - A Sara Patrick?

- Szanse, że zgodzi się zamieszkać w moim domu, są nikłe, a właściwie żadne. Jej domek musi być obserwowany i strzeżony, ale załatw to tak, żeby się w niczym nie zorientowała.

- Zrobi się. A ty? Ciebie Rudzak chce zarzącać, a potem powiesić, żebyś wysechł.

- Na razie jestem bezpieczny.

- Doprawdy? Ta kula w nodze najlepiej świadczy o tym, jak jesteś bezpieczny.

- Rudzak pewnie bardzo by się zmartwił, gdyby ta kula mnie zabiła. Najpierw chce mnie pomęczyć. Sam mi to powiedział.

- Miejmy nadzieję, że nie zmieni zdania. - Galen odłożył słuchawkę.

Rudzak nie zmienił zdania, pomyślał ze znużeniem Logan. Od zbyt dawna planował zemstę.

- Monty chciał tu przyjść. - Sara weszła z Montym w ramionach, po czym ostrożnie położyła psa na podłodze tuż przy tapczanie Logana. - Nieszczęsne stworzenie boli łopatką. Wie, że cierpisz i chce cię pocieszyć. A skoro już odebrałaś telefon, pójdziesz wreszcie spać? Nie chcę, żeby Monty był jeszcze bardziej niespokojny.

- Pójdę spać. - Wyciągnął rękę i poklepał retrievera po głowie. - Nie chciałbym jeszcze bardziej niepokoić Monty'ego.

Wzięła od niego telefon i postawiła go na stoliku przy ścianie.

- A co z Rudzakiem?

- Żyje.

- I co masz zamiar z nim zrobić?

- Czekać. Obserwować. Będę starał się go odnaleźć. - Urwał. - Ale Bassett, dla własnego bezpieczeństwa, będzie musiał zamieszkać w strzeżonym domu w Phoenix. - Dlaczego właśnie tam?

- A dlaczego nie? To przyjemne miejsce. Mieszkałaś w Phoenix przez jakiś czas z Eve. Nie chciałabyś się tam zatrzymać, póki Monty nie wyzdrowieje?

- Nie ma mowy. Chcę wracać do domu.

Tego się właśnie obawiał.

- A możemy pojechać do mnie, zanim odwiozę cię do domu? Muszę wyjąć tę kulę.

- U ciebie, nie w szpitalu?

- W szpitalu zadają pytania.

- Prawo nakazuje lekarzom zgłaszać wszelkie rany postrzałowe.

- Często można ich nakłonić, by odwrócić uwagę od tej informacji bądź w ogóle o niej zapomnieli.

- Przekupstwem?

- Albo wpływami. A nawet darowizną na cele dobroczynne. Lekarze stykają się z takim cierpieniem, że czasami machają ręką na przepisy, jeśli dzięki temu będą mogli wyleczyć tysiące ludzi.

- I ryzykować prawo utraty wykonywania zawodu.

- To ich decyzja, Saro. - Zamknął oczy. - A teraz idź i pozwól mi i Monty'emu trochę się zdrzemnąć.

- Za chwilę. - Usłyszał szum nalewanej wody, a gdy otworzył oczy ujrzał, że Sara stawia przy nim karafkę. Wręczyła mu jeszcze dwie tabletki tylenolu. - Weź je od razu. Nie chcę, żebyś się wiercił i przeszkadzał...

- Monty'emu - dokończył za nią. Połknął pastylki i znowu zamknął oczy. - Nie będę się wiercił i niepokoił twojego psa.

- Jemu to nie przeszkadza. Z natury stara się wszystkich pocieszać. - Delikatnie otuliła Logana kocem, co stało w pewnej sprzeczności z energicznym tonem jej głosu. - Ale mnie przeszkadza, że nie wypoczywa jak należy. Idź spać.

Już przez sen usłyszał, jak od niego odchodzi. To nie tylko Monty starał się wszystkich pocieszyć. Mimo całej niechęci, jaką Sara czuła do Logana, wewnętrzny impuls kazał tej młodej kobiecie złagodzić jego ból, jednocześnie nie pozwalając przyznać się, że ma jakieś czułe strony w swej naturze.

Doprawdy niezwykła istota ...

- Ale na to nie wyglądasz. Jesteś blady jak kamień na grobny. Zachowałeś się bardzo głupio. - Szła obok noszy. - I sprawiłeś mi mnóstwo kłopotu. Wiesz, jak trudno jest zorganizować coś takiego w tajemnicy?

- Bardzo cię przepraszam. - Zerknął przez ramię na Sarę. - To moja asystentka, Margaret Wilson. Do niej się zwracaj, jeśli byś czegokolwiek potrzebowała.

- Poradzę sobie. Przestań się o mnie zamartwiać.

Ku jej zdumieniu, wyciągnął do niej rękę. Podeszła bliżej do noszy i ujęła ją w swoją dłoń.

Uściskała ją mocniej i uniósł wzrok ku Sarze.

- Zostań - wyszeptał. - Zostań, Saro.

- Jak na razie nigdzie nie idę•

- Traktuję to jak obietnicę. - Zerknął na swoją asystentkę. - Zaopiekuj się nią, Margaret. Musi ...

- Zamknij się - powiedziała Margaret. - Zajmę się wszystkim. Niech tylko doktor Dowden zadba o tę głupotę, w którą się wpakowałeś, zanim stracisz nogę•

Puścił rękę Sary.

- Tak jest, szanowna pani.

Margaret odwróciła się do Sary, gdy błyskawicznie przenoszono Logana do salonu.

- Będą go operować natychmiast. W jakim jest stanie?

- Kula nie roztrzaskała kości, ale przebiła jakiś mięsień. Zawsze istnieje ryzyko infekcji. Lepiej by mu było w szpitalu.

Margaret potrząsnęła głową•

- Na to nie pójdzie. A gdzie jest pies? Podobno on też oberwał.

- Nadal leży w karetce. Nic mu nie będzie, trochę go tylko pobolewa. Nie chciał zostawić Logana, odkąd został ranny, więc przyjechaliśmy tu z nim. Bassetta przywiezie pilot i ochroniarz, którego wysłaliście, żeby czekał na samolot. - Odwróciła się, wyniosła Monty'ego z karetki i przytargała go do domu. - Zostaniemy tu, póki operacja się nie skończy.

Margaret uniosła brwi.

- Bo Monty się niepokoi?

- Nie jestem zupełnie bez serca. Współczuję każdemu, kto cierpi, nawet Loganowi. - Zniosła Monty'ego do kuchni. - Dałabyś mi miskę? Muszę go napoić.

- Usiądź. Ja się tym zajmę. - Margaret podeszła do szafki, wyjęła naczynie i napełniła je wodą.

Sara wzięła miskę i popchnęła ją w kierunku Monty'ego.

Gdy zaczął pić, wyprostowała się i spytała: - Czy ten Dowden to dobry lekarz?

Margaret skinęła głową.

- Nie znasz mnie, bo inaczej poczułabym się obrażona posądzeniem, że mogłabym oddać Johna w ręce jakiegoś konowala. - Spojrzała na Monty'ego. - A on? Nie potrzebuje weterynarza?

- Zawsze sama się nim zajmuję. - Sara potrząsnęła głową. - Chyba że dzieje się coś poważnego. Nic mu nie jest. Może chodzić, boli go tylko łopatka. Chcę, by jej nie nadwierał. Za dzień lub dwa będzie normalnie biegał.

- Więc ciągasz go wszędzie ze sobą jak niemowlę - uśmiechnęła się Margaret. - I to w dodatku niemowlę ważące prawie czterdzieści kilo.

- To żaden kłopot. Jestem silna. W mojej pracy nie mogę być kruchą istotką.

- Wiem. Sprawdzalam cię. - Usiadła naprzeciw Sary. - Masz pełne prawo być na mnie wściekła, niemniej muszę ci powiedzieć, że podziwiam to, czego dokonaliście z Montym.

- Dlaczego mam być na ciebie wściekła? To Logan pociąga za sznurki.

- Podchodzisz do tego bardzo rozsądnie. - Margaret wpatrywała się badawczo w jej twarz. - Ale nie jesteś tak zła na Logana, jak się spodziewałam. Dlaczego?

Bo dotrzymał słowa. Choć nie aprobeje jego metod, nie ma nic do zarzucenia jego motywom.

Poznała go w tej dżungli, jego siłę i zdecydowanie, a nawet co nieco z jego przeszłości. Jeśli się człowieka zrozumie, nie można go nienawidzić tak jak skończonego skurwysyna.

- Już po wszystkim. - Podniosła się. - Wpadając w złość, marnuje się tylko energię. Przypilnujesz

Mon-ty'ego? Wyjdę na spotkanie Bassetta. Dość ciężko to przeżywa. Myślał, że wraca do domu.

- Jasne. - Margaret pochyliła się i poklepała Mon-ty'ego. - Uwielbiam psy, a tego chciałoby się zjeść.

Bassett pojawił się we frontowych drzwiach pięć minut później.

Uśmiechnął się z ulgą na widok idącej ku niemu Sary. - Jak to miło ujrzeć przyjazną twarz. Gdy przechodziłem przez te bramy pod napięciem, czułem się, jakbym był w Alcatraz.

- Za pierwszym razem ja też miałam takie wrażenie.

A wtedy było tylko dwóch strażników, nie czterech, których zobaczyłam, kiedy przejeżdżałam dziś przez bramy. - Byłaś tu już wcześniej?

- Przed paroma miesiącami.

Skinął głową.

- Powiniennem się domyślić, że jesteście z Loganem starymi przyjaciółmi. Widać, że istnieje między wami bliższa więź.

Bliższa więź? Ciarki przez nią przeszły. - Dlaczego tak uważasz?

- To bije w oczy, kiedy widzi się was razem. Uratowa-

łaś mu życie, nie spuszczałaś z niego oka przez cały czas naszej wyprawy, choć udawałaś, że nic sobie z tego nie robisz. Logan nie lubi, żeby go rozpieszcząć.

- Trudno mi powiedzieć. Nikogo nie rozpieszczęm. Uniósł ręce.

- Przepraszam. Palnąłem coś nie tak?

- Owszem. Logan i ja nie jesteśmy starymi przyjaciółmi. Nie uratowałam mu życia. Podsadziłam go tylko do tego helikoptera, żebyśmy mogli odlecieć. Pracowałam kiedyś dla jego znajomego, a teraz dla niego. Tak "bliższa"

jest nasza więź. - Odwróciła się i poszła w kierunku schodów. - Pewnie jesteś zmęczony.

Zaprowadzę cię do twojego pokoju.

- Jesteś zdenerwowana. Nie chciałem ...

- Nie jestem zdenerwowana. - I była to prawda. Nie

zdenerwował jej Bassett błędnym odczytaniem sytuacji. Jej troska o Logana była całkiem naturalna. Tak samo przejęłaby się każdym chorym i słabym. Z charakteru i w wyniku szkoleń była osobą, która stara się ratować innych. A skoro to tak całkowicie naturalne, dlaczego usprawiedliwia swoją reakcję? Bo w tej chwili czuła się zmęczona i bezbronna. Z żadnych innych powodów. Po krótkim odpoczynku będzie miała zupełnie inny humor.

- To ładny pokój. Wychodzi na ogród. - Otworzyła drzwi na szczycie schodów. - Telefon stoi na nocnym stoliku. Logan pozwoli ci chyba zadzwonić przynajmniej do zony.

- Jasne. Choć poprosił, żeby nie mówił jej, że opuściłem Santo Camaro.

- Poprosił?

- Powiedzmy, że bardzo wyraźnie dał do zrozumienia. - Spojrzał na Sarę. - Ale wiesz, że przyjechałem tu dobrowolnie. Logan zaproponował, że zbuduje dla mnie laboratorium, bym mógł kontynuować swoją pracę.

Może wydawało mu się, że miał wybór, ale zazwyczaj Logan osiąga to, na czym mu zależy.

- Myślałam, że chcesz wracać do domu.

- Zwrócił mi uwagę, że narażam na niebezpieczeństwo swoją rodzinę. Dał im ochronę, ale w tej chwili stanowią dla nich zagrożenie. - Wszedł do pokoju i rozejrzał się. - Własna łazienka. To miło. Znacznie lepiej niż kwatery w Santo Camaro. Castleton robił, co mógł, ale bardziej skupiał się na wyposażeniu laboratoriów niż drobnych luksusach. Za mojego pobytu ten cholerny podgrzewacz do wody trzeba było wymieniać cztery razy.

- Więc dlaczego zostałeś?

- To było moje marzenie - powiedział po prostu. - Nie rezygnuje się z marzenia tylko dlatego, że z prysznicą leci zimna woda.

- Co to było za marzenie? Skrzywił się.

- Nie miałem zamiaru rozbudzać twojej ciekawości.

Jesteś bardzo miła, ale, niestety, nie mogę rozmawiać o swojej pracy. Mam to zastrzeżone w umowie.

- W umowie miałeś też zapisane, że narażasz się na śmiertelne ryzyko?

- Nie, ale wszyscy wiedzieliśmy, że może dojść do jakichś nieprzewidzianych wydarzeń. To już taki kraj.

- A co ty ... - Dlaczego zadaje pytania, skoro już powiedział, że nie może rozmawiać na ten temat? Zresztą i tak jej to nie obchodziło. Powinna trzymać się jak najdalej od Logana i całego jego otoczenia. - Margaret Wilson jest na dole w kuchni, która, głowę dając, jest znakomicie zaopatrzona. Zna pan Margaret?

- Nie, kontaktowałem się przez Castletona, ale słyszałem o niej. Jest uparta, sprawna i strasznie się szarogęsi. - Uśmiechnął się. - W imperium Logana stała się postacią legendarną. Zresztą, czego się można było spodziewać? On sam jest legendą.

- Tej legendzie wyjmują właśnie na dole kulę z nogi. Kiedy skończą, może powinni pana obejrzeć?

- Nic mi nie jest. Chcę tylko porozmawiać z żoną i z synem.

- Już wychodzę.

- Dzięki. - Gdy zamknęła drzwi, od razu poszedł do telefonu.

Wróciła do kuchni, gdzie Margaret przekazała jej najnowsze wiadomości o stanie Logana.

- Przed chwilą wpadł tu lekarz. Operacja się skończyła i Logan ma się dobrze. Jeszcze jest pod narkozą, ale za parę godzin powinien się obudzić. Spłynęła na nią fala ulgi. Wiedziała, że rana Logana nie była ciężka, ale operacja to zawsze poważna sprawa. - Całe szczęście. - Opadła na krzesło. - Nie ma śladów zakażenia?

- Są pewne oznaki, więc dają mu potężne dawki antybiotyków, by je zwalczyć. Doktor był zaniepokojony, że kula tkwiła w nodze tyle czasu.

- Bezpieczniej było przetransportować go do Stanów.

- Nie mówię, że nie, ale zawsze są jakieś za i przeciw. -

Margaret podniosła się. - Może byś coś zjadła? Mam mnóstwo puszek. Zupę? Gulasz? Sara potrząsnęła głową.

- Przyszła pora, żebyśmy z Montym wracali do domu. Możesz mi załatwić kogoś, kto podwiezie mnie na ranczo?

- Już teraz? - Margaret z niezadowoleniem zmarszczyła brwi. - Co ci tak pilno?

- Chcę wrócić do siebie.

- Powiedziałaś mi, że zostaniesz.

Zostań, Saro.

Zgodziła się, gdyż w chwili, gdy Logan był słaby i potrzebował pomocy, przestała mieć się na baczności. Ale teraz nie jest ani słaby, ani w potrzebie. Otacza go grono ludzi, którzy się nim opiekują i ochronią go. Bezsprzecznie jej już nie potrzebuje.

- Przecież zostałam. Teraz nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo.

- John nie będzie zachwycony. Powiedział mi, że bym się tobą zajęła. Jak mam to zrobić, skoro znajdziesz się całe kilometry stąd?

- Nikt się nie musi mną zajmować. Sama potrafię o siebie zadbać. - Pochyliła się i pogłaskała Monty'ego po głowie. - Oberwał i musi dochodzić do siebie w znajomym otoczeniu.

- John nie będzie zachwycony - powtórzyła Margaret.

- Załatwisz mi samochód, czy sama mam się tym zająć?

- Załatwię - westchnęła Margaret. - Ale bardzo utrudniasz mi pracę.

- Chyba jakoś dasz sobie radę. Logan raczej cię zbytnio nie przeraża.

- Od dawna jesteśmy razem. Zażyłość zazwyczaj wyklucza strach, ale mam dla niego wielki szacunek.

Sara bacznie się w nią wpatrywała.

- I lubisz go.

- O kurczę, pewnie, że tak. Jest uparty, ale wobec mnie zawsze postępował uczciwie. A chociaż jego sprawy bywają powikłane, przynajmniej nie jest nudno. - Podeszła do telefonu. - Zadzwońię do któregoś ze strażników pilnujących terenu i powiem mu, żeby przyprował samochód przed frontowe drzwi. Na pewno nie chcesz czegoś przekazać przed wyjazdem?

- Na pewno. - Słuchała, jak Margaret rozmawia ze strażnikiem. Za parę minut będzie wracać do życia, które ukochała - do ciszy, prostoty, spokoju. Niech Logan oplata swymi skomplikowanymi sieciami kogoś innego. Ona jedzie do domu.

Rozdział szósty

Wycie, unoszące się w nocnej ciszy, brzmiało dziwnie ostro.

Mont y uniósł głowę. Piękne.

- Zdaje się, że nasz wilk znowu krąży w pobliżu. - Sara przyklękła, by wlać witaminy do karmy Monty'ego. - Miałam nadzieję, że odejdzie do naszego powrotu. Głodny?

- Możliwe. Te meksykańskie szare wilki mają ciężkie życie, odkąd je wypuszczono. Jedz kolację. Monty odsunął nosem miskę. Głodny.

- Musisz jeść. Nie wyzdrowiejesz, jeśli nie będziesz się odpowiednio odżywiać, a nie uratujesz tego wilka, jeśli się zagłodzisz.

Mont y wyciągnął się obok nietkniętej miski z jedzeniem.

Głodny.

Wilku znowu zawył.

- Zamknij się - wymamrotała Sara. - Chcesz, żeby farmerzy zaczęli cię szukać? Najlepiej siedź cicho i ...

Głodny.

- Ten wilk jest dużo lepiej przystosowany niż ty, żeby znaleźć pożywienie wśród dzikiej przyrody. Smutny. Sam.

Ten wilk nie powinien zawędrować tak daleko na wschód.

Rzeczywiście może być sam, z dala od stada.

- Nic się nie da zrobić. Uwolniono je, żeby same dawały sobie radę. - Usiadła przy stole i jadła gulasz, który właśnie podgrzała. - Widzisz, ja się nie martwię. No, a teraz wsuwaj kolację. - Zerknęła przez ramię i ujrzała, że Mont y wpatruje się w drzwi. - Nie, teraz nie będziemy usiłowali znaleźć ...

Pukanie.

Zesztywniała, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie.

- Przepraszam - Logan opierał się o framugę, twarz miał bladą, u jego stóp stała mała walizeczka. - Mogę wejść? Chyba muszę przysiąść.

- Co ty tu, do diabła, robisz? - Sara podskoczyła do drzwi. Zarzuciła sobie jego rękę na ramiona i pomogła mu zasiąść na fotelu przed kominkiem. - Idiota. Dziś po południu miałeś operację. Próbujesz rozerwać szwy?

- Obiecałaś mi, że zostaniesz. Gdy się obudziłem, nie było cię. - Rozsiadł się wygodniej w fotelu i przymknął oczy. - No to przybyłem tutaj.

Przyniosła podnózek z drugiego końca pokoju i ułożyła na nim chorą nogę Logana.

- Kto cię tu przywiózł?

- Margaret. Powiedziałem jej, żeby mnie tu zostawiła i odjechała.

- Z pewnością była zachwycona. Uśmiechnął się słabo.

- Zdażyłaś poznać Margaret. Nie uradowało jej to.

- Mnie też nie. Co ty tu robisz?

- Doszedłem do wniosku, że przyda mi się trochę odpoczynku w odludnym miejscu. A tu jest kompletne pustkowie.

Aż zamrugła powiekami.

- Co takiego?

- Masz tapczan. - Mówił niewyraźnie. - Mogę się na nim przespać .

- Opowiadasz jakieś bzdury.

- Naprawdę? Mam mętlik w głowie. To pewnie przez te lekarstwa, które dał mi lekarz. Chciałem cię poprosić, żebyś wróciła ze mną albo pozwoliła mi tu zostać.

- Nie wracam z tobą ani ty nie możesz tutaj siedzieć.
Twój dom w Phoenix jest wystarczająco odosobniony.

- Nie chodzi tylko o ... Obiecałem, że zajmę się twoimi porachunkami z Maddenem.

- Owszem i trzymam cię za słowo, ale nie powinieneś zwlekać się z łóżka, skoro jesteś chory. I nie musiałeś tu przyjeżdżać. Madden nie pojawił się u mnie, odkąd go wyrzuciłam.

- Tak jak chcesz wyrzucić mnie.

- Właśnie.

- Ze mną będziesz bezpieczniejsza. Ja jestem ... odpowiedzialny.

- Zaczynasz bełkotać. Nie mogę cię zrozumieć.

- Nie bełkoce. - Logan otworzył oczy, gdy Monty oparł mu głowę na dłoni. - Jak się masz, chłopie. Cieszę się, że ktoś rozwija na moje powitanie czerwony dywan.

- Nie pochlebiaj sobie. Przed pięcioma minutami chciał rozwinąć taki sam dywan przed wilkiem.

- Przed wilkiem? Słyszałem go, gdy byłem w samochodzie. Piękne ...

- Co, ty też? - Odwróciła się i sięgnęła po telefon. - Jak jest numer komórki Margaret? Zadzwoń i powiem jej, żeby zawróciła po ciebie.

Potrząsnął głową

- Uprzedziłem ją, żeby nie zwracała na to uwagi. Wołał mi stąd nie wyciągną.

- Akurat. Zadzwoń po karetkę i powiem im, żeby ...

Słuchajże, do cholery.

- Bardzo cię przepraszam. - Znowu zamknął oczy. - Jestem zmęczony ...

Zasnął.

- Logan!

Żadnej reakcji. To cud, że w ogóle zdołał się zwlec z łóżka, żeby tu przyjechać, tak był naszpikowany lekami. Nie, to nie cud. Wiedziała, jak stanowczy potrafi być Logan.

Ale dlaczego tak mu zależało, żeby tu przyjechać?

Cóż, nie ma co się zamartwiać przyczynami, skoro jego obecność tutaj jest faktem dokonany.

Dostałby dobrą naukę, gdyby odesłała go z powrotem do Phoenix karetką. Monty spojrzął na nią żałośnie.

- No dobrze, dobrze, pozwolimy mu zostać, póki się nie obudzi. Może dzięki temu przestaniesz myśleć o tym przeklętym wilku.

Monty ułożył się obok fotela.

Westchnęła z irytacją, wnosząc do środka torbę Logana, po czym położyła się na tapczanie.

Myślała, że już z nim skończyła. A jednak zaledwie parę godzin później znowu tu był, a ona spała na tym wysłużonym tapczanie, pełnym wzgórków i dołków, zamiast w swym wygodnym łóżku tylko po to, żeby mieć pewność, że ten idiota nie będzie się rzucał i nie zrobi sobie krzywdy.

- Obudź się.

Logan mglście zdawał sobie sprawę, że Sara nim potrząsa.

- Obudź się, do cholery.

Przedarł się przez opary snu i otworzył oczy. Domek. Chciała, żeby się stąd wyniósł... -

Zostaje

- A ja wyjeżdżam. Więc zadzwoń do Margaret i powiedz jej, żeby cię stąd zabrała.

- Co takiego? - Gwałtownie usiadł na krześle, widząc, że wkłada kurtkę. - Dokąd to się, do diabła, wybierasz?

- Na Tajwan. Od dwóch tygodni padają tam ulewne deszcze. Lawina błota właśnie zalała wioskę. Szacują, że liczba ofiar może przekroczyć pięćset. - Podeszła do blatu kuchennego i nalala parującej kawy do termosu. - Boże, nienawidzę lawin błota. Szanse uratowania kogokolwiek są prawie żadne. To poszukiwanie zwłok, nie żywych ludzi.

- Więc dlaczego tam lecisz?

- Setki ludzi są zagrzebane pod tym cholernym szlamem. Może Monty'emu i mnie uda się zmniejszyć tę liczbę o parę osób.

- Skąd się dowiedziałas o tej lawinie?
 - Helen Peabody, koordynatorka naszej grupy ratowniczej, zadzwoniła przed dziesięcioma minutami. Byłeś taki otumaniony, że nie słyszałeś nawet telefonu.
 - Jesteś śmiertelnie zmęczona. Nie powinnaś się stąd ruszać.
 - Taką mam pracę. To długi lot. Odpocznę w samolocie.
 - W jakim samolocie?
 - Helen wydzwania teraz do wszystkich dookoła, żeby wypożyczyć samolot i pilota. Zdobędzie ich. - Włożyła termos do torby. - A teraz weź telefon i zadzwoń do Margaret. - A Monty? Został ranny. Niby bardzo się nim przejmujesz, a mimo to chcesz go zabrać na taką akcję ratowniczą? - To jest również jego praca. Boli go, ale da sobie radę. Jeśli uznam, że za bardzo cierpi, zabiorę go.
 - Nigdy nie przypuszczałem, że będziesz taka bezwzględna dla Monty'ego. Masz fioła na punkcie tego psa.
 - Jeżeli istnieje szansa na uratowanie choćby jednej osoby, ani Monty, ani ja nie mamy prawa uchylać się od udziału w akcji. Bywaliśmy już ranni i dawaliśmy sobie radę. - Sięgnęła do szafki, wyjęła witaminy Monty'ego i wrzuciła je do torby. - Będziemy tam tylko parę dni. Potem przekażemy poszukiwania innym zespołom. Po Baracie Monty ma na razie dość widoku śmierci.
 - A ty? Ty nie masz dosyć?
 - O tak! - Odwróciła się i przygarbiła ze znużeniem. - Mam dość. Ale ciągle się coś dzieje.
 - Nie przyszło ci kiedyś na myśl, żeby odmówić?
 - Jak można odmówić, kiedy ktoś czeka na pomoc?
 - Chyba nie można. - Powinien się jej przeciwstawić, ale nie mógł się skupić. Potrząsnął głową w nadziei, że może mózg zacznie mu sprawniej działać. - Tajwan. A w którym miejscu?
 - Nazywa się Kai Czi. Chcesz trochę kawy?
 - Nie, dziękuję.
 - Na pewno? Mam wrażenie, że dobrze by ci zrobiła.
 - Pięciuset zabitych?
 - Takie są szacunki.
 - No to chyba potrzebujesz pomocy. - Sięgnął po telefon. - Co prawda dla mnie to będzie straszne utrudnienie. Ile osób liczy twój zespół?
 - Sześć.
 - I sześć psów?
- Przytaknęła.
- Zadzwoń do tej Helen Peabody i powiedz jej, że znalazłaś samolot i pilota. - Zmarszczył nos. - Moje wyściełane siedzenia i dywany już na zawsze nabiorą innego zapachu, gdy sześć psów będzie biegać po kabinie.
 - Oczy jej się rozszerzyły.
 - Pożyczasz nam swój samolot?
 - Kiedy zespół może stawić się na lotnisku w Phoenix?
 - Większość z nich przebywa w Tucson. Będą tu góra za pięć godzin.
 - To za długo, jeżeli warunki na Tajwanie są rzeczywiście tak trudne, jak mówisz. Polecimy do Tucson, zabierzemy zespół, a stamtąd udamy się prosto na Tajwan.
 - My?
 - Jadę z wami.
 - Zwariowałeś?! Na Tajwan?! Dlaczego?!
 - Może w ten sposób usiłuję zadośćuczynić za zranienie Monty'ego w Santo Camaro.
 - To daj nam tylko samolot i pilota.
 - To mój samolot. - Potrząsnął głową. - Ja tu dowodzę. - Nakręcił numer Margaret. - Margaret, lecę na Tajwan. Przygotuj dokumenty i samolot w ciągu godziny. - Uciął jej protesty. - Nie teraz. Zrób, co mówię. - Odłożył słuchawkę.

Sara potrząsała głową.

- Nie możesz z nami jechać.

- A to dlaczego?

- To misja ratunkowa. Mamy do wykonania konkretne zadanie. Będziesz nam przeszkadzał.

- Wcale nie. Znam język. Mam fabryczkę na wybrzeżu, a stąd też kontakty w tym kraju, dysponuję też samolotem. Czeg,? jeszcze mogłabyś chcieć?

- Zebyś został tutaj, dał nam samolot i pilota.

- Nie ma mowy.

- Właśnie przeszedłeś operację nogi. Nie wiesz, w jakich warunkach będziemy pracować. A jeśli dostaniesz zakażenia? - Wtedy będziesz musiała zająć się i mną, i Montym.

- Tego się właśnie obawiam.

- O nic się nie bój. Nic takiego się nie stanie. Nie będę

dla ciebie ciężarem. - Z trudem wstał z fotela i ledwo zdołał opanować grymas cierpienia, gdy spazm bólu przeszył mu udo. - A jeśli bym ci zawadzał, obiecuję, że usunę ci się z drogi. No, a teraz dzwoń, a ja pójdę do łazienki i ochłapię sobie twarz wodą.

Stała teraz, niezdecydowana.

- Zadzwoń do Helen Peabody. - Pokuśtykał do łazienki. - Wiesz, że trzęsę tym miastem.

- Spójrz tylko na siebie. Na razie na trzęsących się no-

gach ledwo możesz dowlec się do umywalki. - Co cię to obchodzi?! Dobrze mi tak, nie?

- Nie chcę, żebyś stracił tę cholerną nogę.

- Ja się zajmę sobą, a ty i Mont y zatroszczcie się o milio-

ny cierpiących na całym świecie. Uważam, że to sprawiedliwe. - Zerknął na nią przez ramię. - Co ty na to?

- Słusznie. - Z wolna skinęła głową. - Dlaczego miała-bym się o ciebie martwić? - Odwróciła się i ujęła słuchawkę. - Ale nie miej do mnie pretensji, jeśli na Tajwanie do-staniesz więcej, niż się spodziewałeś.

- Nie będę miał. - Zamknął drzwi i oparł się o nie, zwałczając fale dojmującego cierpienia.

Powinien wziąć więcej środków przeciwbólowych, lecz nie może pozwolić sobie teraz na zamęt w głowie, który nieuchronnie wywoływały. Gdy opuszczą Tucson, trochę sobie odpuści. Choć Sara jest tak szorstka w obejściu, to ona dba o wszystkich i nie do-puści do jego wyjazdu, jeśli zorientuje się, że rana doskwiera mu jak diabli. I jest chory. O Boże, czuł się kompletnie rozłożony. Gdy ból stępsiał nieco i przeszedł w dręczące pul-sowanie, wyciągnął telefon i zadzwonił do Galena.

- Jestem w domku Sary, ale zaraz lecimy na Tajwan. Dowiedziałeś się czegoś?

- Jeszcze nie. Nadal tropię Sancheza. Na Tajwan?

- Osunęła się tam lawina błotna. Wezwano jej zespół ratowniczy. Jadę z nimi.

- Chryste Panie! Jak się czujesz?

- Właśnie wyjęto mi kulę. Podle.

- Nie zazdroszczę ci.

- Znajdź tylko Rudzaka. Nawet jeśli jest ranny, na pewno coś knuje i obmyśla następny ruch.

Odłożył słuchawkę i przymknął oczy, zbierając siły.

Przebrnął przez ten telefon. Przebrnie też przez lot. Cały dowcip polega na tym, by przyblokować ból, działać auto-matycznie, nie pozwolić sobie na myślenie.

Pochylił się nad umywalką i opryskał twarz zimną wodą.

- Miły facet - powiedziała Susie Philips, siedząca na skórzanym fotelu ze wzrokiem utkwionym w Loganie, który zajął miejsce na przodzie samolotu. - Nigdy byś nie zgadł, że to jakiś potentat finansowy, co? - rzekła do Boy-da Medforda.

- Rozejrzyj się tylko - odezwała się Sara suchym to-nem. - Chyba każdy by na to wpadł po wyglądzie tego sa-molotu.

- Wiem, o co ci chodzi. Jest dość rzeczowy. Dawno go znasz?

- Niedawno.

- Więc musi być bardzo porządnym facetem, skoro na ochotnika nam to załatwił. Zwłaszcza po tym wypadku. - Powiedział ci, że miał wypadek?

- Nie, ale co by to mogło być innego?

- A jak tam Dina? - Sara zmieniła temat.

- W porządku. Ale brakuje jej naszych akcji. Patrzyła tak żałośnie, kiedy prowadziłam Donegana do furgonetki. - Poklepała owczarka niemieckiego po głowie. - Nie rozumiem, że emerytura po wieloletniej służbie to nagroda, nie kara. - Spojrzała na Monty'ego. - Oczywiście, Monty ma jeszcze czas, ale też będzie to ciężko przeżywał. Pewnie ciężiej niż jakikolwiek inny pies w zespole. Pomyśl o tym. Trzeba wielu miesięcy, żeby wytresować tropiciela.

Sara nie chciała się nad tym zastanawiać. Po tylu latach nie mogła sobie wyobrazić pracy z innym psem, a myśl, że Monty się zestarzeje, sprawiała jej przykrość.

- To jeszcze odległa przyszłość. - Podniosła się. - Logan wygląda, jakby był trochę zmęczony. Zobaczą, czy mu czegoś nie potrzeba.

- Dobry pomysł. - Susie przytaknęła. Z torby podróźnej wyjęła książkę w taniej obwolucie. - Mam nadzieję, że uspi mnie to powieściidło. Takie długie loty najchętniej przesyłam.

- Ja też. - Sara czuła zmęczenie, ciężące jej w każdym mięśniu, gdy, idąc do Logana, przechodziła między fotelami, przestępując psy i podręczny bagaż. Chciała jak najprędzej zwinąć się i zasnąć, podobnie jak pozostali członkowie zespołu. Właściwie nic jej w tym nie przeszkadzało. Logan jej nie potrzebował. Sam był w stanie o sobie zadbać.

Gdybyż był rozsądny. Ale gdyby był rozsądny, wyciągnąłby się na którymś z tapczanów, gdy odrzutowiec przed godziną startował z Tucson. On natomiast nadal rozmawiał z Boydem, słuchając go uprzejmie, a z każdą minutą robił się bledszy i wyglądał na bardziej wyczerpanego.

Ach, ci mężczyźni.

Boyd uniósł wzrok i uśmiechnął się, gdy przed nimi stała.

- Jak się masz, Saro. Niezła fura, co? Pamiętasz ten transportowiec, który zatargał nas do Baratu?

- Jakże mogłabym zapomnieć? - spojrzała wprost na Logana. - Wyglądasz jak żywy trup. Idź do łóżka.

- Za parę minut. Boyd właśnie opowiadał mi o akcji ratowniczej w Nikaragui.

- Może ci o tym opowiedzieć, kiedy się obudzisz. - Odwróciła się do Boyda. - Wyrzucam cię stąd. Powinien trzymać nogę uniesioną. Pewnie ci nie powiedział, że wczoraj miał operację?

- O, do diabła, nie! - Boyd podniósł się. - Już mnie tu nie ma. Zobaczymy się później, Logan.

Logan skinął głową i patrzył, jak Boyd przechodzi między fotelami i siada koło Susie. - Dobrze go znasz?

- Od lat.

- Tak myślałem. Jesteś opryskliwa tylko wobec starych znajomych.

- Lepiej byś się poczuł, gdybyś i ty był opryskliwy wobec niego. To fantastyczny facet, ale strasznie gadatliwy, gdy nie prowadzi poszukiwań.

- Polubiłem go. - Uśmiechnął się. - I świetnie potrafię być równie opryskliwy jak ty, Saro. Zainteresował mnie. Dzięki niemu wejrzałem głębiej w waszą pracę.

- I?

- To jakby zajrzeć do piekła. Ciekawie jest o tym posłuchać, ale nie chciałbym tam zamieszkać. - Nie musisz tam mieszkać. Ja tak.

- Chyba że ...

- Przestań gadać. Jestem śmiertelnie zmęczona i nie mam najmniejszej ochoty wtrącać się do twoich rozmów z moimi przyjaciółmi tylko dlatego, że jesteś zbyt wielkim macho, by przyznać, że cię boli. Czy teraz zechcesz się położyć i dasz mi chwilę odpocząć?

- Jasne. - Z trudem podniósł się na nogi i stał, chwiejąc się, oparty ręką o tył fotela. - Daj mi tylko chwilę, żebym pozbył się kurczów. Cały zeszywniałem.

Najprawdopodobniej po prostu nie chciał się przyznać, że w obecnym stanie boi się przejść przez środek samolotu.

- Pomóc ci? Skrzywił się.

- Nic nie ujdzie twemu czujnemu oku, co?

- Duma jest idiotyzmem, jeśli cię boli.

- Nie można ci zarzucić nadmiernej powściągliwości

w słowach. Daj mi dwie minuty. Jeżeli przez ten czas nie dojdę do siebie, możesz mnie podnieść chwytem strażaka i zanieść na tapczan. Powiedz mi, dlaczego tak nienawidzisz lawin błotnych.

- Mówiłam ci, to szukanie trupów. Po trzęsieniu ziemi są większe szanse na znalezienie dziury powietrznej. Gdy na człowieka spadnie góra błota, dusi się.

- Jak w lawinie śnieżnej?

Potrząsnęła głową.

- W śniegu idzie nam łatwiej, ponieważ jest porowaty i przenika przez niego zapach. Błoto jest inne, zatyka za-pach w środku. Pies praktycznie nie może wywęszyć stożka. Zwierzę myśli też, że da się chodzić po błocie, co przysparza kłopotów. Jeśli nie ugrzęźnie ani nie porwie go lawina, lep-ka masa może go wciągnąć, a czasami trudno się do niego dostać, żeby mu pomóc. Nie można spuszczać go z oka.

Nie da się szukać w pojedynkę, gdyż jedna osoba musi działać jako wywiadowca, w razie gdyby szukający wpadł w kłopoty, co zdarza się często. But, do którego dostało się błoto, może oznaczać wyrok śmierci. Trener psa musi mieć buty dobrze dopasowane i ściśle owiązane. Do tego na Taj-wanie pada, a nie można rozpocząć poszukiwań, póki deszcz nie ustanie, gdyż w każdej chwili błoto może się przesunąć. Siedzi się więc i czeka, podczas gdy rodziny ofiar patrzą i przeklinają nas. Czy jak dla ciebie jest to wy-starczająco wiele problemów?

- Ależ to kupa gówna.

- Właśnie. Na pewno nie wolisz zostać na pokładzie, zamiast iść do wioski?

- Na pewno. - Powędrował wzrokiem po pasażerach sa-molotu. - Mili ludzie, ale muszą być tak samo zwariowani jak ty, jeśli pchają się w coś takiego. Kiedy mnie przedsta-wiałaś, byłem trochę rozkojarzony. Opowiedz mi o nich.

Pobiegła za jego spojrzeniem.

- Ten mężczyzna koło pięćdziesiątki, właściciel czarne-go labradora, to Hans Kniper, weterynarz i trener psów. Nieduży młodzieniec, śpiący przyoknie, nazywa się George Leonard. Pracuje w supermarkecie w Tucson, a w weekendy trenuje psy. Poznałeś już Boyda Medforda, kierownika naszego zespołu. Jego chyba znasz najlepiej. Pracował w jednostce K9 Grupy Kryzysowej, nim się z niej nie wy-winał, kupując ranczo. Blondyn z czarnym podpalanym owczarkiem niemieckim to Theo Randall. Pracuje jako księgowy w luksusowym hotelu. Susie siedzi w domu, ma dwoje dzieci i cztery owczarki niemieckie.

- Niewiele macie ze sobą wspólnego.

- Tyle że wszyscy kochamy psy i chętnie je szkolimy na ratowników. To wystarczająca więź.

- Monty jest jedynym golden retrieverem. Trzy owczar-ki niemieckie, dwa labradory i Monty. Czy jakieś rasy lep-piej się nadają do tej pracy niż inne?

- Będzie się starał przekonać cię o tym właściciel każde-go psa w zespole. Ja uważam, że jedyne prawdziwe kwalifi-kacje to inteligencja, instynkt tropicielski i dobry nos. Te-raz dasz już radę przejść?

- Pomaleńku. - Zaczął ostrożnie przesuwać się środ-kiem samolotu. - Bardzo powoli. Dobranoc, Saro.

Patrzyła, jak idzie, utykając, i zatrzymuje się na chwilę, by obejść psa Susie, Donegana. Susie uniosła wzrok znad książki, a on zamienił z nią parę słów.

Położył się, idioto. Nie musisz czarować wszystkich w tym cholernym samolocie.

Minął Susie i usiadł na tapczanie.

Wyjął fiolkę pastylek z kieszeni i połknął parę, popijając szklanką wody. Środki przeciwbólowe? Jeśli tak, powinien był wziąć je wcześniej. W tej chwili, gdy nie zdawał sobie sprawy, że ktoś mu się przypatruje, wyglądał mizernie i wi-dać było, że cierpi. Nie dziwiło jej, że Logan marnie

wygląda, ale ten wyraz udreki? Jakież to nekaly go demony?

Mont y podniósł się na nogi, podszedł sztywno do leżanki Logana i klapnął przed nią. Zawsze wyczuwał chorobę i ból, co stanowiło kolejny sygnał, że Logan nie powinien wypuszczać się w tę podróż.

A i Sara nie przejmowałyby się tak tą akcją, gdyby prześtała się martwić o człowieka, który był zbyt uparty, by za-troszczyć się o siebie, i trochę odpoczęła. Usiadła na fotelu, który zwolnił Logan i odchyliła go niemal do pozycji leżące).

Śpij. Nie myśl o Loganie.

Nie myśl o tym błocie, które dusi przywalonych. Na Tajwanie znajdują się aż za prędko.

Boże, żeby tylko przestało padać.

Słońce świeciło jasno, na niebie nie było ani jednej chmurki. W Dodsworth wszystko jest w porządku - pomyślał Rudzak z rozbawieniem.

- Dlaczego chciałeś tu przyjechać? - zapytał Duggan. - Mówiłem ci, że to miejsce jest zbyt dobrze zabezpieczone, by je teraz zaatakować.

- Po prostu zależało mi, żeby to wszystko obejrzeć. - Zerknął na mały budynek z cegły, otoczony kamiennym murem, porośniętym bluszczem. - A co o tym mówią miejscowi?

- Ze prowadzi się tu badania nad roślinami uprawnymi. Rudzak zachichotał.

- Logan umie obmyślać kłamstwa, które trafiają w czułą strunę Ameryki. - Odwrócił się. - Z pewnością wzmocnił strażę?

- Wewnątrz. Na zewnątrz. Patrole, kamery monitorujące, czujniki, kontrola personelu.

- Zdobyłeś plan budynku?

- Jeszcze nie. Ale nie będzie nam potrzebny.

- Mnie owszem. Muszę poznać każdą mocną i słabą stronę tego zakładu. To będzie teraz dla ciebie najważniejsze.

- Straż jest zbyt ścisła. Lepiej zaatakuj jakiś inny obiekt Logana.

- Zastanowię się nad tym. Ale Dodsworth to takie emocjonujące wyzwanie i najwyraźniej klejnot w koronie Logana. Jeżeli dokładnie zbadamy wszystkie szczegóły, zdołamy jakoś obejść zabezpieczenia. - Urwał. - I to właśnie zrobiemy. Rozpatrzmy się w sytuacji i zobaczymy, co tu się da zrobić. - Na horyzoncie pojawił się nowy czynnik. Sara Patrick. W ciągu ostatnich kilku dni zdobył sporo informacji na jej temat, łącznie z tym, że Logan rozciągnął ochronę również na jej domek, znajdujący się poza Phoenix. Jakie miejsce zajmuje w jego życiu? Czy warto ją teraz usuwać? A Eve Duncan, która do niedawna była dla Logana najważniejszą osobą?

Tak wiele możliwości. Tyle tropów, które warto prześledzić. Ale miał czas, nie musiał się spieszyć ze znalezieniem odpowiedzi. To on dyktował tempo. Logan mógł tylko odparowywać ciosy.

Rudzak pragnął jak najprędzej przystąpić do działania, ale stworzenie interesujących scenariuszy wymaga namysłu. Już niedługo, Chen Li. Jeszcze trochę cierpliwości.

- Zobaczyłem to, co chciałem. - Ruszył do samochodu. - Jedźmy. Chcę być dzisiaj w Phoenix.

Rozdział siódmy

Prędko. Do autobusu. - Logan stał na drodze z Sun Changiem, miejscowym przedstawicielem u boku, a ciężkie krople deszczu waliły mu w twarz. - Wioska jest nie-daleko stąd, lecz Chang powiada, że w każdej chwili może zmyć drogę. Jeżeli już jej nie zniosło. Jeśli nie będzie drogi, wojsko nie wypuści nikogo z tego terenu ani też nie wpuści tam żadnej osoby.

- Fantastycznie. - Sara wgramoliła się do autobusu. - Tylko tego nam potrzeba. A wsparcie z powietrza?

- Nie ma gdzie lądować. Teren jest zbyt nierówny. Mogą najwyżej zrzucić zaopatrzenie. Wioska rozłożona jest tarasowato na zboczu góry.

- Zdołali dostarczyć sprzęt medyczny?

- Tak. I rozstawili namioty.

- Czy przybyły jeszcze jakieś inne zespoły ratownicze?
- Jeden z Tokio. Są tu od wczorajszego wieczoru.
- Czy ktoś przeżył?

Logan zacisnął usta.

- Wydobyli sześcioro ... do tej pory.

Sara oparła głowę o szybę, wpatrując się nie widzącym wzrokiem w strugi deszczu. Sześcioro na pięćset. Boże drogi!

Logan opadł na siedzenie obok niej.

- Chyba nie ma mowy o tym, żebyś została tutaj, zamiast iść do wioski?
- Nie, ale ty możesz zostać. Nic nam nie pomożesz w pracy. Ledwo chodzisz.
- Zdziwisz się, ile może zdziałać taki facet jak ja. Jeszcze cię nie zawiodłem, co?
- Nie. - Od chwili, gdy Logan wysiadł z samolotu, tryśkał energią: sprawdzał, czy opiekunowie psów mają wszystko, czego im potrzeba, rozmawiał z Changiem, który wyszedł im na spotkanie i załatwił autobus. - Ale odtąd niewiele będziesz mógł zrobić, jeśli nie jesteś lekarzem albo nie masz przeszkolenia ratowniczego. To będzie ... - Autobus podskoczył, wpadł w poślizg na drodze, obrzucając błotem szyby. - I nawet nie dasz rady wysiąść, jeśli ta twoja noga wymaga więcej zabiegów medycznych, niż są w stanie wykonać tutejsi lekarze.
- Nie wiesz, ile można zdziałać za pomocą telefonu komórkowego.
- Nie bądź taki nonszalancki. To nie jest śmieszne.
- Za nic w świecie nie chciałbym wypaść śmiesznie. -

Wyprostował chorą nogę. - Usiłuję cię upewnić, że nie będę ... Jasny gwint.

Gdy wyjechali zza zakrętu, ich oczom ukazała się góra błota. Wioska zniknęła. Ani śladu domów, ulic czy życia. Przez zacinający deszcz Sara ujrziała kilku ratowników z psami, brnących przez błoto na niższym zboczach, oraz grupę mężczyzn balansujących na deskach, opartych z obu końców na kamiennych brzegach. Kopali zawzięcie w błocie. Teren otaczały namioty. W jednym mieścił się prowizoryczny szpital, oznakowany dużym, czerwonym krzyżem.

- Chryste - wymamrotał Logan. - Od czego tu, do diabła, zacząć?
- Od tego, co zawsze. - Pochyliła się, sprawdziła bandaż Monty'ego, potem nałożyła mu pomarańczowe szelki z czerwonym krzyżem po obu stronach. - Od psów.

Logan zbladł.

Boże drogi!

- Uprzedzałam cię, że lawiny błotne są najgorsze.
- To prawda. - Głęboko zaczerpnął oddechu, oderwał wzrok od góry i spojrzał na Monty'ego. - Nie nosił tych szelek w San to Camaro.
- Tam na nic by mu się nie przydały. W miejscach katastrofy wskazują, że to pies ratowniczy, nie żaden z tych zdziczałych czworonogów, które często buszują wśród ruin, szukając jakiegokolwiek strawy. Widziałam, jak głodujące rodziny zabijają je i zjadają. - Nałożyła kaptur na poncho i związała końce pod brodą, gdy autobus z poślizgiem zatrzymał się przed namiotem szpitalnym. - Monty'emu to się nie przytrafi.

Logan patrzył, jak Sara i reszta zespołu znikają w namiocie, gdzie wojsko miało poinformować ich o sytuacji. Zapadał zmierzch i w półmroku obsunięcie wyglądało jak olbrzymia, odrażająca masa.

Zadnych krzyków

Żadnych szlochów

Żadne dziecko nie podśpiewywało ... Cisza.

Cicho jak w grobie.

- Przemoknie pan, panie Logan. - Chang stał obok niego. - W kantynie jest gorące jedzenie.
- Nie teraz. - Spojrzał na górę. - Skąd zaczęła toczyć się lawina?
- Nie są pewni. To się zdarzyło w środku nocy. - Wskazał miejsce w pobliżu wierzchołka góry. - Gdzieś tutaj.
- Chcę tam pójść.
- Wojsko nie wpuszcza nikogo na górę. Błoto ciągle się przesuwają i deszcz ...

- Więc obejdźmy ją dookoła. - Pokuśtykał ku górze. - Chcę tam iść.

Stopy ślizgały się im na skałach, gdy podchodzili do szczytu.

Śmierć.

Pomnik śmierci.

To nie zbieg okoliczności. Nie wierzył w takie przypadki. - Czego pan szuka? - zapytał Chang.

- Sam nie wiem.

Byłoby to zabezpieczone. Chciałby, żeby Logan to znalazł.

Promień latarki oświetlał pobliskie skały. Nic.

- Powinniśmy zacząć schodzić - rzekł Chang. - Woj-skowi nie będą zadowoleni, jeżeli się dowiedzą ...

- Ty zjeżdż. - Logan gramolił się do góry, promień z jego latarki kluczył w przód i tył. Skarabeusz był mały ...

Podobnie jak niebiesko-białe pudełko lśniące w blasku światła.

Pudełko Chen Li. Setki razy widział, jak brała je do ręki, wodząc palcami po kwiatach z lapis-lazuli, które zdo-biły wieczko.

Opadł na kolana obok szkatułki.

Chciał krzyżeć. Chciał walić pięściami w kamień.

Ale mógł tylko wpatrywać się w przepiękne, wysadza-ne klejnotami puzderko, lśniące w blasku jego latarki.

Pięćset osób. Pogrzebanych żywcem.

Rudzak zadzwonił do niego sześć godzin później. - Czy w Kai Czi nadal pada?

- Tak.

- Widziałem w "Wiadomościach", że wyruszyłeś z misją dobroczynną. Deszcz nie przeszkodził ci w znalezieniu szkatułki Chen Li, prawda?

- Nie.

- Bo wiedziałeś, że tam będzie. Sprytny jesteś, Logan.

W końcu zorientowałeś się, co robię ze skarbami Chen Li, zgadza się?

- Raczej darami pogrzebowymi.

- Mam wrażenie, że jesteś trochę otumaniony. Obudziłem cię?

- Nie.

- Tak też myślałem. Pewnie leżałeś bezsennie, wpatrując się w ciemność. Czyż nie w ten sposób spędzają noce osobnicy dręczeni poczuciem winy?

- Chyba sam wiesz. Przecież ty to zrobiłeś.

- Nie czuję się winny. Nie leży to w moim charakterze.

Ale teraz, po namyśle, chyba już wygłówkowałeś, dlatego uderzyłem w Santo Camaro i Kai Czi.

- Jej grób.

- Byłem wściekły, kiedy ujrzałem, jak została pogrzebana. Chen Li była królową, a ty pochowałeś ją jak że-braczkę. Śmierć królowej należy uczcić grzmieniem trąb i łoskotem cymbałów.

- A więc ofiarowałeś jej Santo Camaro i Kai Czi.

- I tak bym cię ścigał, ale dopiero gdy stałem nad jej grobem, przyszło mi do głowy, co należy robić. Wydało mi się to tak cudownie proste. Santo Camaro było dobre na początek, lecz Kai Czi to szczególne miejsce. Tutaj Chen Li się urodziła, każdego lata bawiliśmy się na tych zboczach.

- Po jej śmierci, gdy trochę zarobiłem, ufundowałem tam sierociniec jej imienia. Wiedziałeś o sierocińcu? - ' Oczywiście. Myślałeś, że to coś zmieni?

- Raczej nie.

- Pamiętałem też, że spędziliście tam z Chen Li miodowy miesiąc - rzekł Rudzak. - Tym bardziej wioska powinna umrzeć z Chen Li.

- Czy to już koniec? Uważam, że pięćset ludzi wystarczyłoby nawet tobie.

- Oczywiście, że to nie koniec. Była królową, a królowa musi otrzymać wszystko, co się jej należy.

- Znienawidziłyby cię za to.

- Nigdy by mnie nie znienawidziła. Próbowaleś ją do tego skłonić, lecz nawet wówczas, gdy ją poznałeś, była już moja.

- Nigdy nie starałem się wzbudzić w niej nienawiści do ciebie. Nawet cię lubiłem, dopóki się nie przekonałem, jaki z ciebie skurwiol.

- Nie pozwalałeś mi się do niej zbliżyć.

- Umierała. Nie chciałem, by ktokolwiek zrobił jej przykrość. A ona nie nalegała. Wtedy wiedziała już, czego od niej oczekujesz. Nie chciała cię widzieć na oczy.

- Kłamiesz. To ty ... - Głęboko zaczerpnął oddechu, a gdy się znowu odezwał, w jego głosie nie słychać było gniewu. - Nie dam ci się wyprowadzić z równowagi. Wygrywam, Logan. Wystrychnąłem cię na dudka, co? Nie spodziewałeś się Kai Czi. Gdy do ciebie dzwoniłem, myślałeś, że jestem w Kolumbii. Nastawiłem mechanizm zegarowy tuż po telefonie do ciebie.

- Masz rację, nie przypuszczałem, że jesteś aż tak pokręcony. Więcej mnie nie nabierzesz.

- Nie bądź taki pewny. Ciekawe, że zabrałaś ze sobą Sarę Patrick do Kai Czi.

- To ona mnie zabrała. Taką ma pracę.

- A więc to podwójnie interesujące. Najwyraźniej oboje kroczyście tą samą drogą. A tak nawiasem, wiesz, że mam jeszcze osiem pamiątek po Chen Li? - Odłożył słuchawkę.

Logan zapragnął położyć się i odgrodzić od całego świata, ale musiał zadzwonić do Galena. Galen powinien wiedzieć i postarać się ochronić ...

Ochronić co? Kogo? Gdzie Rudzak teraz uderzy?

- Zastanawiałem się, kiedy do mnie zadzwonisz - głos Galena, odbierającego telefon, zabrzmiał zaskakująco trzeźwo. - Nic mi nie mówiłeś, że jedziesz do Kai Czi.

- Łudziłem się, że to nieprawda. Chciałem, żeby to był akt woli bożej, nie Rudzaka. Ale wiedziałem, że nie mam się co oszukiwać.

- To sprawa Rudzaka?

- Tak, poszedłem na poszukiwania i na górze, skąd zaczęła osuwać się lawina, natrafiłem na kolejny przedmiot, należący do Chen Li, oraz kilka łusek po nabojach minerskich. Chryste, miałem nadzieję, że tego nie znajdę. Ale gdy ujrzałem tę górę błota, wiedziałem już. To nie mógł być zbieg okoliczności. Wszystko składało się w całość. Dary pogrzebowe.

- Dary pogrzebowe?

- Do grobowców faraonów wkładano skarby, które uważali w życiu za najcenniejsze. Chen Li uwielbiała swoje zbiory. Skoro nie można było pochować ich wraz z nią, dlaczego nie uhonorować nimi jej odejścia?

- To twoje domysły?

- Do czasu, gdy zadzwonił Rudzak i potwierdził je.

Ubzdurał sobie, że wszystkie te ofiary są hołdem, złożonym Chen Li.

- I dlatego zabił cztery osoby w Santo Camaro i ponad pięćset tam?

- W niektórych starożytnych kulturach często służbę i żony grzebano razem z władcą. Rudzak nie widzi różnicy. A gdyby nawet zdawał sobie z niej sprawę, nie miałoby to dla niego znaczenia.

- Jasna cholera.

- Nie spodziewałem się Kai Czi. Nie przypuszczałem, że to się stanie tutaj. Nie chcę popełnić drugiego takiego samego błędu.

- Nie bądź głupi. Skąd mogłeś wiedzieć?

- Odtąd muszę wiedzieć. Przypomniał mi, że ma jeszcze do rozłożenia osiem pamiątek. - Myślisz o swoich fabrykach?

- Może. - U rwał. - Wspomniał też o Sarze.

- Opowiesz jej o lawinie?

- Żeby mnie jeszcze bardziej znienawidziła?

- Nie ty spowodowałeś tę katastrofę.

- Zadzwonił, jeżeli natrafisz na coś choćby odrobinę podejrzanego. - Odłożył słuchawkę.

Wyciągnął się na pryczy. Powinien spróbować trochę odpocząć, choć wiedział, że nic z tego nie wyjdzie.

"Pewnie leżałeś bezsennie, wpatrując się w ciemność.

Czyż nie w ten sposób spędzają noce osobnicy dręczeni poczuciem winy?"

Tak właśnie było. Leżał i myślał o sarkofagu błota, wznoszącym się zaledwie parę metrów dalej.

Czy czuł się winny? Jasne, do diabła! Gdyby kazał zabić Rudzaka w tamtym więzieniu, nie doszłoby do tej masakry. Tak, częściowo ponosi za to odpowiedzialność i ma poczucie, że cała ta góra przygniata go.

Tak jak przygniotła dach domu dziecka.

W ciągu minionych lat wielokrotnie odwiedzał sierocińnic, a zakonnice zawsze mówiły dzieciom, by dla niego zaśpiewały.

Zamknął oczy.

Niemal słyszał ich głosiki ...

Błoto.

Strugi deszczu. Śmierć.

Jak długo to już trwa? Dwa dni? Trzy? Nieważne.

Musi szukać dalej.

Mont y złapał stożek. Może tego da się uratować.

Mało prawdopodobne. Znaleźli z Montym zaledwie sześcioro żywych ludzi. Cała reszta zginęła.

Co nie znaczy, że teraz muszą odkopać zwłoki. Trzeba wierzyć, że ten człowiek żyje. Inaczej nigdy nie odnalazłoby się innych, którzy czekają na ratunek.

Śladem psa chwiejnie przeszła po prowizorycznym mostku, przerzuconym przez błoto.

Mężczyzna nie żył. Ulewny deszcz zbyt późno uwolnił go z błotnistej trumny. Usta miał szeroko otwarte w nie-mym krzyku.

Mont y skomlał. Za dużo tego. Zejdź z nim na dół. Za-bierz go od tej śmierci.

- Chodź, chłopie. - Postawiła palik obok zwłok i oznakowała go pomarańczową, powiewającą taśmą, po czym zaczęła schodzić. Na dole, z łopata w garści, do-strzegła Logana, który uniósł ku niej wzrok. Pokryty był błotem, podobnie jak reszta zespołu ratowniczego, usiłującego odkopać ruiny wioski. Nie powinno go tu być. W ciągu ostatnich kilku dni widywała go tylko w przelocie, gdy krążył po obozie, odciażając personel medyczny, pomagając trenerom psów, a ponadto całymi godzinami kopał. Sprawiał wrażenie, jakby popychała go jakaś siła. Ale Sara niejasno zdawała sobie sprawę, że jest coraz bardziej wyczerpany, twarz ma wymizerowaną i mocniej utyka. Nie patrzył już na nią. Pochylony, kopał w błocie. Ale uniósł wzrok, gdy wraz z Montym przechodziła obok mego.

- Boyd powiada, że dziś wieczorem wycofujemy się -powiedział. - Od dwunastu godzin zespół nie znalazł ani jednej żywej osoby.

- Czy droga jest otwarta?

- Wojsko zbudowało most nad zapadniętym terenem.

Gdy prowadziliście poszukiwania na górze, przyszła do-stawa żywności i koców. Za parę godzin przybędzie tu ca-ła ciężarówka ochotników. Chociaż nie na wiele się zda-dzą. - Ze złością wbił łopata w błoto. - Wszystko to na nic. Choćbym nie wiem jak się starał, nic z tego nie wy-chodzi.

Wkurz a mnie, że to takie beznadziejne. Dlaczego nikogo nie możemy odszukać? Chryste, jaki będę zado-wolony, kiedy się stąd wyniesiemy.

I ona również. Była to jeszcze tragiczniejsza akcja niż zazwyczaj. Deszcz ustał, po czym znowu zaczął padać w jakimś, zda się, nigdy nie kończącym się cyklu, przez co nie mogli wyprowadzić psów, a odkąd przybyli, spadły jeszcze dwie lawiny.

- Pójdę na górę i spróbuję jeszcze raz. A nuż pozostał tam jeszcze ktoś żywy.

- Nie będę się z tobą kłócił. - Nie patrzył na nią. - Ale przynajmniej najpierw trochę odpocznij.

Wiem, że cię nie przekonam, żebyś sobie odpuściła, ale daj chociaż Monty'emu trochę luzu. Jak tam jego rana?

- Prawie całkowicie się zagoiła. Czy myślisz, że pozwo-liłabym mu pracować, gdyby coś z nim było nie tak? - Nie czekając na odpowiedź, ruszyła w stronę namiotu, w którym mieszkał cały zespół. Logan nie bardzo mógł prze-konywać ją, by trochę odpoczęła, skoro sam ledwo kuśty-kał

na poranionej nodze.

Gdy weszła, tylko Hans Kriper spał na pryczy obok swego labradora. Nie zachowywała się szczególnie cicho, pojąc i karmiąc Monty'ego. Nie ma obawy, że obudzi Hansa. Praktycznie w ogóle się nie kładli, toteż kiedy tylko zaistniała możliwość odpoczynku, walili się nieprzytomnie jak kłody.

Zmyła z Monty'ego akurat tyle błota, by było mu nieco wygodniej, po czym wyszorowała twarz. Nie ma co stać się o większą higienę, skoro za parę godzin znowu ugrzęzną w błocie. Położyła się i skuliła obok Monty'ego. Znowu zaczęło padać. Słyszała, jak deszcz wali o brezent namiotu. Boże, żebyż wreszcie przestało lać.

- Saro.

Logan. Obudziła się natychmiast.

Logan klęczał przy niej. Kiwnął głową w kierunku Azjatki, stojącej u wejścia do namiotu.

- To Ming Na. Chce, bym poprosił kogoś z was o odnalezienie jej dziecka.

Sarze zrobiło się niedobrze na widok zrozpaczonej miłny młodej kobiety.

- Mówiłeś jej, że robiliśmy wszystko, co w naszej mocy?

- Powiada, że szukaliście jej dziecka nie tam, gdzie trzeba. Chłopca nie było we wsi. Schodzili z góry po odwiedzinach u dziadków Ming Na. Nagła powódź wyrwała go jej z objęć i zniosła z góry do strumyka, płynącego obok wioski.

- Ile lat ma jej dziecko?

- Dwa.

- Szanse przeżycia gwałtownej powodzi są praktycznie zerowe.

- Mówiła, że przeżył. Widziała, jak wyrzuciło go na brzeg, a on odpełznął dalej. Próbowала za nim pobiec, ale osunęła się lawina błotna i nie mogła się do niego przedostać. Słyszała, jak płakał.

- Minęły cztery dni - wyszeptала Sara. - Jeśli przeżył powódź, może przetrzymał też chłód i deszcz. Ale to słaba nadzieja.

- Do diabła, chcę, żeby to dziecko żyło. - Wykrzywił usta. - Chcę cudu. Po ostatnich kilku dniach potrzebuję cudu.

Widziała to w jego twarzy. Ona też potrzebowała cudu.

Nie wiadomo, kiedy się na niego natrafi, więc należy bezustannie szukać.

- Rzucę okiem. - Podniosła się na kolana i nałożyła Monty'emu szelki. - Zapytaj ją, czy zaprowadzi mnie na miejsce, gdzie słyszała płacz dziecka.

Logan odwrócił się do kobiety i rzekł coś do niej szybko w dialekcie tajwańskim. Skinęła głową i odpowiedziała. Z powrotem zwrócił się do Sary:

- Zabierze nas tam.

- Nas?

- Ja też idę - powiedział stanowczo. - Obiecałem, że przyprrowadzę jej dziecko.

Potrząsnęła głową.

- Chcę dokonać czegoś jeszcze prócz wyciągania zwłok z tego cholernego blocka. Pragnę odnaleźć to dziecko żywe.

Otworzyła usta, by zaprotestować, po czym je zamknęła. Rozumiała jego rozpacz i znużenie - ileż to razy czuła się tak samo? Ilokrotnie usiłowała wmówić Monty'emu, że w morzu śmierci kryje się życie?

- Idź, skoro chcesz. Ale jeśli nie zdołasz dotrzymać nam kroku, nie będę na ciebie czekała.

- Dotrzymam kroku.

- Tam. - Logan wskazał na skały, wznoszące się po drugiej stronie ponad jeziorem błota.

- Dziecko wyrzuciło na tamten brzeg? - spytała Sara. Logan przytaknął, po czym ruszył ku deskom, przerzuconym przez błoto.

- Wydobądźmy to dziecko.

- Ja z Montym pójdę pierwsza, dajmy mu fory. - Oboje przeszli ostrożnie przez wąski most ku bezpiecznym skałom po drugiej stronie. Odpięła smycz i puściła Monty'ego z góry.

Starala się nie zerkać przez ramię na Logana, ale nie mogła się przed tym powstrzymać, nim ruszyła za Monty'ego. Z ulgą stwierdziła, że Logan trzyma się niezle. Choć Bóg jeden wie, jak utrzymuje równowagę na mokrych deskach z tą poharataną nogą. - Nie spiesz się. Monty może wrócić do mnie kilkanaście razy, nim schwyci trop. - Ruszyła za psem. - Jeżeli w ogóle go schwyci.

Monty zataczał kółka, starając się wywęszyć stożek.

W ciągu ostatnich kilku minut deszcz nasilił się, toteż ledwo widziała psa.

- Monty niczego nie znalazł - powiedziała Loganowi, gdy stanął obok niej. Patrzyła, jak retriever ugania się wzdłuż brzegu.

Logan wyminął ją i pokuśtykał za psem.

- Chodźmy.

Ujrzała wyraz jego twarzy i przeszedł ją dreszcz. Był spięty, całkowicie pochłonięty poszukiwaniem, gnany jakimś wewnętrzną siłą i zaciekły w uporze.

"Muszę znaleźć to dziecko żywe".

O Boże, mam nadzieję, że ci się uda, Logan. Monty nie schwycił tropu. Ciągle zataczał kręgi.

- Co się z nim dzieje, do diabła? - powiedział szorstko

Logan. - Nie możesz czegoś na to poradzić? - Robi, co może.

Logan głęboko odetchnął.

- Przepraszam. Wiem, że się stara.

Piętnaście minut później Monty szczeknął. Przybiegł szalejąc z radości, po czym popędził w dół.

- Znalazł go. - Szybko krocąc jego śladem, Logan ześlizgnął się z brzegu. - Znalazł!

Sara, mamrocząc modlitwę, brnęła za Loganem. Ulewa była tak nawalna, że nie widziała ani jego, ani

Monty'ego, ale musieli być gdzieś z przodu. -:- Logan!

Zadnej odpowiedzi.

- Logan, gdzie ... - I wtedy go ujrzała.

Zobaczyła też Monty'ego, który skomląc, stał nad strumykiem przy górcie błota.

- Słodki Jezu, nie - wyszeptala.

- Może to nie dzieciak. - Logan osunął się na kolana

i rozpaczliwie wbił ręce w ziemię. - Może to nie... - Urwał, wpatrując się w delikatne ramię dziecka, które właśnie odsłonił. - Kurczę blade. - Kopał gorączkowo, póki nie wygrzebał nieruchomego, małego ciała. - O kurczę, o kurczę! - Usiadł z opuszczonymi ramionami, wpatrując się w chłopaczka. - To nie w porządku. Przecież ledwo odrósł od ziemi.

- Musiała go przygnieść któraś z późniejszych lawin. - Sara uklękła obok Logana. - Biedny dzieciak. Biedna Ming Na.

Przez parę minut nie mogła się ruszyć, po czym z tru

Ujrzała wyraz jego twarzy i przeszedł ją dreszcz. Był spięty, całkowicie pochłonięty poszukiwaniem, gnany jakimś wewnętrzną siłą i zaciekły w uporze.

"Muszę znaleźć to dziecko żywe".

O Boże, mam nadzieję, że ci się uda, Logan. Monty nie schwycił tropu. Ciągle zataczał kręgi.

- Co się z nim dzieje, do diabła? - powiedział szorstko

Logan. - Nie możesz czegoś na to poradzić? - Robi, co może.

Logan głęboko odetchnął.

- Przepraszam. Wiem, że się stara.

Piętnaście minut później Monty szczeknął. Przybiegł szalejąc z radości, po czym popędził w dół.

- Znalazł go. - Szybko krocąc jego śladem, Logan ześlizgnął się z brzegu. - Znalazł!

Sara, mamrocząc modlitwę, brnęła za Loganem. Ulewa była tak nawalna, że nie widziała ani jego, ani

Monty'ego, ale musieli być gdzieś z przodu. -:- Logan!

Zadnej odpowiedzi.

- Logan, gdzie ... - I wtedy go ujrzała.

Zobaczyła też Monty'ego, który skomląc, stał nad strumykiem przy górcie błota.

- Słodki Jezu, nie - wyszeptała.

- Może to nie dzieciak. - Logan osunął się na kolana i rozpaczliwie wbił ręce w ziemię. - Może to nie... -Urwał, wpatrując się w delikatne ramię dziecka, które właśnie odsłonił. - Kurczę blade. - Kopał gorączkowo, póki nie wygrzebał nieruchomego, małego ciała. -O kurczę, o kurczę! - Usiadł z opuszczonymi ramionami, wpatrując się w chłopaczka. - To nie w porządku. Prze-cież ledwo odrósł od ziemi.

- Musiała go przygnieść któraś z późniejszych lawin. -Sara uklękła obok Logana. - Biedny dzieciak. Biedna Ming Na.

Przez parę minut nie mogła się ruszyć, po czym z trudem podniosła się na nogi i wyciągnęła powiewającą taśmę.

- Chodź, Logan. Musimy wrócić do Ming Na.

- Po co ci ta taśma?

- Wiesz, po co. Widziałeś ją już przedtem. Oznaczam miejsce.

- Jego nie. - Logan wyciągnął ręce, podniósł chłopca i wstał. - Obiecałem Ming N a, że przyniosę jej dziecko. Nie zostawię go tutaj w błocie.

- Nie dasz rady wnieść go na tę górę. Lt;dwo sam wszed-łeś. - Urwała, widząc wyraz jego twarzy. Zły napięły mu się na szyi, łzy spływały z oczu. - Mogę ci pomóc?

- Nie, poradzę sobie. - Rozpoczął marsz do góry. -Obiecałem jej.

Stała z Montym, przypatrując się, jak mozolnie pnie się po śliskim zboczu. Dlaczego widok tak silnego mężczy-zny jak Logan z dzieckiem w ramionach poruszył ją do głębi? Pragnęła pobiec i wesprzeć go, przynieść mu jakąś pociechę. Wiedziała, z jakim cierpieniem się spotka, gdy wręczy synka Ming Na. Przez lata oglądała tę udrękę nie-zliczone razy, w setkach miejsc.

Ale nie pozwolił, by mu pomogła.

- Chodź, Monty. - Z wolna zaczęła podążać za Loganem ku górze.

Tropiciele umyli psy, wszyscy wzięli prysznic i prze-brali się na lotnisku, po czym wsiedli do samolotu Loga-na. Wystartowali nieco po ósmej wieczorem.

Logan był spokojny. Zbyt spokojny. Odkąd złożył dziecko w ramiona Ming Na, powiedział tylko parę słów i odszedł. Cóż, Sara też nie była zbyt rozmowna. Cały ze-spół jakby okrył się kirem. Ta akcja ratunkowa stanowiła koszmarnie przeżycie. Sara zaczęła się przygotowywać do spoczynku. O, do diabła. Podeszła do fotela, na którym siedział Logan.

- Nic ci nie jest? Uśmiechnął się słabo.

- Wytrzymałaś dłużej, niż się spodziewałem.

- Nie powinieneś być tu przyjeżdżać. Ostrzegałam cię, że nie możesz brać udziału w poszukiwaniach. - Musiałem przyjechać.

- Tak samo jak musiałeś szukać tego dziecka.

Przytaknął.

- To się zdarza. Poszukiwania nie zawsze wypadają jak należy. Trzeba myśleć o tych, które się dobrze skończyły.

- Ponieważ to moja pierwsza akcja, nie mogę jej po-równać z innymi, które potoczyły się lepiej. I chyba nie wezmę udziału w następnej. - Wyjrzał przez okno. - Jak ty to, do diabła, wytrzymujesz?

- Podtrzymuje mnie nadzieja. I świadomość, że za-wsze ktoś oczekuje naszego przybycia. Czasem to tylko jedna czy dwie osoby, ale każde życie jest cenne. - Potar-ła sobie kark. - Ale tym razem było ciężko.

- Owszem. - Popatrzył na nią. - Więc przestań mnie pocieszać i połów się spać. Nic mi nie jest.

Zdażyłem już zetknąć się ze śmiercią. Tyle że dzieci są ... inne.

- To prawda.

- Chciałem, żeby ten mały żył.

- Wiem.

- Ale się nie udało i będę musiał przestać o tym myśleć.

Dojdę do siebie. Zawsze wracam do równowagi. - Zamk-nął oczy. - Więc zajmij się swoim psem i daj mi usnąć.

Stała patrząc na niego niepewnie.

- Saro. - Nie otworzył oczu. - Zmykaj.

Gdy podjeżdżali do rancza, usłyszeli wycie wilka. Monty siedział wyprostowany na tylnym siedzeniu, wpatrując się ochoczo w góry.

- Zapomniałam o wilku. - Spojrzenie Saro pobiegło za wzrokiem Monty'ego. - Przynajmniej jeszcze żyje.

Piękny ...

- Ale i niebezpieczny, Monty. Po tym, co ostatnio przeszedłeś, niepotrzebne ci są nowe emocje. Wilk znowu zawył.

- Głos natury - powiedział cicho Logan. - Niewiarygodne.

- A Federacja Ochrony Przyrody chce, by pozostał na łonie natury. Ja też. Pragnęłabym tylko, żeby to cholerne wilczyisko nie napadało na rancza. - Zaparkowała przed domkiem i wyskoczyła z dżipa.

- Wejdz. Zrobię ci filiżankę kawy, a ty zadzwonisz do Margaret czy kogokolwiek innego, z kim będziesz się mógł skontaktować, żeby po ciebie przyjechał. Nie wiem, dlaczego nie chciałeś, żebym cię podwoziła do twojego domu w Phoenix.

- Miałem cię dostarczyć pod drzwi. Galen powiedziałby, że tak będzie uprzejmie. Chętnie napiję się kawy. - Wysiadł i pokiwał do wejścia. - Dobrze mi zrobi.

Zapaliła światła i podeszła do szafki.

- Nie wyglądasz kwitnąco. Potrzeba ci czegoś więcej niż filiżanka kawy. W samolocie chyba nie brałeś żadnych środków przeciwbólowych.

- Skończyły mi się przed dwoma dniami. Lekarz pewnie myślał, że nie będą mi już potrzebne.

- Nie wiedział, że postanowiłeś katować się przez następne pięć dni. - Zaczęła parzyć kawę. - Chyba nie zaleciłby tego całego kopania, a już na pewno ześlizgiwania się z góry.

- To trzeba było zrobić. - Usadowił się w fotelu i oparł nogę na stołeczku. - Powinnaś zrozumieć. Nigdy nie spotkałem bardziej żarliwej orędowniczki tej filozofii.

Wilk znowu zawył.

Wyjrzała przez okno w mrok.

- Niechby już przestał. Denerwuje Monty'ego.

- Tego byśmy sobie nie życzyli. Mam wrażenie, że działam na naszego pieska uspokajająco. Może zostanę tu przez jakiś czas?

Po trosze spodziewała się tej propozycji. Powinna pójść za głosem instynktu i odstawić Logana do Phoenix. Gdyby nie była tak zmęczona, nie wpuściłaby go za próg.

- Nic się nie zmieniło od twojej pierwszej wizyty. - Przyniosła mu kawę. - Nie chcę, żeby tu ktokolwiek zamieszkał.

- Owszem, coś się zmieniło. Wiele razem przeżyliśmy.

Nie uważasz mnie już chyba za swego wroga.

- To nie znaczy, że chcę cię gościć w swoim domu.

A właściwie, dlaczego, do diabła, w ogóle tu przyjechałeś? Kiedy się pierwszy raz u mnie pojawiłeś, pomyślałam, że masz źle w głowie. Oboje wiemy, że nie musisz podejmować akcji przeciw Maddenowi akurat z tego miejsca. Coś tu śmierdzi.

- Czy nie możemy przedyskutować tego rano? Jestem dość zmęczony.

- Więc skończ kawę i zadzwoń do Margaret.

- Nie mam siły. - Odstawił filiżankę na stojący obok stolik i uśmiechnął się słabo. - Nie wykopsasz rannego człowieka z domu.

- Nie bądź taki pewny. - Westchnęła z rezygnacją.

Grał na jej uczuciach, ale rzeczywiście był straszliwie blaśdy i wiedziała, co przeszedł na Tajwanie.

- No dobrze, już-tro. Ale ten fotel nie jest tak wygodny jak leżanki w twoim samolocie. Może rano sam będziesz chciał wyjechać.

- Nigdy nie można przewidzieć ... - Zamknął oczy. Zapadł w sen.

Opadła na tapczan i przyglądała mu się bezradnie.

Dijii vu. Dlaczego nie może się go pozbyć? Nie chciała go tu. W ciągu ostatnich dni zajmował zbyt wiele miejsca w jej życiu, co wytrącało ją z równowagi. Widziała go, gdy był zmęczony,

zniechęcony i cierpiący. Widziała je-go łyzy. Odbierał jej spokój, a dość już przeżyła burz. To jest jej dom, jej przystań i nie chciała go dzielić z żadnymi obcymi.

Ale na tym właśnie polega problem. Logan nie jest już obcy. Nie bardzo wiedziała, jakie miejsce zajmuje w jej życiu, ale już nigdy nie będzie obcy.

Wilk zawył.

Mont y uniósł głowę i zaskomlał gardłowo.

Nie mogła mieć do niego pretensji. Krzyk wilka był straszliwie melancholijny i rozdzierająco smutny.

I dochodził z coraz bliższej odległości.

Zostań w górach - modliła się. Farmerzy cię zastrzelą.

Tu jest niebezpiecznie. Uważają, że stanowisz dla nich za-grozenie i nic ich nie obchodzi, że jesteś dziki, wolny i piękny.

Mont y złożył głowę na łapach. Piękny ...

Rozdział ósmy

- Wstań, Saro.

Gdy uchyliła powieki, ujrzała, że stoi nad nią Logan.

Spała mocno i przez chwilę wydawało się jej, że znowu jest na Tajwanie.

- Chodź. Uciekł. Nie dam rady gonić go sam. - Na po-ty szedł, na poły podskakiwał ku drzwiom. - Niech to szlag, nie mógłbym ścigać się nawet z żółwiem.

U siadła i przetarła oczy. - O co chodzi?

- O Monty'ego. Wskoczył przez te swoje drzwiczki jak zwariowany. Usłyszał coś.

Postawiła stopy na podłodze.

- Co?

- Nie mam pojęcia. Do mnie nie dobiegł żaden dźwięk. Po prostu otworzyłem oczy i zobaczyłem, że Mont y wstaje. Nasłuchiwał przez chwilę, a potem już go nie było. - Otworzył drzwi. - Często wychodzi w nocy?

- Nie, ale czasem mu się to zdarza.

- Mówię ci, że coś usłyszał. Lepiej chodźmy za nim.

Logan był wyraźnie zaniepokojony, a jego zdenerwo-wanie udzieliło się Sarze. Mont y prawdopodobnie wy-szedł, by się wysiusiać, ale musi to sprawdzić. Chwyciła latarkę i wyszła za Loganem.

- Manty!

Odczekała chwilę.

- Manty!

Po raz pierwszy zmroził ją strach. Manty zawsze jej odpowiadał.

Chyba że nie mógł.

Usłyszała coś w oddali. Nie szczeknięcie. Jęk?

- Słyszałam coś. - Puściła się biegiem. - Wracaj do domu.

- Akurat. Gdzie są kluczyki do twojego dzipa?

- Zawsze zostawiam je w stacyjce.

- Bezpieczne rozwiązanie.

Nie zwracając na niego uwagi, biegła na zachód, skąd doszedł ją hałas.

Ciemność. Cisza.

-: Manty! Zadnego odzewu. - Odezwij się!

Ciche skomlenie w oddali.

Monty. Wiedziała, że to Manty. Przefrunęła nad zbi-tym, brązowym piaskiem, promieniem latarki przebijała ciemność, zataczając przed sobą po bokach szeroki krąg.

Wtem ujrzała go. Krew.

Mont y leżał w kałuży krwi.

- O Boże! - Rzuciła się ku niemu z twarzą zalaną łzami. - Manty!

Spojrzał na nią oczyma pełnymi bólu.

Była już prawie przy nim, gdy ujrzała, co zasłaniał swym potężnym ciałem.

Szara sierść, zielone oczy, wpatrujące się groźnie w światło, obnażone białe, lśniące zęby.

I przednia łapa, schwytna w żelazny potrzask. Krew ciekła z wilka, nie z Monty'ego.

Mont y ułożył się bliżej wilka. Ból.

- Odejdź od niego, Monty. Porani cię.

Mont y nie ruszył się. Ukłękła obok niego.

- Spróbuję rozewrzeć te sidła. Tylko zejdziesz mi z drogi. Ani drgnął.

- W porządku, jeśli chcesz, zachowuj się jak idiota. Nie on jeden zachowywał się jak idiota.

Próbując uwolnić wilka z pułapki bez usypiania go, może napisać sobie biedę. Zdjęła koszulę i owinęła swoje ramię, znajdujące się najbliżej wilczych kłów. - Wydostanę cię z tego - rzekła cicho.

- Tylko daj mi trochę luzu.

Wilki kłapnęły. Sara w samą porę uchyliła ramię przed jego zębiskami.

- W porządku, nie dajesz mi luzu. - Sięgnęła do żelaznych ostrzy potrzasku. Szybko. Musi działać szybko.

Wilki znowu kłapnęły. Tym razem do krwi. Przysiadła na piętach.

- Chcesz się wykrwawić na śmierć? Daj sobie pomoc. Wilki rzucił się ku niej, po czym opadł ze skowytami bólu. Mont y podpełznął bliżej wilka.

- Nie!

Pies, nie zwracając na nią uwagi, złożył głowę na gardło wilka.

- Co ty wyprawiasz, chłopie? - Wstrzymała oddech.

W każdej chwili spodziewała się, że wilki podniesie się i poharata Monty'ego.

Nieprzytomny?

Nie, widziała błysk w jego wąskich jak szparki ślepiach. Dlaczego ona tu w ogóle siedzi?

Nieważne, jaki dziwny prąd przepływa teraz między Montym i wilkiem. Wykorzystaj tę chwilę. Zaczęła rozwierać potrzask, w każdej chwili spodziewając się ataku wilka.

Niespodziewanie ciemność przebiły ostre promienie światła.

Dżip.

- Zatrzymaj się, Logan. - Zastygła ze wzrokiem utkwionym w wilka.

Ani drgnął. Jakby Mont y, dotykając gardła drapieżnika, sparaliżował go.

- Mogę pomóc?! - zawołał Logan z głębi samochodu. - Wyjmij apteczkę spod przedniego fotela i przyjdź tutaj, by pomóc mi z tym potrzaskiem. Sama nie dam rady.

Po chwili Logan klęczał obok niej, wpatrzony w Monty'ego i wilka.

- Co tu się dzieje?

- Nie mam pojęcia. Wygląda na to, że Mont y go zahipnotyzował czy co? - Z apteczki wyjęła strzykawkę podskórną i środek uspokajający. - Otwórz pułapkę, gdy tylko dam mu zastrzyk.

- Dlaczego nie później?

- Ucieknie. Muszę opatrzyć mu nogę, zanim da drapa-

ka. - Robiąc zastrzyk, czujnie wpatrywała się w wilka. Tkwił nieruchomo. Może noga bolała go tak, że nie odczuł lekkiego ukłucia.

To Mont y jęknął cicho, jakby współczuł cierpieniu potratymca.

- Przytrzymaj go jeszcze przez chwilę i zaraz go wypuscimy, Mont y - powiedziała cicho. - Nie

wiem, co robisz, ale rób to dalej. - Do Logana rzekła: - Otwórz te szczęki szarpnięciem, kiedy ci

powiem. - Położyła ręce na żelazie obok Logana. - Liczę do trzech. Raz, dwa ... - zerknęła na

wilka. Leżał bezwładnie. - Trzy.

Wraz z Loganem ciągnęli ze wszystkich sił. Żelazne szczęki z wolna się rozwarły.

- Przytrzymaj je, a ja wyciągnę mu nogę.

- Wyciągaj - mruknął.

Ostrożnie oswobodziła wilczą łapę. - Możesz puścić.

Szczęki zatrzasnęły się ze śmiertelnym kliknięciem.

Odwinęła koszulę z ramienia, zrobiła z niej opaskę uciskową i owinęła wilkowi nogę.

- Wskakuj do dżipa, Monty.

Po chwili wahania Mont y podniósł się na nogi i po-biegł do samochodu.

- Co teraz? - zapytał Logan.

- Zawieziemy wilka do domku, gdzie będę go dogła-
dać.

- Dzikie zwierzę?

- Ranne zwierzę. - Podniosła drapieżnika i poszła

z nim do dżipa. - Chodź, pomóż mi. Poprowadzisz, a ja będę go pilnować.

- Dobrze. - Z wolna podniósł się na nogi, podczas gdy ona układała wilka na tylnym siedzeniu. -
Masz krew na ramieniu.

- Ledwo drasnął mi skórę. - Wskoczyła na fotel pasażera. - Pospiesz się. Nie wiem, jak długo
będzie działał środek uspokajający, a chciałabym go opatrzyć bez dawa-nia mu kolejnego
zastrzyku.

- Już się robi.

Nie minęło nawet pięć minut, gdy zatrzymali się przed domkiem i Sara wyskoczyła.

- Wyjdź pierwszy i otwórz drzwi obok kominka. Pro-
wadzą do małej, obudowanej werandy na tyłach.

Pokuśtykał do domku. - Jeszcze coś?

Poszła za nim.

- Weź tę chustę z brzegu tapczana i rzuć ją na podłogę werandy.

- Co teraz? - zapytał, wykonawszy polecenie. Ostrożnie położyła wilka na chuście.

- Przynies mi torbę ze środkami medycznymi z pierw-szej szafki w kuchni.

Uklęka i delikatnie pogłaskała wilka po pysku.

- Ależ z ciebie piękny chłopak. Nie martw się, zaopie-kujemy się tobą.

Manty usadowił się obok wilka.

- Zejdź mi z drogi - poleciła mu Sara. - Muszę zaszyć tę ranę i nastawić nogę. Jest złamana.

Ze wzrokiem utkwionym w wilku Mont y złożył głowę na łapach .

. - Tu jest torba. - Logan ukląkł obok wilka. - Powiedz, jak ci mogę pomóc.

Spojrzała na niego nad ciałem wilka. Dotychczas bez zastrzeżeń wykonywał wszystkie polecenia, a
Bóg jeden wie, jak bardzo potrzebowała pomocy.

- Najpierw musimy oczyścić ranę.

- Zostawisz tu Monty'ego z wilkiem? - zapytał Logan
godzinę później, opuszczając wraz z Sarą werandę.

- Nie mogę go przegonić. - Sara położyła torbę z przy-borami medycznymi na kuchennym blacie i
nad zlewem zmyła krew z dłoni. - Przynajmniej dopóki nie wydo-brzeje. Kawy?

- Jak długo będzie spał? - zapytał Logan, ostrożnie opuszczając się na fotel i opierając nogę na
stołku.

- Mam nadzieję, że przynajmniej jeszcze przez godzi-nę. I to jest ona, nie on. Ja też uznałam, że to
samiec, pó-ki nie zaczęłam jej opatrywać. Dziwię się, że tego nie za-uważyłeś.

- Byłem zajęty. - Skierował wzrok na ogień. - Nie jest
ci trochę chłodno? - Nie.

- Mnie też nie. Założysz koszulę?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Mam stanik. Od góry nie różni się od bikini.

- Uwierz mi, że się różni.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy napotkała jego spojrzenie. Szybko odwróciła wzrok.

- Boże kochany, powinnam się tego spodziewać. Nawet w takiej sytuacji. To typowe dla facetów.
Czytałam w jakimś artykule, że mężczyźni myślą o seksie co osiem minut.

- W takim razie muszę być zimny jak ryba. Seksualne chętki nachodzą mnie najwyżej co dziesięć
minut.

Powiedział to lekkim tonem i Sara uświadomiła sobie z ulgą, że krępująca chwila minęła.

Poszła do sypialni, po czym wróciła, wciągając przez . głowę biały podkoszulek.

- Zadowolony?

- Nie. - Zmienił temat. - Co masz zamiar zrobić z wilczycą?

- Wykurować stworzenie, a potem przekazać Federacji Ochrony Przyrody, by przenieśli ją w inne miejsce. - Skrzywiła się. - Pod warunkiem, że sąsiedzi farmerzy nie wpadną tu wcześniej i ponownie nie będą próbowali jej zabić. Mam nadzieję, że uda mi się jakoś ich powstrzymać.

- Może właśnie w tym będę mógł ci pomóc.

- A co zrobisz? Opłacisz ich? - Potrząsnęła głową. - Ci farmerzy są niezależni jak diabli i nie da się ich kupić. Stracili bydło i roznosi ich wściekłość.

- Coś wymyślę. - Odetchnął gwałtownie. - Tak się zastanawiam ... Czy mógłbym cię poprosić, żebyś jeszcze raz po-fatygowała się po torbę z przyborami medycznymi? Zdaje się, że sam będę potrzebował pierwszej pomocy. Chyba się doprawiłem do reszty, gdy klęknąłem przy wilku. Szybko spojrzała na wspartą o podnózek nogę. Po wewnętrznej stronie uda rozlewała się duża, ciemna plama. - A niech to szlag, rozerwałeś szwy. - Chwyciła torbę z blatu i przeniosła ją na krzesło. - Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Byłaś zajęta. Oboje byliśmy zajęci. Wiecznie żyjesz w stanie ostrego pogotowia. Niemal boję się zamknąć oczy. Co ty robisz?

- Zdejmuję ci dzinsy.

- Nagość ani własna, ani cudza nie budzi w tobie zażenowania.

- W nagości nie ma nic wstydlwego. - Ściągnęła mu spodnie z bioder i spuściła na dół. - Mogę założyć te szwy - chyba że chcesz, żebym wezwała karetkę.

- Nie, ty to zrób. - Zamknął oczy i uśmiechnął się słabo. - Tylko nie rozkoszuj się zbytnio wbijaniem we mnie igły.

- Zadawanie bólu nigdy nie sprawiało mi przyjemności. - Pochyliła się nad jego udem. - Nie wszystkie szwy po-zły. To nie potrwa długo.

- To dobrze. Nigdy nie umiałem ... - Gwałtownie wciągnął powietrze, gdy igła wbiła mu się w ciało.

- Po-winienem poprosić cię o zastrzyk, taki jak ten, który da-łaś naszej wilczycy.

- Dałabym ci, ale mam tylko morfinę, a ty jesteś na nią uczulony.

- O kurczę. Wiedziałem, że to mnie będzie prześladować.

- Jeszcze tylko parę ściągów.

W rzeczywistości zrobiła ich trzy, nim obandażowała ranę.

- Nie było tak strasznie, co? - spytała, gdy włożyła mu dzinsy i zapięła je.

- Miło też nie było. - Otworzył oczy. - Ale ponieważ doszło do tego głównie z mojej winy, chyba nie powinienem się skarżyć. Czy mogę poprosić o kawę? Dobrze by mi zrobiła.

- Oczywiście. - Podeszła do blatu kuchennego. - Ja też się chyba napiję.

- Bardzo by ci się przydało. Miałaś ciężką noc.

Podawała mu kawę, naląła też sobie i z filiżanką przysiad-ła na podnóżku.

- Ty również. To nie twoja wina, że rozerwałeś szwy. Próbowaleś pomóc Monty'emu, a potem wilczycy. Jeśli już kogoś można za to winić, to raczej mnie.

Potrząsnął głową.

- Nie, mnie to wszystko obciąża.

- Już to mówiłeś. Masz ogromne poczucie obowiązku.

- To jedna z paru reguł, których zawsze przestrzegam. Cokolwiek robię, przyjmuję na siebie odpowiedzialność za swoje działania. - Pociągnęła łyk kawy i przez chwilę milczała. - Dlaczego tu przyjechałeś, Logan?

- A jak myślisz?

- Nie mam pojęcia. Myślałam, że oszołomiony lekarstwami, podniosłeś się z łoża boleści i udałeś w pierwsze lepsze miejsce. Ale nawet pod wpływem środków usmie-rzających nie możesz być aż tak zamroczony. Więc chodzi o coś innego. - Słucham.

- Powiedz mi, co tu jest grane.

- Z przyjemnością patrzę, jak sama do tego dochodzisz. Czy mówiłem ci kiedyś, że podziwiam twój błyskot-liwy umysł?

- Nie bierz mnie pod włos, Logan.

- Nigdy bym się nie ośmielił. Może różnimy się w niektórych sprawach, ale zawsze bardzo wysoko cię ceniłem.

- Po prostu wykorzystywałeś mnie.

Jego uśmiech zgasł.

- Z tym już skończyłem. Nigdy więcej cię nie wykorzystam, Saro.

Wpatrywała się w jego twarz.

- Uwierz mi.

Uwierzyła.

- Jeżeli to prawda, bardzo zawęży się krąg powodów, dla których tu przybyłeś. Obiecałeś, że załatwisz sprawę z Maddenem, ale do tego nie musiałeś wlec się aż tutaj. - Owszem, gdybyś powiedziała, że chcesz, żeby z tym natychmiast zrobić porządek.

- Ale nic takiego nie mówiłam. - W zamyśleniu pochyliła głowę. - I byłeś bardziej przestraszony niż ja, gdy Monty wybiegł dziś w nocy. Bałeś się, że coś mu się stanie.

Czekał w milczeniu.

- Odpowiedzialność. - Napotkała jego wzrok. - Bałeś się, że ktoś zrobi krzywdę Monty'emu.

- Albo tobie. Omal nie dostałem ataku serca, kiedy wyleciałaś stąd jak z procy. Wiedziałem, że z tą felerną nogą nigdy cię nie dogonię.

Oczy jej się rozszerzyły. - Rudzak? Dlaczego?

- Musiał cię zobaczyć, kiedy wyskoczyłaś z helikoptera i pobiegłaś za Montym.

- I to wystarczy, żeby wziąć mnie na cel?

- Jak najbardziej. Pomogłaś mi, a nikt tak nie ceni sobie zemsty jak Rudzak. Uzna swą porażkę za upokorzenie, a wy oboje uczestniczyliście w nim i byliście jego świadkami.

Zacisnęła ręce w pięści.

- Myślałam, że jestem poza tym.

- Wrócisz ze mną do Phoenix?

- Nie, myślę, że absolutnie nic mi nie grozi, ale w razie czego sama dam sobie radę.

- Spodziewałem się takiej reakcji. Powiedziałem Galenowi, żeby dał ci jakąś ochronę, ale byłoby mi dużo łatwiej cię strzec, gdybyś wróciła do Phoenix.

- Sama chcę panować nad swoim życiem. Nie mam zamiaru niczego ci ułatwiać.

- Więc skoro postanowiłaś tu zostać, pozwól mi zamieszkać z tobą. Będę kucharzem i pomywaczem. Czeka cię mnóstwo roboty przy wilczycy i Montym.

- Powiedziałam już, że nie chcę cię tu widzieć.

- Wyobraź sobie, że jestem pokornym sługą, gotowym na każde twoje skinienie. Czy taki obrazek do ciebie nie przemawia?

- Marzyłam o tym. Ale najprawdopodobniej znowu rozerwiesz sobie szwy i koło ciebie też będę musiała skakać. - Mam zaufanie do twoich umiejętności medycznych. - Wykrzywił się. - Szwy tak mnie boją, że muszą być naciągane jak skóra na bębnie.

- Siedząc tutaj jesteś dla mnie bardziej niebezpieczny niż za wszystkimi bramami w Phoenix. Rudzak najprawdopodobniej podpełźnie do mojego domku i wysadzi go tylko po to, by cię załatwić.

- O nie, dzięki mojej obecności będziesz szanowany. Rudzak wcale nie chce, żebym już umarł. Najpierw zamierza mnie podręczyć.

- Coś ty mu takiego zrobił?

- Zabrałem mu piętnaście lat życia. Gdybym mógł, to bym go zabił, ale mi nie wyszło. - Mówił zimnym, zupełnie beznamiętnym tonem, po czym się uśmiechnął. - Ale było, minęło. Zastanówmy się nad przyszłością. Pozwól mi zostać, póki wilczyca nie wróci do siebie. Może do tego czasu odnajdziemy Rudzaka. Znam też parę osób z Ministerstwa Ochrony Środowiska, które namówią farmerów, by przestali ścigać wilczycę.

- Nie napuszczałabym takiego ministerstwa na swojego największego wroga.

- Tylko namówić ich do jakiejś nie dużej szarży? Żeby uratować wilczycę?

- Może. - Podniosła się. - Muszę sprawdzić, w jakim jest stanie.

- Nie uważasz, że powinniśmy nadać jej jakieś imię?

Coś niezwykłego, Diana czy Walki ...

- Nie znoszę cudacznych przezwisk. - Ruszyła ku drzwiom na werandę. - Ma na imię Maggie.

- Margaret bardzo to pochlebi... przynajmniej tak przypuszczam.

- Nie myślałam o niej. Po prostu podoba mi się to imię.

- Saro.

Zerknęła przez ramię.

- Mówię serio - rzekł z powagą. - Wiem, że Santo Carmaro wydaje się odległe i nierzeczywiste.

Ale to nie jest skończona sprawa. Uwierz mi, Saro.

Miał rację. Zagrożenie ze strony Rudzaka wydawało się jej koszmarnym żartem.

- Możesz się mylić.

- Nie myślę się. Pozwól mi zostać. Pozwól, że ci pomogę. Obiecuję, że nie będę zawadzać. -

Skrzywił się. - I po-myśl, jak przyjemnie ci będzie mną komenderować.

- To jest argument.

- Więc zastanów się nad tym.

Milczała przez chwilę.

- Zastanowię się.

Patrzył, jak wychodzi na werandę. Czy był dość przekonujący? Z absolutną szczerością wyłożył jej wszystkie fakty, każde inne podejście byłoby szczytem idiotyzmu. Ona sama nigdy nie kłamała i nie znosiła fałszywców. Była bezpośrednia jak mało która kobieta, a jeszcze nigdy nie spotkał nikogo, kto z taką żarliwością troszczyłby się o bezradne stworzenia. Opiekowała się wilczycą, jakby była jej dzieckiem - głaskała ją, mówiła do niej, uspokajała kojącymi słowami, choć zwierzę nie mogło jej zrozumieć. W takich chwilach Sara Patrick emanowała pięknem. Ręce o drobnych kościach były delikatne i zręczne; kiedyś poprosiła go, by odgarnął jej do tyłu potargane włosy, bo chciała lepiej widzieć, co robi. Mocne ramiona, pierś falująca od przeżywanych emocji ...

Kurczę, dość tego. Zaczął się podniecać w najmniej odpowiednim momencie. A już na pewno nie powinien się podniecać Sarą Patrick.

Więc zapomnij o tym, wyrzuć ją z myśli.

Łatwo powiedzieć. Za każdym razem, kiedy na nią patrzył, przypominał sobie, jak czuł się w owej chwili.

Nic nie przychodzi łatwo. Przemóż się. Zapomnij, jak wyglądała w tym zwykłym, białym staniku.

Pamiętaj tylko, że musisz utrzymać ją przy życiu.

Monty wyciągnął się obok śpiącej wilczycy, leżał z nią prawie nos w nos. Nie unióś głowy, gdy Sara weszła do pomieszczenia. To dobrze. Będzie miała chwilę dla siebie. Zbyt wiele się zdarzyło tej nocy, a ona była zdenerwowana i wytracona z równowagi. Logan znowu postawił ją w kłopotliwej sytuacji, z której będzie musiała jakoś wybrnąć.

Ten domek był jej przystanią i nie chciała z nikim go dzielić. Zwłaszcza z człowiekiem o tak silnej osobowości jak Logan. Powiedział, że nie będzie jej przeszkadzał, ale czyż obecność tak wyrazistej postaci może nie zakłócić spokoju ducha?

A jednak nie próbował przejąć steru, gdy pomagał jej przy wilczycy. Stał z boku, gotów do pomocy, lecz do niczego się nie wtrącał, podobnie jak na Tajwanie.

Ale tak naprawdę wcale nie chodzi tu o wygodne życie z nim. Czy Monty i ona są bezpieczniejsi, mając Logana u boku? Czy może ufać jego osądowi i pobudkom? Był skomplikowanym człowiekiem, ale zdążyła trochę go poznać i uwierzyła mu, gdy przyrzekł, że nigdy więcej jej nie wykorzysta.

Z drugiego końca werandy spojrzała na Monty'ego i wilczycę.

- Mamy kłopot, chłopie.

Monty podniósł głowę i spojrział na nią pytająco. W porządku?

- Ja czy wilczyca? Obie mamy się dobrze. Wiesz, nie powinieneś być wtedy wychodzić, żeby jej szukać. Sam nie jesteś w najlepszej formie i nie wiadomo, co się mogło zdarzyć. Nie jest łagodną owieczką.

Mont y z powrotem położył głowę. Piękna.

- Owszem, tak, i z pewnością jest uciśnioną dziewczicą, ale może rozszarpać cię na kawałki w ciągu paru minut. Nie masz morderczych instynktów.

Ranna.

- Teraz, ale za parę tygodni dojdzie do siebie. I nie chcę, żebyś więcej kładł jej łeb na gardle. Dość tych sztućczek. W ten sposób sam się prosisz, żeby cię rozszarpała.

Wilczyca otworzyła oczy i spojrzała prosto na Monty'ego.

Piękna.

- A niech to! - Serce w Sarze zamarło, gdy patrzyła na nich razem. - Nie, chłopie. Ona jest z innej wsi. Co ja mówię, z innej strony wszechświata. Uwierz mi, że nie macie ze sobą nic wspólnego.

Piękna.

. - Jeśli dojdzie do rodzinnej kłótni, rozszarpie cię na strzępy•

Piękna.

- I jakie będziecie mieli potomstwo? Piękna.

Mogli poczuć do siebie miętę. Golden retriever i ta wspaniała wilczyca ...

- Czarno widzę przyszłość tego związku. Federacja

Ochrony Przyrody ma inne plany dla Maggie.

Mont y delikatnie polizał sierść pod oczyma wilczycy. Maggie warknęła, obnażając zęby.

Sara spięła się, gotowa w każdej chwili skoczyć Monty'emu na ratunek.

- Przestań.

Mont y nie przestał. A warczenie Maggie stopniowo cięchło. Zamknęła oczy, przyjmując pieczętę.

- A niech mnie. - Sara potrząsnęła głową. - A może to miłość z wzajemnością. - Podeszła bliżej i przyklękła przy wilczycy. - Muszę zrobić jej jeszcze jeden zastrzyk, chłopie. - Spróbuj jakoś zająć jej uwagę.

Maggie otworzyła oczy i warknęła na Sarę, gdy igła weeszła w ciało, ale nie robiła żadnych wrogich ruchów. Po chwili znowu zapadła w sen.

I ponownie Mont y wyciągnął się obok niej.

- Nie słuchasz mnie - rzekła Sara. - To dokładnie taka sama historia, jak Kapuletich i Montekich. Jej rodzina nigdy nie uzna cię za swego.

Mont y westchnął, nie odrywając wzroku od wilczycy. Piękna.

Logan spał w fotelu, gdy wróciła z werandy. Potrząsała nim tak długo, aż się obudził.

- Możesz tu zostać. Ale radzę ci jak najprędzej wyzdrowieć. Już ja ci dam popalić.

- Cieszę się, że powiadomiłaś mnie o tym w tak miły sposób.

- Nie jestem miła. Mam kłopoty. - Ruszyła do sypialni. - Muszę jak najszybciej postawić Maggie na nogi i wyprowadzić ją stąd. Będzie to miało pewne nieprzyjemne skutki.

- Jakie skutki?

- Mont y robi do niej słodkie oczy.

Logan zachichotał.

- I co w związku z tym?

- To nie jest śmieszne. Muszę ich rozdzielić, zanim zechcą się parzyć. Wilki parzą się, żeby przedłużyć gatunek, a Mont y ... Nie chcę, żeby mu się stała krzywda.

- Może dla Monty'ego to będzie tylko szybki numer.

- Nonsens. Mont y to najczulszy pies, jakiego znałam.

- Rozumiem, o co chodzi.

Przyjrzała mu się uważnie. Nie śmiał się już ani nie szydził. Rzeczywiście zorientował się, w czym rzecz.

- Większość ludzi uznałaby, że zwariowałam, ale to dla mnie ważne.

- W takim razie ważne jest i dla mnie. Rozumiem, dlaczego nie chcesz, by twój najlepszy

przyjaciel zawarł niewłaściwy związek. - Zamknął oczy. - Czy mogę teraz pójść spać? Skoro masz zamiar dać mi popalić, chcę możliwie jak najlepiej wypocząć.

Zaczekał, aż zamknie drzwi sypialni, po czym sięgnął do kieszeni i zadzwonił do Galena.

- Jestem w domku Sary i jakiś czas tu pomieszkam.

Masz mi coś ciekawego do powiedzenia?

- Jeszcze nie. Nadal tropię Sancheza. Jak ci minął pobyt w Kai Czi?

- Było potwornie.

- Z Sarą wszystko w porządku?

- Na tyle, na ile można się było spodziewać. Ma trochę kłopotów w domu. Mont y zakochał się w wilczycy.

Galen wybuchnął śmiechem. - Ta kula kłaków?

- Uwierz mi, dla Sary to nie jest śmieszne. Zadzwoń do Margaret, niech mi znajdzie wszystko, co napisano na temat meksykańskich szarych wilków na tym obszarze. - Dlaczego sam do niej nie zadzwonisz?

- Była na mnie wściekła za to, że tu przyjechałem, a Tajwan nie poprawił jej humoru. Miałem ciężką noc i nie chcę się w tej chwili z nią użerać.

- Nie musisz nic więcej mówić. Sam nie chciałbym z nią teraz rozmawiać.

- Załatwiłeś ochronę dla domku?

- Sześciu moich najlepszych ludzi.

- Nikogo nie widziałem.

- Oni ciebie widzą. Rozbili obóz w górach i mają oko na całą okolicę. Dam ci numer Franklina.

- Jutro. Nie mam pióra i nie chce mi się ruszyć. Boli mnie jak diabli. Cześć.

Musi się przespać przez parę godzin. Już prawie świtało i nie miał najmniejszych wątpliwości, że Sara niebawem wstanie i zacznie chodzić koło wilczycy. Jak zwykle będzie zwalczała wszelką czułość wobec niego i bez najmniejszych skrępowań wykona swoją groźbę, że "da mu popalić".

Rozdział dziewiąty

Co ty wyprawiasz? - Sara stała w drzwiach sypialni z rękoma założonymi na piersi.

- Karmię Monty'ego. - Logan poklepał psa po głowie. - Był głodny, a nie chciałem cię budzić.

- Tylko ja mogę karmić Monty'ego. Nauczyłam go, by od nikogo innego nie przyjmował jedzenia. - Ale ze zdziwieniem i niepokojem zauważyła, że Mont y jadł. - A niech to!

- Był głodny - powtórzył Logan, napełniając mu miskę wodą. - Pomyślałem, że spróbuję.

- Nie możesz mi przeszkadzać w szkoleniu Monty'ego.

- Rozumiem, że nie chcesz, by karmili go obcy, ale ja nie jestem dla niego groźny.

- Praktycznie nikt nie jest obcy dla Monty'ego. Uwielbia wszystkich. Dlatego nikomu prócz siebie nie pozwalam go karmić.

- Może zna się na ludziach lepiej, niż myślisz. - Postawił przed nim miskę z wodą. - Napij się, chłopie.

- Nie mogę wziąć na siebie takiego ryzyka, więc z łaski swojej zostaw mojego psa w spokoju.

- Jak sobie życzysz. Chciałem tylko pomóc. Mogę jeszcze coś zrobić?

- Możesz usiąść i dać odpocząć nodze. W ciągu ostatnich trzech dni mocno ją sforsowałeś.

- Skoro tak uważasz ... - Pokuśtykał do swego fotela. - Ale jest coraz lepiej. Zauważyłaś, że wczoraj odwaliłem kawał roboty?

- Tak. - Od owej nocy, kiedy przynieśli wilczycę do do-

"mu, Logan był cały czas zajęty. Robił praktycznie wszystko, od zamykania podłóg po pielęgnowanie Maggie. Gdy nie pracowali ręka w rękę, gotował, sprzątał albo rozmawiał przez telefon, starając się użyć swych wpływów, by uchronić wilczycę przed farmerami. - Za dużo tego dobrego - powiedziała z nachmurzoną miną.

- Czyżbyś zmiękła? - Wyciągnął nogę na podnóżku. - To ty kazałaś mi harować do upadłego. Prosiłaś, to usłuchałem. - Wiem.

- Ale miałaś nadzieję, że będę protestował - powiedział z uśmiechem.

- Bzdura. Ja po prostu nie ... - Uśmiechnęła się mimo woli. - Nie miałam z ciebie żadnej uciechy. Co mi po takim usługnym niewolniku? To mi odbiera całą przyjemność.

- Bardzo mi przykro.

Przyjrzała mu się.

- A do tego robiłeś o wiele więcej, niż cię prosiłam. Nie podoba mi się to.

- Po prostu jestem pełen inicjatywy.

- Doskonale też potrafisz manipulować ludźmi. Wiedziałeś, że widok rannego człowieka, który tak się nadwiera, sprawi mi przykrość.

Spojrzał na nią z miną niewiniątka. - Naprawdę mnie o to posądzasz?

- Daj już sobie z tym spokój.

- Ciekawe, że tak długo ci zeszło, zanim mnie o to nagabnęłaś.

- Nie mam czulego serduszka. - Wykrzywiła się. - I myślałam, że sam przestajesz. Wiedziałam, że cię boli.

- Po prostu robiłem, co do mnie należy, wielmożna pani.

- I trochę się na mnie odgrywałeś.

- Przyznaję, że nie potrafię się tak całkowicie podporządkować.

- W ogóle nie potrafisz się podporządkować.

- Wolę układ partnerski. Przecież już dowiedliśmy, że potrafimy całkiem nieźle ze sobą współpracować.

Nie odzywała się przez chwilę. - Owszem.

- A może zawrzemy rozejm? Nie musisz mnie zmuszać, żebym się czymś zajął. Zwariuję, jeśli nie będę miał czegoś do roboty. Nawet niańczenie wilczycy jest lepsze niż takie całkowite nieróbstwo. Skoro już jesteśmy razem, niech to przebiega możliwie bezboleśnie.

- Nic mnie nie boli. Mogłabym ... - Urwała, gdy zadzwonił telefon. - I nie jesteśmy razem - rzekła, przechodząc przez pokój i podnosząc słuchawkę. - Halo.

- Nie zadzwoniłaś do mnie - rzekł Todd Madden. - Jak poszła praca dla Logana?

- Co cię to obchodzi, Madden? Zrobiłam, co miałam do zrobienia. Tylko to się liczy.

- Doskonale. W takim razie możesz pojechać na weekend do Waszyngtonu. Zorganizowałem konferencję prasową na temat trzęsienia ziemi w Baracie. A co z tą lawiną błotną na Tajwanie? To będzie wspaniały materiał.

- Idź do diabła.

- Nie bądź taka niemiła, Saro - rzekł Madden jedwabistym głosem. - Wiesz, że zachowując się wobec mnie w ten sposób, sama sobie szkodzisz. Ja mam zarezerwować bilety czy ty to zrobisz?

- Nie jadę do Waszyngtonu. Jestem zajęta.

- Wiesz, że nie chcę cię do niczego zmuszać, ale nie mogę tolerować ...

- Odpieprz się. - Odłożyła słuchawkę.

- Szkoda, że nie dałaś mi z nim porozmawiać - rzekł Logan.

- Chciałam powiedzieć mu osobiście, żeby się odczepił.

- Inaczej to ujęłaś - powiedział lekko.

Telefon znowu zadzwonił. Nie odebrała go.

- To znowu on. Nie może uwierzyć, że nie tańczę, jak mi zagra.

- Nie odbierzesz?

- Nie. Palę za sobą mosty. Jeśli nie dotrzymasz obietnicy, zginę w płomieniach.

- Ale wierzysz, że jej dotrzymam, bo inaczej nie paliłabyś tego mostu.

Milczała przez chwilę. - Owszem, wierzę ci.

- Ile mam czasu?

- Parę dni, może tydzień. Madden z początku będzie przekonany, że w końcu zmienię zdanie, później się zezłości i postanowi mnie ukarać.

- I co ci wtedy zrobi?

- Zabierze mi Monty'ego.

- Co takiego?

- Mont y nie jest moją własnością. Należy do Grupy Kryzysowej. Robię, co mi każe Madden, bo inaczej użyje swoich wpływów, żeby zabrali mi Monty'ego i oddali kogoś innemu.

Logan zaklął pod nosem.

- Nie możesz go kupić od Grupy Kryzysowej?

- Myślisz, że nie próbowałam? Nie chcę go sprzedać.

Madden woli trzymać mnie tym w szachu.

- Na pewno może ich zmusić, żeby zabrali Monty'ego?

- Zrobił to już wcześniej. Przed dwoma laty miałam dość i powiedziałam mu, żeby skoczył do jeziora. Ludzie z Grupy Kryzysowej zabrali Monty'ego z dzipa, kiedy robiłam zakupy w supermarkecie. Zostawili bardzo rzeczową wiadomość. Odsyłają go europejskiemu trenerowi, a ja zostanę powiadomiona, kiedy przydzielą mi następnego psa.

- Trenerowi w Europie?

- Korpus K9 ćwiczy psy dla innych sił porządkowych za granicą. - Ciągnęła gorzko. - Madden sprytnie to załatwił, nie uważasz? Nie powiedział mi nawet, do jakiego kraju. Błagałam wszystkich, od urzędników pocztowych po wyższych oficerów Grupy Kryzysowej, by mi powiedzieli, dokąd wysyłają Monty'ego. Przez ponad miesiąc wydeptywałam wszystkie ścieżki, zanim nie wydobyłam z nich, że Mont y wylądował w wydziale policji w Mediolanie. Obażwiałam się, że będzie już za późno.

- Za późno?

- Nie chodzi tylko o to, że nikomu innemu nie dałby się karmić czy poić. Mont y mnie kocha. Jesteśmy bardzo silnie ze sobą związani. Oplakiwałby mnie. Pies tak czuły jak Mont y może umrzeć ze smutku. - Zamrugnęła, by ulżyć piekącym oczom. - I rzeczywiście oplakiwał mnie. Kiedy znalazłam go w Mediolanie był chory, strasznie chory.

- I co zrobiłaś?

- A jak myślisz? Zadzwoiłam do Maddena i powiedziałam mu, że zrobię wszystko, co zechce, byleby oddał mi mojego psa. - Spojrzała Loganowi prosto w oczy. - Nie pozwolę, by to się przydarzyło psu jeszcze raz. Jeżeli nie znajdziesz sposobu, by zrzucić mi Maddena z karku, Mont y i ja któregoś dnia po prostu wyjedziemy i znikniemy.

- Znajdę sposób. - Usta Logana zacisnęły się ponuro. - Możesz na to liczyć.

- I liczę. Niech cię ręka boska broni, żebyś miał mnie zawieść.

- Nie zawiodę cię. - Wyciągnął telefon. - Teraz idź dooglądać wilczycy, a ja zajmę się Maddenem. Nakręcił numer, po czym uniósł wzrok.

- Ponieważ połączyliśmy siły, by pognębić Maddena, czy nie mogłabyś darować mi wszystkich grzechów i zażreć ze mną rozejmu?

- Może. - Uśmiechnęła się. - Jeżeli przyrzekniesz, że nie będziesz więcej karmił mojego psa.

- Chyba żeby przymierał głodem. Margaret, co tam słychać u Maddena? - odezwał się do telefonu. Sara nadal uśmiechała się, gdy wraz z Montym szli na werandę. Natychmiastowe, konkretne działania Logana, by wybawić ją z kłopotu, dodawały jej otuchy.

Mont y odwrócił się i popatrzył na Logana. Miły.

- Przez żołądek do serca. Powinieneś jeść dopiero wtedy, kiedy ci podam. Doskonale o tym wiesz. Ufność.

- Mimo wszystko, nie powinieneś łamać zasad. - Ale ona także łamała zasady, zawierając Loganowi. Jak udało mu się przełamać jej rezerwę?

Miły.

- Urok osobisty? - Nie, do diabła, Bóg świadkiem, że nie próbował jej czarować w czasie ostatnich

dwu dni. Po prostu był bezpośredni i ciężko pracował.

Więc właściwie dlaczego się martwi? Obiecała mu przecież tylko zawieszenie broni przez następny tydzień.

Piękna. Mont y truchtał do Maggie, która spoglądała nań złowieszczo. Klapnął obok niej. Miłość. Warknęła, wykrzywiając szyderczo wargi.

- Nie żywi do ciebie romantycznych uczuć, chłopie. - Sara potrząsnęła głową. - Ta rana doprowadza ją do szału. - Zbliżyła się do Maggie. - Spójrzmy, czy da się jakoś ci ulżyć. Tylko żadnego chapania zębami. Może my też zawrzemy rozejm.

Pies baraszkował i bawił się, machając radośnie złośliwym ogonem, gdy zataczał kręgi wokół tej Patrick.

Duggan wymierzył karabin prosto w łeb zwierzęcia. Palcem powoli głaskał spust.

- Co ty robisz?

Gdy uniósł wzrok, ujrzał, że Rudzak idzie ku niemu zbroczem.

- Ta Patrick i pies są przed domkiem. Zrobię jej małą niespodziankę. W Santa Camaro nie udało mi się rozwalić kundla. Teraz odstrzelę mu ten jego pieprzony łeb.

Rudzak spojrzał na domek.

- Nie po to tu jesteśmy. Ledwo udało nam się uniknąć ludzi Galena, patrolujących okolicę. Aż się od nich tu roi. Można by pomyśleć, że strzegą Fortu Knox. Niebawem mogą znowu się tu pojawić. Widziałeś Logana?

- Stoi w drzwiach.

- A tak - mruknął Rudzak. - Wygląda, jakby trzymał straż.

- Mówiłeś, żeby na razie nie tykać ani jego, ani kobiety.

Ale dlaczego nie miałbym zabić psa?

- Myślisz, że ci się to uda? Nie dotarliśmy zbyt blisko.

Są poza zasięgiem większości snajperów. - Uda mi się.

Golden retriever unosił głowę w powietrzu i radośnie poszczekiwał.

- Zawsze nienawidziłem szczekających psów. - Duggan ponownie wycelował. - Założysz się, że załatwię go jedną kulą?

- Nie zakładam się. - Na twarzy Rudzaka pojawił się uśmiech. - Wiem, że jesteś wyśmienitym strzelcem.

Tak, Rudzak zawsze mnie doceniał - pomyślał Duggan.

Odkąd przed rokiem dołączył do niego, zawsze spotykał się z należnym szacunkiem.

- Więc popatrz, jak rozwalam tego kundla.

- Z przyjemnością to obejrzę. - Rudzak skrzyżował ręce

na piersi. - W istocie, to może być genialne posunięcie z twojej strony. Sądzę, że Logan musi czuć się bardzo bezpiecznie w tym domku, skoro ludzie Galena strzegą go z tej odległej grani. Czyż może nim coś bardziej wstrząsnąć niż taka drobna demonstracja siły? Absolutnie, zastrzel psa.

Duggan już widział, co będzie działo się potem. Pies pada w kałuży krwi. Sara Patrick wpatruje się weń z krzykiem, po czym oboje z Loganem biegną do zwierzaka.

- Zaczekaj chwilę.

Biegąc za wzrokiem Rudzaka, spojrzał na kobietę. Obróciła się na pięcie i wpatrzyła w góry.

- Ciekawe - odezwał się Rudzak. - Myślisz, że coś wyczuwa? Woła do siebie psa.

- Niech to jasna cholera. - Zniechęcony Duggan uświadomił sobie, że kobieta i pies idą pospiesznie w stronę domku. Musi działać szybko. - Spokojna głowa. Jeszcze zdążę zastrzelić tę gwiazdę ratownictwa.

- Nie.

Spojrzał na Rudzaka z niezadowoleniem.

- Dowiedziałem się tego, co chciałem, a ludzie Galena nie są głupi. Ustalą, skąd padł strzał, i dopadną nas w mgnieniu oka. Warto byłoby zaryzykować, gdyby coś nam to dawało, ale ot tak? - Wzruszył ramionami. - A poza tym zabicie psa to marne zwińczenie Kai Czi.

- Ale co to komu szkodzi ...

- Nie, Duggan - powiedział łagodnie Rudzak, odwracając się. - Uwierz mi. Musimy pomyśleć o czymś bardziej stosownym.

- Co się stało? - zapytał Logan, gdy Sara odgoniła Monty'ego od frontowych drzwi. - Co zobaczyłaś? - Nic.

Wbił wzrok w jej twarz.

- Nic - powtórzyła. - Po prostu poczułam, że coś jest nie w porządku. Wiem, że to idiotycznie brzmi. Ale nauczyłam się słuchać swoich przeczuć.

- To wcale nie brzmi idiotycznie. Przez te lata musiałaś wyrobić w sobie nieomylne instynkty. - Wyjął telefon. - Zadzwońię do ochrony i poproszę Franklina, by sprawdził, czy w okolicy nie ma śladów Rudzaka.

- Bardziej nam chyba zagrażają farmerzy, którzy pewnie zwiedzieli się, że wzięłam pod opiekę Maggie. Może postanowili dać mi nauczkę. - Machnęła ręką lekceważąco. - Jak powiedziałam, pewnie nic takiego się nie dzieje, ale od tej pory będę wyprowadzała Monty'ego po zmroku.

- Słusznie. Franklin, co się dzieje tam w górze? - odezwał się do telefonu

- Chodź, Monty. - Sara ruszyła w stronę kuchni. - Dam ci trochę świeżej wody.

Logan rozłączył się, gdy kończyła napełniać miskę Monty'ego.

- Nikogo nie widziano, ale sprawdzają.

- Mówiłam ci, nic nie dostrzegłam. - Poszła na werandę od tyłu, do Maggie. - Ale jeśli to był któryś z tych farmerów, niech wie, że nie jest tu sam.

- Dajesz mi wygrać? - Sara odchyliła się w fotelu i spojrzała podejrzliwie na Logana. - Jestem dobra, ale ty nie możesz być aż tak zły.

- Słowo daję, że jestem. Nie przepadam za pokerem. Nie zależy mi na uzyskaniu natychmiastowej satysfakcji. W szachy gram lepiej.

Przyjrzała mu się, po czym z wolna skinęła głową.

- Rozumiem. Strategia i gry wojenne. Nigdy nie miałam przekonania do szachów. Jestem za natychmiastową satysfakcją za każdym razem.

- Kto cię nauczył grać w pokera? Ktoś z zespołu ratowniczego?

- Nie, mój dziadek. Kiedy byłam mała, siadaliśmy przed kominkiem i graliśmy całymi godzinami. - A twoja matka?

- Mieszkała w Chicago. Nie podobało jej się tu.

- Ale tobie tak.

- Uwielbiałam tę okolicę. - Skrzywiła się. - Jak na skrzydłach wyrывałam się z miasta. Było brudne, zatłoczone i... - Podniosła się. - Chce mi się pić. Dać ci trochę lemoniady? - Poproszę

- Dziś wieczorem jest cieplej niż zwykle. - Podeszła do lodówki. - Może powinniśmy zgasić ogień.

Zbliżył się do kominka.

- Twoja matka lubiła miasto?

- Lubiła światła, kina, bary i ludzi. Mnóstwo ludzi. Szybko się nudziła. - Podała mu oszronioną szklankę. - Miała czterech mężów.

- Musiało być ci ciężko.

- Przeżyłam. - U siadła i wyciągnęła nogi. - W gruncie rzeczy, miałam szczęście. Gdy wychodziła za mąż, na jakiś czas wysyłała mnie do dziadka. Lubiłam to. Za trzecim razem pozwoliła mi zostać przez dwa lata.

- Dlaczego nie zrzekła się na jego rzecz praw rodzicielskich?

- Czułaby się samotna. Musiała mieć kogoś obok siebie.

- To miło z jej strony.

Spojrzała na niego znad brzegu szklanki.

- Nie skarzę się. Tak to się potoczyło. Nikt mnie nie napałstował. Pewni ludzie mają po prostu

większe potrzeby niż inni. - Ale ty nie.

- A kto by się troszczył o takich ludzi, gdybyśmy wszyscy byli do siebie podobni? To wszystko się wyrównuje. - Czy dziadek ciebie potrzebował?

Nie odpowiedziała od razu.

- Myślę, że tak. Trudno powiedzieć. Wiem, że mnie kościła. Powiedział mi to na końcu.

- A wcześniej nie?

- Był małomówny. Zaharowywał się, żeby zarobić na tych parę akrów. Gdy wprowadził się do tego domku, po-przysiągł, że opuści go dopiero w trumnie.

- Z czego się utrzymywał?

- Tresował konie i psy. Miał fantazyjne podejście do zwierząt.

Logan sęczył lemoniadę. - Podobnie jak ty.

- Ze zwierzętami łatwo sobie poradzić. Niczego nie żądają. Wystarczy je kochać.

- Niektórzy ludzie też są tacy.

- Tak sądzisz? Nie uważam, żeby to była prawda.

- Dlaczego? Bo miałaś matkę egoistkę, która najwyraźniej nie umiała zająć się własnym dzieckiem?

Zyjesz już dość długo, by wiedzieć, że na świecie jest mnóstwo wspólniały ludzi.

- Nie mam żalu. Nie twoja sprawa, Logan.

- Wiem. To takie moje spostrzeżenie.

- Wsadź sobie te swoje spostrzeżenia. Ja nie wypytuję o twoje życie, aby je potem osądzać.

- Ależ nie żałuj sobie. Zamiana ról to uczciwe posumowanie.

- W ogóle mnie nie interesuje ... - Spojrzała nań wyzywająco. - Co robiliście w ośrodku badawczym w Santo Camaro?

- To nie jest punkt z mojego życiorysu.

- Więc się nie dowiem?

- Tego nie powiedziałem. - Wpatrzył się w swoją szklan-

kę. - Prowadzimy tam eksperymenty medyczne. Docho-dzimy do bardzo interesujących przełomów.

- W lecznictwie?

- Od pewnego czasu lokuję tak fundusze.

- Przełomu w jakiej dziedzinie?

- Wytwarzania sztucznej krwi.

Oczy jej się rozszerzyły. - Co takiego?

- Czynnika zastępującego krew. Nie słyszałaś o tym?

Prasa donosiła o naszych badaniach.

- Coś tam słyszałam. - Oczy jej zwęziły. - To z powodu Chen Li, prawda? Dlatego że była chora na białaczkę.

- To się zaczęło od Chen Li. Dobijało mnie, że nie mogłem jej pomóc. Ale nie jestem skrajnym samolubem i wiem, że nasz substytut może mieć też zastosowanie przy leczeniu innych chorób.

- Ale dlaczego ukryliście ośrodek w dżungli? Po co ta cała tajemnica?

- Szpiegostwo przemysłowe. Jesteśmy już tak blisko.

Przedsiębiorstwo, które pierwsze wypuści gotowy produkt, będzie decydować o dalszym rozwoju badań i opanuje rynek.

- Chodzi o pieniądze?

- O panowanie na rynku i wytyczanie toku dalszych ba-

dań. Nie po to poświęciłem tyle lat na rozwiązywanie problemów, żeby teraz miał o tym decydować ktoś inny.

- I nad tym właśnie pracuje Bassett?

- Tak, usiłuje odtworzyć badania, które w zeszłym mie-

siącu przeprowadzał zespół w Santo Camaro. Przysyłali sprawozdania co miesiąc, ale ostatniego nie otrzymaliśmy, a tuż przed samym atakiem na Santo Camaro bardzo dużo osiągnęli.

- Rudzak nie ma nic wspólnego ze szpiegostwem przemysłowym.

- Rudzakowi chodzi tylko o to, żeby uderzyć mnie w najczulsze miejsce.
- Skąd zdobył informacje o ośrodku i o tym, co się w nim robi? Czy znał twoją żonę i wiedział, jak umarła?
- O tak, wiedział o 'Chen Li. - Odłożył szklanę na stojący obok stolik. - Widzisz, jakie mam do ciebie zaufanie? Wyznałem ci wszystkie moje sekrety.
Nie wszystkie.
- Musiałeś bardzo kochać Chen Li?
- Tak, od pierwszego wejrzenia zupełnie zwariowałem na jej punkcie. W połowie była uosobieniem Starego Świata, a w połowie najnowszej techniki. Wiedziała wszystko o komputerach, a jednocześnie emanowała spokojem i gracją .. Pobraliśmy się miesiąc po naszym pierwszym spotkaniu. - Urwał. - Zmarła trzy lata później.
- I nadal cierpisz. Dlatego bezpieczniej jest kochać psychododała szorstko.
- To wydarzyło się dawno temu. Byłem wtedy innym człowiekiem. A ty chyba nie jesteś całkowicie oddana psiemu gatunkowi, bo inaczej nie wykonywałabyś tej roboty.
- Myśl sobie, co chcesz. Od pierwszej akcji, w której brałam udział, wiedziałam, że do takiego działania jestem stworzona. Mała dziewczynka odłączyła się od rodziny w górach koło Tucson. - Spojrzała w głąb filizanki. - Miała tylko pięć lat, a panowało przeraźliwe zimno. Nie byłam pewna, czy odnajdziemy ją żywą, ale nie zaprzestaliśmy poszukiwań.
Trzy dni później Monty wpadł na jej trop. Była żywa. Gdy podniosłam ją i owinęłam w koc, wyszeptala, że czekała, aż ktoś po nią przyjdzie. Nie wątpiła ani na chwilę, że jej szukają. A ja wiedziałam, że czekała na mnie. To ją uratowałam. Tego uczucia nie można porównać z niczym na świecie.
- Czasami nie możesz ich uratować.
- Nie, ale wtedy mogę zabrać ich do domu.
- Mówisz jak Eve.
Potrzęsła głową.
- Powtarzam, że jestem zupełnie niepodobna do Eve.
Przestań grzebać się w mojej psychice. Słuchaj, jestem taka, na jaką wyglądam. Nie miałam tragicznej przeszłości jak Eve i nie czuję do nikogo urazy. Biorę ludzi takimi, jacy są, i staram się możliwie bezboleśnie ułożyć sobie z nimi stosunki. Rozumiesz to?
- Rozumiem, ale ci nie wierzę. Jeśli dowiedziałem się czegokolwiek o tobie w ciągu ostatnich paru tygodni, to tego, że masz bardziej skomplikowaną naturę, niż okazujesz światu.
- Bzdura - prychnęła z niesmakiem.
- Jesteś inteligentna, pracowita i nie dasz sobie w kaszę dmuchać. A choć się najeżyłaś, nie spotkałem jeszcze kobiety tak w głębi serca czulej i wspaniałomyślniej.
Odwróciła od niego wzrok.
- Tylko się nie rozplacz.
- Nie podoba ci się taki twój obraz? Dlaczego?
- Dlatego że po prostu robię to, co wymaga zrobienia.
Każdy ma jakiś cel, jakąś pracę do wykonania. To jest moja praca.
- Nie chcesz przyznać, że w tej pracy dajesz z siebie więcej niż przeciętny człowiek?
- Nie więcej niż strażak, policjant czy pracownik jakichkolwiek służb.
- I jesteś zażenowana, gdy daję ci do zrozumienia, że dbasz o ludzi z równą troskliwością, co o swoich czworonożnych przyjaciół?
- Nie jestem zażenowana. - Podniosła się. - Sprawdzę, co słychać u Maggie.
- Uciekasz?
- Nie. - Rzuciła mu zdecydowane spojrzenie przez ramię. - Nie zdołałbyś mnie zmusić do ucieczki, Logan. Zobaczą, jak się ma Maggie, a potem wrócę i znowu pobiję cię na głowę w pokera.
- Zgadzasz się. A wiesz dlaczego?
- Jesteś masochistą?
- Nie. - Wziął szklanę i uniósł ją, jakby wznosząc toast. - Jestem przyjacielem.
Wpatrzyła się weń z osłupieniem.

- Przestań już ze mną walczyć. Musiało do tego dojść, skoro spędziliśmy razem tyle czasu, a teraz zaczęliśmy się sobie zwierzać. To przypieczętowało naszą przyjaźń. Jestem bardzo wrażliwy. Nie denerwuj się. Nie będę od ciebie niczego wymagał. Po prostu wyobraź sobie, że jestem psem albo wilkiem.

Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Wszystko jest w porządku, Saro. Naprawdę.

To wcale nie było w porządku. Czuła się niezręcznie, nieswojo i zrobiło jej się dziwnie ciepło na sercu.

- Robisz ze mnie balona?

Zaczął tasować karty.

- W życiu.

Trzy dni później Monty wpadł na jej trop. Była żywa. Gdy podniosłam ją i owinęłam w koc, wyszeptła, że czekała, aż ktoś po nią przyjdzie. Nie wątpiła ani na chwilę, że jej szukała. A ja wiedziałam, że czekała na mnie. To ją uratowałam. Tego uczucia nie można porównać z niczym na świecie.

- Czasami nie możesz ich uratować.

- Nie, ale wtedy mogę zabrać ich do domu.

- Mówisz jak Eve.

Potrząsnęła głową.

- Powtarzam, że jestem zupełnie niepodobna do Eve.

Przestań grzebać się w mojej psychice. Słuchaj, jestem taka, na jaką wyglądam. Nie miałam tragicznej przeszłości jak Eve i nie czuję do nikogo urazy. Biorę ludzi takimi, jakimi są, i staram się możliwie bezboleśnie ułożyć sobie z nimi stosunki. Rozumiesz to?

- Rozumiem, ale ci nie wierzę. Jeśli dowiedziałem się czegokolwiek o tobie w ciągu ostatnich paru tygodni, to tego, że masz bardziej skomplikowaną naturę, niż okazujesz światu.

- Bzdura - prychnęła z niesmakiem.

- Jesteś inteligentna, pracowita i nie dasz sobie w kaszę dmuchać. A choć się najeżyłaś, nie spotkałem jeszcze kobiety tak w głębi serca czulej i wspaniałomyślniej.

Odwróciła od niego wzrok. - Tylko się nie rozpłacz.

- Nie podoba ci się taki twój obraz? Dlaczego?

- Dlatego że po prostu robię to, co wymaga zrobienia.

Każdy ma jakiś cel, jakąś pracę do wykonania. To jest moja praca.

- Nie chcesz przyznać, że w tej pracy dajesz z siebie więcej niż przeciętny człowiek?

- Nie więcej niż strażak, policjant czy pracownik jakichkolwiek służb.

- I jesteś zażenowana, gdy daję ci do zrozumienia, że dbasz o ludzi z równą troskliwością, co o swoich czworonożnych przyjaciół?

- Nie jestem zażenowana. - Podniosła się. - Sprawdzę, co słychać u Maggie.

- Uciekasz?

- Nie. - Rzuciła mu zdecydowane spojrzenie przez ramię. - Nie zdołałbyś mnie zmusić do ucieczki, Logan. Zobaczę, jak się ma Maggie, a potem wrócę i znowu pobiję cię na głowę w pokera.

- Zgadza się. A wiesz dlaczego?

- Jesteś masochistą?

- Nie. - Wziął szklankę i uniósł ją, jakby wznosząc toast. - Jestem przyjacielem.

Wpatrzyła się weń z osłupieniem.

- Przestań już ze mną walczyć. Musiało do tego dojść, skoro spędziliśmy razem tyle czasu, a teraz zaczęliśmy się sobie zwierzać. To przypieczętowało naszą przyjaźń. Jestem bardzo wrażliwy. Nie denerwuj się. Nie będę od ciebie niczego wymagał. Po prostu wyobraź sobie, że jestem psem albo wilkiem.

Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Wszystko jest w porządku, Saro. Naprawdę.
To wcale nie było w porządku. Czuję się niezręcznie, nie-
swojo i zrobiło jej się dziwnie ciepło na sercu. - Robisz ze mnie balona?
Zaczął tasować karty.
- W życiu.

Dwa dni później Logan otrzymał telefon od jednego ze swoich ochroniarzy, którzy obozowali u
podnóża wzgórz. - Dobrze. Nie, tylko nie spuszczaaj z niego oka. Chyba wiem, kto to jest. -
Odwrócił się do Sary. - Mamy gościa. Będzie tu za parę minut.
Zesztywniała.

- Rudzak? Ruszył do drzwi.
- To chyba twój przyjaciel Madden.
- Co takiego? - Poszła za Loganem. - Jaki diabeł go tu przyniósł?
- Jeżeli Margaret zrobiła wszystko jak należy, powinien być chory z wściekłości. - Przysłonił oczy,
by przyjrzeć się nadjeżdżającemu buickowi. - Co prawda, przypuszczałem, że zadzwoni, a nie zjawi
się tu osobiście.
- Dlaczego miałby być wściekły?
- Nie mogłem znaleźć żadnego haka na tego sukinsyna,
więc uderzyłem tak, żeby zabolalo. Po kieszeni. Zbliżają się wybory, toteż parę dni temu
zadzwoiłem do dwóch osobników, którzy mają największy wkład finansowy w jego kampanię, i
namówiłem ich, żeby cofnęli swoje wsparcie. Potem powiedziałem Margaret, żeby zatelefonowała
do Maddena i uświadomiła mu, że to dopiero początek, jeśli nie przekona Grupy Kryzysowej, by
sprzedali ci Monty'ego.
- A niech mnie. - Opadła jej szczeka. Skierowała wzrok na buicka. - Nic dziwnego, że tu przyjechał.
- Jak już mówiłem, myślałem, że najpierw zadzwoni.
- To nie w stylu Maddena. Jeśli coś idzie nie po jego my-
śli, będzie chciał uderzyć i popatrzeć, jak cierpię. - Wejdz do środka. Ja z nim pogadam.
- Nie próbuj mnie osłaniać. - Potrząsnęła głową. - Bę-
dzie zachowywał się wstrętne, ale dam sobie z nim radę. - Zebrała się w sobie, gdy samochód z
piskiem zahamował przed frontowymi drzwiami. Miała nadzieję, że tak to się rzeczywiście
odbędzie. Madden był mistrzem w zadawaniu bólu, o czym przekonała się przed laty. Ale ona nie
była już tą młodziutką, niedoświadczoną dziewczyną. Wyszła przed dom, gdy Madden wysiadł. -
Mówiłam ci, żebyś się tu więcej nie pokazywał, Madden.
- Ty dziwko. - Twarz miał zaczerwienioną z gniewu. Gałanteria, z którą zawsze odnosił się do
Sary, zniknęła. - Co ty wyrabiasz?
- Trochę więcej szacunku - rzekł cicho Logan. - Chyba zdajesz sobie sprawę, co robimy.
Madden przeniósł na niego wzrok.
- A ty skąd się tu wzięłeś? Wyświadczyłem ci przysługę, do cholery. Miałeś mi pomóc.
- Okoliczności się zmieniły. Jako polityk wiesz, jak pułste bywają obietnice. Zadzwoiłeś do
Grupy Kryzysowej? - Nie będziesz mi dyktował, co mam robić.
- Jeżeli chcesz utrzymać swoje miejsce w Senacie, zadzwonisz. Dopiero zaczęliśmy grę. Odetnę ci
dopływ pieńędzy i jeśli choć raz tylko nieprawidłowo przeszedłeś przez ulicę, dowiem się o tym i
wszystkie gazety opiszą ten fakt na pierwszych stronach.
- Ty sukinsynu.
- Zależy mi na tym, Madden. Załatw to, a może pozwolę ci przeżyć i znowu kandydować. - Może?
- Jeszcze nie 'wiem, czy pogodzę się z myślą, że zasią-
dziesz w stolicy, tłusty i zadowolony, ale na pewno poweźmę decyzję, jeśli mi odmówisz.
- Odmówię ci, ty dupku.
- Nie, nie odmówisz. Jesteś ambitny, a ja stanowię praw-
dopodobnie największą przeszkodę, jaka kiedykolwiek stała ci na drodze. Zastanów się nad
tym. Po co ryzykować wszystko w zamian za odrobinę dobrej woli i rozgłosu? Znajdziesz je gdzie
indziej. Dość już wykorzystales ją i Monty'ego.

- Doprawdy? - Sara widziała, jak Madden ze wszystkich sił stara się opanować gniew, gdy zwrócił się do niej. - Dość już cię wykorzystałem, Saro?! - Z ochryplego nagle głosu biła złośliwość. - Nie milcz jak trusia i nie chowaj się za niemyimi plecami, to nie w twoim stylu.

- Zjeżdżaj stąd, Madden.

- Teraz ty rozkazujesz mnie? - Przeniósł wzrok na twarz Logana i z powrotem spojrzał na Sarę. - Wydaje ci się, że skoro śpisz z grubą rybą, możesz się szarogęścić?

- Nie śpię z Loganem.

- Tkwi w tej nędznej szopie, bo mu się tu podoba?! Nie jestem idiotą. Widzę, jak na ciebie patrzy. Ten świat kręci się dzięki pieniądзом i seksowi. Nie możesz mu dać pieńędzy, ale z seksem nie ma problemu?

- Zamknij się, Madden - rzekł Logan.

- Znalazł się obrońca uciśnionych. - Rzucił mu szydercze spojrzenie. - Nie mam do ciebie pretensji, że cię namówiła, żebyś ...

- Zamknij się.

- Pieprzy się jak dzika samka, co? To jedyna kobieta, która w łóżku nigdy mi nie odmówiła. Bez względu na to, o co ją prosiłem, zawsze ...

Pięść Sary wylądowała na nosie Maddena. Trysnęła krew, a mężczyzna zatoczył się do tyłu i oparł o samochód. - Zjeżdżaj stąd, Madden - rzekła Sara. - Ale już.

- Dziwka. - Wyciągnął chusteczkę i przykrył nos. - Naprawdę jesteś dzika.

- Możliwe. Teraz kusi mnie, żeby skoczyć ci do gardła.

- Wynocha stąd. - Logan miał ponury wyraz twarzy. - I zadzwoń, jak tylko znajdziesz się na autostradzie. W ciągu pół godziny chcę mieć telefon z Grupy Kryzysowej z propozycją sprzedaży Monty'ego Sarze.

Madden zaczął kłąć.

- Nie zamierzam tego powtarzać. - Logan postąpił krok bliżej. - Słuchaj. Już dawniej mnie denerwowałeś, teraz mam ochotę skrócić ci kark. Rób, co mówię.

- Nie boję się ciebie - powiedział Madden, lecz zaczął się wycofywać. Wsiadając do samochodu, rzucił Sarze ostatnie, pełne wrogości spojrzenie. - Myślisz, że jesteś taka sprytna. Ucapiałaś go na razie, ale znudzi się tobą, a ja ciągle będę cię miał na oku.

- Nie wątpię - odparła. - Karaluchy mają ogromną siłę przetrwania.

- Chyba że się na nie nastąpi - rzekł Logan.

Madden otworzył usta, po czym zamknął je bez słowa.

Po chwili siedział już w samochodzie. Pomknął drogą jak błyskawica.

- O Boże, ależ miałam frajdę - rzekła Sara. Nawet więcej, niż frajdę, poczuła, jakby z jej barków zdjęto ogromny ciężar. - Myślisz, że zadzwoni?

- Mam cichą nadzieję, że nie. - Logan obrócił się na pięcie i ruszył w stronę domku.

Spojrzała na niego ze zdumieniem, zanim ruszyła jego śladem.

- Dlaczego?

- Bo chcę ukrzyżować tego skurwysyna. - W jego głosie dźwięczała wściekłość. - Ale ty jesteś zadowolona, co, bo przyłożyłaś temu bydlakowi w nos.

- Owszem, jestem. A ty czemu tak się złościś? Madden napastował mnie, więc odpowiednio zareagowałam.

- Nie przyszło ci do głowy, że mógłbym cię wyręczyć?

- Nie.

- Nie spodziewałam się tego po tobie.

- Dlaczego miałbyś mnie wyręczać? To moja sprawa.

- Akurat.

- Przestań krążyć po pokoju i usiądź. Dzisiaj już za długo byłeś na nogach.

- Usiądę, kiedy będzie mi się podobało.

- Jak sobie zyczysz. - Uniosła ręce w górę. - Nie obchodzi mnie, czy noga będzie cię bolała przez

całą noc. Dobrze ci tak. - Nie, wcale nie, właśnie wyświadczył jej wielką przysługę. Usiłowała zachować cierpliwość. - Przepraszam, że wplątałam cię w tę awanturę z Maddenem. Jestem ci wdzięczna ...

- Nic mi nie jesteś winna. Zawarliśmy umowę i wywiązałem się z niej. Myślisz, że o to w tym wszystkim chodzi? - Wiem tylko, że zachowujesz się nierozsądnie. To nie moja wina, że Madden jest takim sukinsynem.

- To twoja wina, że nie pozwoliłaś, żebym ci pomógł.

Nie jesteś sama na tym świecie. Tak strasznie byś to przeżyła, gdybym cię obronił? Chociaż raz? Zamrugwała.

- Nie potrzebuję obrońcy.

- Nie, w ogóle nikogo nie potrzebujesz. Nikt ci nie sprawił przykrości. Nigdy nie dostałaś od życia po głowie. Głupie gadanie.

Zesztywniała.

- Zamknij się, Logan. Przykro mi, że twoja duma została zraniona, ale nie wyładuj się na mnie.

- Powinnaś mi pozwolić, żebym ci pomógł.

- Pomogłeś mi.

- Dlatego krwawią ci kłykcie?

Ze zdumieniem spojrzała na swoją dłoń. - To nic takiego. Zwykłe zadrapanie. Stał przed nią.

- I jesteś taka twarda, że to cię ani trochę nie wytrąciło z równowagi.

- Nie, do cholery, przez cały czas zastanawiałam się, dlaczego tak się złościysz. Puść mnie, Logan.

Jeszcze mocniej chwycił ją za ramiona.

- Dlaczego? Mnie też przyłożysz?

- Może. Jeśli sobie na to zasłużysz. - Uniosła ku niemu wzrok. - Co ci jest, do diabła?

- Nic mi nie jest. Nie, to bujda. - Potrząsnął nią. - Nie jesteś sama na świecie, do cholery. Nie musisz wszystkich swoich spraw załatwiać osobiście.

- Puść mnie.

Rozwarł palce i znowu zacisnął na jej ramionach.

- O co ci chodzi? Boisz się, że rzucę się na ciebie jak twój przyjaciel Madden?

- Na to za dobrze cię znam.

- Doprawdy?

Zabrakło jej tchu. Wpatrywał się w nią z takim natężeniem, że poczuła ... Pospiesznie odwróciła od niego wzrok. - Nie jesteś Maddenem. I powiedziałeś, że uważasz się za mojego przyjaciela. To było kłamstwo?

- Nie. - Znieruchomiał. Puścił ją. - To nie było kłamstwo. - Podeszedł z powrotem do otwartych drzwi i wpatrzył się w samochód Maddena, ledwo widoczny w oddali. - I nie jestem Maddenem. Dlaczego nie powiedziałaś mi, że byliście kochankami?

- Nie musiałeś tego wiedzieć, żeby mi pomóc. To nie było ważne.

- Nie? Mnie się to wydaje cholernie ważne.

- A nie powinno. To było dawno temu i nie ma wpływu na obecną sytuację. Teraz chce mnie wykorzystać tylko do pomocy w zrobieniu kariery.

- A ty?

- Spójrz na to realnie.

- Co ty na to? - powtórzył.

- Na miłość boską, byłam wtedy bardzo młoda. Poznałam go tuż po wstąpieniu do Grupy Kryzysowej. Czułam się samotna i myślałam, że on ... Bardzo mi nadskakiwał. Mydlił mi oczy przez ponad sześć miesięcy. Potem zerwałam z nim. Nie był zachwycony.

- Najwidoczniej. - Nie palrzył na nią. - Wyraźnie sprawiałaś mu wiele uciechy.

Czuła, że twarz jej płonie.

- I co w związku z tym?

- Nic, to taka luźna uwaga. Rozumiem, że pieprzył cię i w inny sposób, odkąd odmówiłaś mu wstępu do łóżka.

- To niezbyt delikatne.

- Ale prawdziwe.

Przez chwilę się nie odzywała.

- Tak. Zawsze chciał mieć na mnie bat.

- Mam nadzieję, że nie mówisz tego w sensie dosłownym. Przypuszczam, że nawet ty byś odmówiła... - U rwał i potrząsnął głową. - Przepraszam. To było niepotrzebne.

- Nie, i też niezbyt delikatne. I to nie twój interes, do cholery.

- Masz rację. Jeszcze raz przepraszam. - Odwrócił się i stanął z nią twarzą w twarz. - Po prostu było mi przykro, że ukryłaś przede mną ważną, życiową sprawę. Przyjaciele tak nie postępują.

Z ulgą uświadomiła sobie, że napięcie między nimi zniknęło. A może po prostu zelżało? Dobre i to.

- Nigdy nie mówiłam, że jestem twoją przyjaciółką.

- Ale jesteś, prawda?

Dni wzajemnej bliskości ~ wspólnej pracy. Noce, podczas których doglądali Maggie. Zarty, humor, zażyłość.

- Chyba tak - rzekła z wolna.

- I bardzo słusznie. Zbyt się napracowałem, by mieć pewność, że ty ...

Zadzwoił telefon.

- Ja odbiorę. - Logan przemierzył pokój czterema krokami i podniósł słuchawkę. - Nie ma jej.

Mówi John Logan. Może pan porozmawiać ze mną. - Słuchał przez parę chwil. - W ciągu godziny przyślę do pańskiego biura kogoś z potwierdzonym czekiem. Proszę mu dać w zamian dowód sprzedaży poświadczony notarialnie. Dzięki. - Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Sary. - Sanders z Grupy Kryzysowej. Powiada, że jest kierownikiem zespołu K9. Znasz go?

- To mój szef. - Przepełnęła przez nią fala podniecenia. - Madden do niego zadzwonił? Sprzeda mi Monty'ego?

Przytaknął.

- Jutro dostaniesz jego papiery.

O Boże, to zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Po tylu latach pełnych strapien, nareszcie się doczekała. - Naprawdę?

Uśmiechnął się.

- Naprawdę.

Poczuła, że uginają się pod nią kolana. Opadła na fotel. - Obawiałam się, że tego nie zrobi. Nie mogę uwierzyć ...

- Uwierz. Monty należy do niej. Nic mu już nie zagraża. Jest bezpieczny.

Logan utkwiał spojrzenie w jej twarzy.

- Cała promieniejesz.

Czuła się promiennie. Jaśniała jak słońce.

- Jest bezpieczny.

- Tak.

Przymknęła oczy.

- Bardzo się o niego martwię. Psy są bezbronne. Nie mogą uchronić się przed okrucieństwem.

- Ale ty go chroniłaś.

Otworzyła oczy, gdy poczuła, że Logan przytyka chusteczkę do jej policzka.

- Co robisz?

- Ty płaczesz. - Otarł jej łzy, a potem podał chusteczkę. - Dlaczego kobiety zawsze płaczą, gdy są szczęśliwe? To nie ma sensu. - Podeszedł do zlewu. - I stawia facetów w choler-nie żenującym położeniu.

- Dlaczego?

- Łzy są oznaką smutku, a pierwotnym odruchem mężczyzny jest kojenie smutku kobiety.

- Znowu do niej podszedł z wilgotną ścierką w garści. - Jeśli nie wydarzyło się nic smutnego, robi nam się mętlik w głowach. Daj mi rękę.

- Co takiego?

- Krew ci leci. - Ujął jej prawą dłoń i delikatnie dotykał ręcznikiem posiniaczonych kłykciów. - Te rany mogą wyleczyć.

- To za ledwie ...

- Ciii ... Masz niesamowity prawy sierpowy. Gdzie się tego nauczyłaś?

- Od Raya Dawsona.

- Kim jest Ray Dawson?

- Strażakiem, jednym z moich instruktorów samoobrony. Powiedział, że podczas kłesk żywiołowych i katastrof ludzie czasami wpadają w szal. Szabrownicy czy krewni osób, których nie udało się uratować. Trzeba umieć się obronić.

- Rozumiem. - Uniósł jej dłoń do ust i ucałował posiniaczone kłykcie. - Zeby ci się polepszyło.

Nie jest to podejście naukowe, ale zadowala mój pierwotny instynkt. - Podniósł się. - Muszę zadzwonić do Margaret i upewnić się, czy już wysłała kogoś do centrali Grupy Kryzysowej. Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

Potrząsnęła głową.

- Na pewno? Zabić jakiegoś smoka? Zdobyć diamentowy diadem?

- Zrobiłaś już dość. Dzięki.

- Dość dla ciebie. Ale dla mnie?

- Dla ciebie?

- Podoba mi się to. Kiedy tak patrzysz na mnie jak w tej chwili, czuję się, jakbym mierzył dziesięć stóp. Może mi to wejdzie w nawyk.

Przełknęła ślinę. - Przejdzie ci.

- Nie jestem pewien. Zobaczymy. - Wyciągnął telefon. - Ale najwyraźniej czujesz się przez to nieswojo, więc wyjdę, i zatelefonuję.

Gdy tylko zniknął za drzwiami, wypuściła oddech, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że go wstrzymywała. Chryste, naprawdę się trzęsła. Przez ostatnie pół godziny miotła ją gwałtowne uczucia: gniew, ulga, oszołomienie, radość.

I pożądanie.

Nie wykręcaj się. Czują pożądanie, pożądanie do Logana. Silne, gorące i pierwotne.

On również je odczuwał.

Ale nie napierał. Cofnął się i odwrócił.

A ona była rozczarowana. Głupia dziewczyna. Boże, ależ to głupie. Ostatnia rzecz, jakiej jej trzeba, to romans z takim człowiekiem jak Logan. Był zbyt silny, przytłaczał ją i wtrącałby się w jej życie.

Ale dlaczego miałby się wtrącać? Mogą być niczym statki mijające się nocą. Na pewno nie chciałby się z nią wiązać. Była dla niego nikim.

Przestań o tym myśleć. Przestań myśleć o nim. Podniosła się i ruszyła na werandę. Monty jak zwykle leżał koło Maggie, lecz uniósł wzrok i leniwie pomachał ogonem.

- Ładny z ciebie przyjaciel. - Uklękła obok nich. - Logan i ja staramy się wydobyć cię z łap Maddena, a ty się tu wylegujesz, robiąc słodkie oczy do Maggie.

Piękna. Miłość.

- Skąd wiesz? Może chodzi o seks. Miłość.

- Niewykluczone. - Poglaskała go po głowie. - Ale musisz przekonać Maggie. Będzie domagała się prawdziwego uczucia. Jeśli się z kimś zwiąże, to już na całe życie. - Lecz więź między mężczyznami i kobietami nie jest tak trwała. Dawno temu znenawidziła swoją matkę za jej uczuciową chwiejność i postanowiła poślubić mężczyznę na całe życie. Ale to było dziecięce marzenie. W twardej szkole nauczyła się, że związki między mężczyznami i kobietami często bywają przypadkowe i ulotne.

Miłość.

Nie do niej.

I nie do Logana.

- Zaraz się tym zajmę - rzekła Margaret. - To dobrze, John. Myślałam, że szczeniak jest jej własnością.

- Ja też.

- Więc mam przestać interesować się przeszłością Maddena?

- Nie, chcę wiedzieć o nim wszystko.

- Masz ponury głos.

- Bo w ogóle jestem ponury. Chcę go powiesić na suchej gałęzi, aż wyschnie na wiór.

- Dlaczego?

Bo był zazdrosny jak diabli. Bo nigdy nie chciał tak strasznie nikogo wykończyć jak wtedy, gdy dowiedział się, że Madden był kochankiem Sary.

- A dlaczego nie? To mięczak.

- Spotkałeś w życiu mnóstwo mięczaków. Zazwyczaj nie zwracasz na nich uwagi, chyba że stają ci na drodze. - Tego nie zlekceważę. Chcę go udupić.

- Dobrze, dobrze. Za parę dni zdobędę na jego temat więcej informacji.

Rozłączył się i wykręcił numer Galena.

- Gdzie się, do diabła, podziewa Rudzak? - zapytał, gdy Galen odebrał telefon.

- Dzień dobry. A gdzie się podziały twoje dobre manie-ry, Logan?

- Odnalazłeś Sancheza?

- Wczorajszego wieczoru. Nie wie, gdzie jest Rudzak,

ale może zdołam go namówić, by wykonał kilka telefonów. Podobno Rudzak przed paroma dniami wrócił do Stanów. - Dokąd konkretnie?

- Miejsce pobytu nieznane. Ale zanim wyjechał, kupił

od rosyjskiego handlarza mnóstwo materiałów wybuchowych i zapalników.

- A niech to jasna cholera.

- Ma już dość gry o małe stawki i założę się, że przymie-

rza się teraz do jakiegoś kluczowego obiektu. Powinniśmy to przewidzieć. Dodsworth?

- Najprawdopodobniej. Ale w Stanach mam siedem fabryk i dwadzieścia dwa ośrodki badawcze.

Wszędzie wzmocniłem strażę, a Grupa Kryzysowa przeprowadza regularne kontrole.

- To nie wystarczy.

- Sam o tym wiem, do cholery.

- Ale masz szczęście. Lecę ci na pomoc nawet teraz, gdy

rozmawiamy. Za parę godzin powinienem wylądować w San Francisco. Jutro sprawdzę fabrykę w Dolinie Krzemowej, ponieważ to nasz największy zakład, a potem Dodsworth. Następnie skontaktuję się z moimi informatorami i dowiem się, czy mogą mnie naprowadzić na Rudzaka.

Oczywiście pod warunkiem, że uzyskam na to twoją zgodę.

- A jeśli nie, to i tak to wszystko zrobisz.

- Co mogę powiedzieć? Widocznie mam za dużo inicjatywy. Jak tam nasza psia mama? - Doskonale.

- Czy mi się wydaje, czy też dosłyszałem gorzką nutę?

Wyraźnie doszło do mnie warknięcie. - Nie warczę.

- Może gdybyś spróbował, lepiej byście się porozumieli.

Ta dziewczyna czuje chyba pokrewieństwo ze zwierzętami. Ale odniosłem wrażenie, że ostatnio jesteście na bardziej przyjacielskiej stopie.

"Sama jesteś dzika".

Logan zacisnął dłoń na słuchawce, gdy przypomniały

mu się słowa Maddena, skierowane do Sary. - Znajdź tylko Rudzaka. I to szybko.

- Znajdę go. - Galen odłożył słuchawkę.

Logan wsunął telefon do kieszeni i spojrzął na słońce, zachodzące za chmurami. Powinien wejść do środka, odnaleźć Sarę i załagodzić nieporozumienia, które sam wywołał po wyjeździe Maddena.

Schrzanił tę sprawę. Skoro nie dzieli go już od Rudzaka cały kontynent, nic nie może go zmusić, by zostawił Sarę.

Ale nie może wejść do domku. Jeszcze nie.

Niech szlag trafi Maddena. Kilkoma zdaniem zburzył spokój Logana i tak nim wstrząsnął, że zupełnie stracił panowanie nad sobą.

"Pieprzy się jak dzika samka".

- Jezus. - Przymknął oczy. Czuł, że jego ciało jest znowu gotowe, choć przepływały przez nie wściekłość i zazdrość.

"To jedyna kobieta, która w łóżku nigdy mi nie odmówiła". W jakie erotyczne gry gotowa jest się wdać?

Opanuj się. To niemal bolesne pożądanie było dla niego niezwykle. Seks zawsze uważał za szaloną przyjemność, nie zaś za obsesję popychającą go do nie przemyślanych działań.

Nie była to obsesja. Nie dopuściłby do tego. Słowa Maddena rozbudziły jego instynkt seksualny, lecz tak zachowywałby się każdy mężczyzna.

Gdy tylko zapanuje nad swoim ciałem, wróci do domku i sprawi, że Sara zapomni o tym jego przeżyczeniu.

Rozdział dziesiąty

Coś się dzieje - powiedziała Bonnie. - Nie podoba mi się to, mamó.

Eve oderwała wzrok od czaszki, nad którą pracowała, by spojrzeć w drugi kąt pokoju. Bonnie leżała skulona na krańcu tapczanu. Dziewczynka była ubrana w dżinsy i podkoszulek, jak zawsze, gdy ukazywała się Eve. Włosy miała skręcone w niesforne loki, promieniała radością i była pełną życia. Serce Eve podskoczyło ze szczęścia. Szybko zwróciła wzrok na czaszkę.

- Jak się masz, kochanie. Zastanawiałam się, czy jeszcze kiedykolwiek cię zobaczę. - Wsunęła głębiej etykietkę na czaszce. - Chciałam powiedzieć, czy jeszcze będziesz mi się ukazywać.

Bonnie zachichotała.

- Oczywiście, że wiem, co chciałaś powiedzieć. Nigdy się nie poddajesz, mamó. Ale kiedyś przyznasz, że jestem tym, kim powiadam ci, że jestem. Nie tak dużo ci do tego brakuje. - Do wariatkowa? Nie, dziękuję bardzo.

- Wiesz, że nie zwariowałaś. Gdzie są Joe i Jane?

- Poszli do miasta na popołudniowy seans. Jane chciała obejrzeć jakiś film z Mattem Damonem. Ja byłam zajęta, więc machnęłam na to ręką. - Urwała. - Ale chyba zachciało mi się spać i wyciągnęłam się na kanapie, żeby się zdrzemnąć. Inaczej nie byłoby cię tutaj.

Bonnie uśmiechnęła się nieco złośliwie.

- Mocno śpiąc, odwaliłaś kawał roboty przy tej czaszce.

- Cicho bądź, smarkulo. Nie obchodzi mnie, co mówisz.

Nie jesteś duchem, tylko wytworem mojej wyobraźni. Ja cię stworzyłam i kiedy nie będę cię potrzebować, znikniesz. Jestem już na dobrej drodze. Nie ukazywałaś mi się od miesiący. - Nie odrywała oczu od czaszki. - Gdy Sara odnalazła twoje ciało i przywieźliśmy cię do domu, pomyślałam, że znowu się do nas wprowadziłaś.

- I jesteś z tego zadowolona?

- Oczywiście. - Zamknęła oczy. - Nie, kłamie. Tęskniłam za tobą, dziecinko.

- Ja też za tobą tęskniłam. Odchrząknęła.

- To dlaczego nie przysłaś się ze mną zobaczyć?

- Bo żadne z was nie może z mego powodu dojść do ładu. Jak na inteligentną kobietę, nie myślisz zbyt jasno. Dośladam do wniosku, że najlepiej będzie trzymać się z daleka, póki ty i Jane wszystkiego sobie nie poukładacie.

- To dobrze świadczy o twoich talentach dyplomatycznych.

- Pragnę, żeby dobrze ci się wiodło, mamó. Nie chciałam się jeszcze pojawiać, ale martwię się. -

Zamilkła na chwilę. - Coś się szykuje.

- Już mówiłaś.

- Bo to prawda. Coś złego.

- I mam ci wierzyć? - Trzęsącą się ręką przykleiła jesz-

cze jedną etykietkę. - Joe? Jane?

- Chyba nie. Może. Wiesz, że nie potrafię przewidzieć przyszłości. Widzę tylko przebliski, miewam przecucia. - Ładny z ciebie duch. Najpierw mnie zaciekawiasz, a potem powiadasz, że nie znasz żadnych szczegółów. - Sara ...

- Co ...

- Wokół Sary panuje ciemność. Śmierć. Tyle zwłok.

- Właśnie wróciła z Baratu. Było tam mnóstwo trupów.

Bonnie potrząsnęła głową. - Coś się wydarzy.

- Więc nawiedź ją w snach.

- Mamo.

- A co ja mam zrobić? Powiedzieć jej, że córka, którą niedawno pochowaliśmy, martwi się o nią?

- Chodzi nie tylko o nią. - Bonnie przygryzła dolną wargę. - Część tej ciemności musi otaczać też i ciebie, bo inaczej bym jej nie odczuła. - Przekrzywiła głowę, nasłuchując. - Muszę się już zbierać. Słyszę samochód Joego.

- Ja nie. - Eve wytarła ręce i podeszła do okna. Samochód Joego wjeżdżał właśnie w najdalszy zakręt na drodze. - Jak ty to robisz?

- Jako duch pod niektórymi względami mam przewagę nad żyjącymi. Kocham cię, mamo.

- I ja cię kocham, dziecinko. - Odwróciła głowę. - Ale możesz być bardzo ... - W kącie kanapy ziało pustką. Nie siedziała tam już mała, odziana w dzinsy figurka, zniknęła promienna, figlarna twarzyczka. Zniknęła Bonnie.

Zamknęła oczy, gdy przeszła ją fala rozczarowania. Zazwyczaj wizje Bonnie kołysały ją, lecz tym razem poczuła dręczący niepokój. Dlaczego?

Coś się wydarzy. Ciemność.

Myślała, że wrazenie ciemności ma już za sobą. Te ostatnie miesiące z Joem pełne były radości i światła. Jedyny cień rzucała na nie tylko Jane, lecz Eve była pewna, że sobie z tym poradzi. Jeżeli nadciąga jakaś katastrofa, los nie pozwoli, by dotknęła właśnie ich.

Dodawala sobie otuchy, jak umiała. Gdy Bonnie została zamordowana, Eve przekonała się, że nie ma sprawiedliwości na świecie. Może tylko bardziej zbliżyć się do ukochanych osób i nie tracić nadziei.

Joe zaparkował koło domku i wraz z Jane wysiedli z samochodu. Śmiali się i Eve nagle poczuła się lepiej. Podeszła do frontowych drzwi, by się z nimi przywitać. Nie dopuści, by wytwory jej wyobraźni przygnębiły ją czy wprawiły w przerażenie. Bonnie nie jest duchem, lecz jedynie wspomnieniem. Nie mogła przewidzieć nadciągających niebezpieczeństw. Sarze absolutnie nic nie grozi, żadnej z ukochanych osób Eve nie otacza ciemność.

Zapadł zmrok, lecz Rudzak mimo to dostrzegł, jak ochocho Eve Duncan szła przez werandę na spotkanie Joego Quinna i dziecka, ile miłości biło z tej kobiety. Z jej twarzy wyczytał wszystko, co chciał wiedzieć. Romans Logana z Eve Duncan to zamierzchna przeszłość. Znalazła sobie nowego faceta, a Logan nie należał do mężczyzn, którzy graliby drugie skrzypce.

Fatalna sprawa.

Opuścił lornetkę i odwrócił się do Duggana.

- Zapuść motor. Jedziemy. - Usadowił się w fotelu, a Duggan prowadził motorówkę po jeziorze.

Z materiałów, zgromadzonych na temat Logana, wynikało, że jego związek z Eve rozpadł się, lecz Rudzak musiał osobiście się o tym przekonać. Wspaniale byłoby zniszczyć ukochaną Logana.

Mógłby ponownie wziąć pod uwagę Eve Duncan, gdyby na horyzoncie nie pojawiło się nic bardziej interesującego.

Palcami dotknął grzebienia z kości słoniowej i jadeitu, który wsunął do kieszeni, wychodząc dzisiaj rano z hotelu. Myślał, że może ...

Jeszcze nie, Chen Li.

Chętnie pozbędzie się tego grzebienia. To jeden z ostatnich prezentów, jakie jej podarował, i związane z tym wspomnienia były gorzkie.

- Nie powinienes dawać mi tak ślicznego podarku. - Nawet mówiąc to, Chen Li przesuwala palcami

po zębach grzebienia, wyrzeźbionych z kości słoniowej. - Jest zbyt kosztowny. John nic nie mówi, ale chyba mu przykro, że nie może obsypywać mnie takimi prezentami.

- Logan nie jest aż tak samolubny. Podoba ci się ten grzebień, prawda?

- Jest cudowny. - Niechętnie wręczyła mu go z powrotem. - Ale uczucia Johna są ważniejsze. Rozumiesz to, Martinie?

Zatrzęsała nim wściekłość. Odwrócił się, by jej nie dostrzegła.

- Oczywiście, że rozumiem. - Ruszył w stronę szafki, w której trzymała swoje skarby. - Ale należy do ciebie. Może po prostu włożymy go na sam spód szkatułki i nie powiemy o niczym Loganowi. Najprawdopodobniej w ogóle go nie zauważy.

- Chyba ... można tak zrobić.

- Na pewno. - Zamknął kasetkę i uśmiechnął się do

Chen Li. - Przecież chce, żebyś miała rzeczy, dzięki którym jesteś szczęśliwa.

- To nie dzięki rzeczom jestem szczęśliwa, Martinie.

John daje mi szczęście.

- To dobrze. Tylko tego pragnę.

I jeszcze żeby Logan padł trupem.

W następnym tygodniu poszła do lekarza, który stwierdził u niej białaczkę. Po tylu latach został oszukany.

Logan go oszukał.

- Wracamy? - zapytał Duggan.

- Może. Ale jeszcze nie w tej chwili.

- A dokąd jedziemy stąd? - zapytał Duggan. - Do Sacramento? Dodsworth?

- Cierpliwości - odparł Rudzak. Ale Duggan nie miał cierpliwości, pod wieloma względami był jak dziecko.

- Dodsworth? - nalegał Duggan.

- W końcu tak. Ale najpierw musimy zrobić inne rzeczy. Długo czekałem na Logana. Przekonałem się, że czekanie może dawać chyba nawet większą satysfakcję niż sam czyn.

- Może tobie - rzekł ponuro Duggan. - Wydaje mi się, że wszystkie trudy, które ponieśliśmy w Phoenix, poszły na marne.

Doprawdy jest niewiarygodnie tępy, pomyślał ze zdziwieniem Rudzak. A głupota grozi niebezpieczeństwem. Rudzak już zdążył zdecydować, że Duggan nie przeżyje wybuchu, który sam tak bardzo pragnie zorganizować.

Ale na to przyjdzie czas, a możliwości Duggana nie zostały jeszcze w pełni wykorzystane. A więc trzeba dbać o jego dobre samopoczucie i nie okazywać pogardy. Uderzać we właściwe struny. U Duggana będzie to miłość własna i zarozumialstwo.

- Wiem, jak trudno jest człowiekowi czynu, takiemu jak ty, powstrzymać się od działania - rzekł łagodnie. - To jedna z cech, za które cię podziwiam. Ale spróbujmy zaważać po mojemu.

Będziesz zdziwiony.

Patrzył, jakie wrażenie jego słowa wywrą na Dugganie. W końcu podwładny wzruszył ramionami.

- Skoro tak powiadasz. Chyba będę dalej pracował z tobą ręką w rękę.

- Dzięki. - Rudzak uśmiechnął się promiennie. - Daję ci słowo, że ta robota będzie ukoronowaniem twojego życia.

Eve zadzwoniła do Sary o pół do dziesiątej wieczór. - Co u ciebie? - zapytała Sara. - Jak się miewa Jane?

- Niezbyt dobrze. Choć ktoś, kto jej nie zna, nigdy by się nie domyślił. Jest po prostu ... taka cicha. - A jak ty się czujesz?

- Nie najgorzej. Wiedziała, że się będziesz niepokoić, więc zadzwoniłam.

- Podtrzymuję swoją propozycję. Mam teraz trochę kłopotów, ale szybko powinnam z nich wybrnąć i z największą chęcią wezmę do siebie Jane na jakiś czas.

- Jesteśmy rodziną. Poradzimy sobie.
Sara potrząsnęła głową.
- Straszna z ciebie uparciucha. To nie zbrodnia poprosić przyjaciółkę o pomoc.
- Damy sobie radę. Jak się ma Monty?
- Jest zakochany. W wilczycy.
- Co takiego?
- Nie pytaj. - Ale to nasunęło jej pomysł. - Opiekuję się wilczycą Maggie, która ma złamaną nogę i przydałby mi się ktoś do jej pielęgnacji. Jane świetnie umie zajmować się zwierzętami.
Eve roześmiała się.
- I myślisz, że w ten sposób namówisz mnie, żebym pośleła ją na ratunek? Tylko tobie mogło przyjść do głowy, że opieka nad rannym zwierzęciem to świetny powód, by wysłać dziecko do wilczej nory.
- To moja nora. Wilk jest tylko gościem.
- Nie ma mowy.
- Mała przepadałaby za nią. Maggie nie jest łatwa we współżyciu, ale ma charakter. Jak się nad tym zastanowić, trochę przypomina mi Jane.
- Naprawdę?
- Widzę, że cię nie przekonałam. Zastanów się nad tym i daj mi znać.
- Zajmij się własnym wilkiem. - Eve zawahała się. -
A co u ciebie? Masz jakieś kłopoty? Oprócz wilka. - A czy wilk nie wystarczy?
- Wymigujesz się.
- Może troszkę. - Spojrzała na Logana, siedzącego w fotelu po przeciwnej stronie pokoju. - Ale wszystkie moje problemy z czasem przemijają. Zadzwoń za tydzień i dowiem się, czy nie zmieniłaś zdania, że przyślesz mi Jane. Naprawdę polubiłaby Maggie.
- Właśnie się obawiam, że później będzie przeżywać rozstanie z tym cholernym zwierzęciem, a tylko tego mi brakuje. - Znowu zamilkła na chwilę. - U ciebie na pewno wszystko w porządku? Ostatnio trochę się o ciebie martwiłam.
- Dlaczego, na miłość boską?
- Sama nie wiem. Czuję przez skórę ...
- Oszalałaś? Mnie nic się nigdy nie przydarza. A jeżeli już, zawsze jakoś z tego wychodzę.
- No jasne. Pewnie i tak byś mi nie powiedziała. Ale jeżeli nie zadzwonisz do mnie w przyszłym tygodniu, ja zadzwonię do ciebie. Uściskaj ode mnie Monty'ego. - Odłożyła słuchawkę.
- Próbowałaś przekazać moją robotę komuś innemu - rzekł Logan, gdy Sara odeszła od telefonu. - A wydawało mi się, że całkiem nieźle dajesz sobie radę z Maggie.
- Całkiem, całkiem. - Usiadła na tapczanie naprzeciw niego. - Ale dla Eve będzie lepiej, jeśli Jane zamieszka tutaj. - A więc wyrzucasz mnie. To nie jest dobry pomysł.
Przynajmniej nie teraz.
- Gdybyś pozbył się Rudzaka, mogłabym nadal wieść spokojny żywot.
- Staram się. Najpierw muszę go znaleźć. - Wbił wzrok w jej twarz. - Ale nie było ci tak ciężko trzymać mnie pod swoim dachem, co?
- Nie. - Odwróciła wzrok. - Ale czas już z tym skończyć.
- Dlaczego akurat teraz?
"Ale u ciebie na pewno wszystko w porządku?"
Aż dziw, że Eve zadała to pytanie. Po raz pierwszy od lat Sara czuła, że nie panuje nad sytuacją. Do diabła, przez ostatnie dwa dni zajmowała się czym popadnie, byleby unikać Logana.
- Dlaczego akurat teraz? - powtórzył Logan. Podniosła się.
- Sprawdzę, co słychać u Maggie, a potem położę się spać.
- I nie powiesz mi, dlaczego dzwoniła Eve?
- Mówiła, że się o mnie niepokoi.
- A ty jej odparłaś, że nic cię nie zdołuje.
- Jeśli już podsłuchujesz, rób to jak należy. Mnóstwo

rzeczy mnie dołuje, ale jakoś z tego wychodzę.

- Przepraszam za pomyłkę. Dlaczego się niepokoiła?

- Bez najmniejszego powodu. Nic nie wie o Rudzaku

ani że tu jesteś. To pewnie zachowanie Jane wytrąca ją z równowagi.

- Możliwe. - Chwilę się nad tym zastanawiał. - Ale to do niej niepodobne. Zbyt wiele przeżyła, by obarczać innych swymi zmartwieniami.

- Ty chyba wiesz najlepiej. - Ruszyła w kierunku weranda. - W końcu żyłeś z nią przez rok. Nie martw się o Eve. Teraz Joe powinien się o nią troszczyć.

- Na miłość boską, nie martwię się o Eve.

Szorstkość, dźwięcząca w jego głosie, tak ją przestraszyła, że uniosła ku niemu wzrok.

Wpatrzył się w nią z takim napięciem, że zaparło jej dech. - Martwię się o ciebie. Czy tak trudno w to uwierzyć? Zaczerpnęła tchu, by rozluźnić nagły ucisk w piersi.

- Tak. Nie wiem ... myślę ... to naturalne, że martwisz się o Eve.

- Oczywiście.

- Troszczysz się o nią.

- Rzecz jasna. Co nie znaczy, że nie czuję nic do żadnej innej. Dokąd idziesz, do diabła?

- Powiedziałam ci, że idę do łóżka.

- Spójrz na mnie.

Nie chciała na niego patrzeć. Czowała to samo bezmyślne podniecenie, które ogarnęło ją w dniu, gdy przyjechał Madden.

- Nie chcę już rozmawiać. Dobranoc.

- Więc nic nie mów. Słuchaj. - Wstał z krzesła i stanął przed nią. - Wiesz, czego oboje pragniemy. Jeśli nie chcesz się do tego przyznać, nie będę cię zmuszał. Ale nie wrzucaj między nas Eve. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Nie dotykał jej, lecz był tak blisko, że palił ją bijący od niego żar. Kręciło jej się w głowie, w całym ciele czuła mro-

wienie. Pragnęła podejść jeszcze bliżej. Był taki potężny ... Co by czuła, gdyby przyłgnął do niej ciałem? Dowiedziała się za chwilę.

Gwałtownie wciągnął powietrze i zeszywniał. - Co robisz?

Nie była pewna. Poruszyła się instynktownie.

- Sama nie wiem. Chciałam ... Chyba się pomyliłam.

- Radzę ci się szybko zdecydować. Liczę do pięciu.

Jakże może się zdecydować, skoro nie potrafi składnie myśleć?

- Do tego chyba nie powinno dojść. Nie pasujemy do siebie.

- Akurat. - Położył jej ręce na biodrach i przycisnął do siebie, ocierając się o nią falującym, kocim ruchem.

- Już nie możemy bardziej do siebie pasować. Przygryzła dolną wargę, gdy przebiegła przez nią fala pożądania.

- Próbujesz nade mną panować. Manipulujesz mną.

Chcesz, żeby wszystko szło po twojej myśli.

Pocałował ją.

- Przecież wszyscy tego chcą, ale możemy pertraktować, a już na pewno nie będę się wtrącał do twojej uwielbianej pracy.

- A Tajwan? Niektóre rzeczy muszę wykonać sama, a ty ... Znowu ją pocałował.

- Przyrzekam.

- Powiedziałeś ... że liczysz ... do pięciu.

- I tak rzeczywiście jest. Mam wewnętrzny zegar. - Cofnął się, ujął ją za rękę i pociągnął w stronę sypialni. - Ciągłe tyka. Boże, jeszcze jak. Chcesz posłuchać? - Położył jej rękę na swoim sercu. - Jeśli chcesz odmówić, zrób to teraz.

Wyczuwała dłonią raptowne bicie jego serca. Każde uderzenie wstrząsało jej ciałem i wypełniało

je do ostatnich granic. Wypełniało pokój. Wypełniało świat.

- Będzie dobrze. Nie czujesz? Czy nie ...

- Przestań gadać - rzekła łamiącym się głosem. - Nie zamierzam ci odmówić. Przecież, do diabła, nawet bym nie mogła. - Położyła się obok niego na łóżku i pocałowała go.

- Muszę zobaczyć, co słyhać u Maggie - ziewnęła Sara, przytulając się mocniej do nagiego Logana. - Powinam była do niej zajrzeć już przed paroma godzinami.

- Byłaś zajęta. - Musnął ustami jej czoło. - I znowu będziesz zajęta za jakieś ... dwie minuty.

- Znowu tyka twój wewnętrzny zegar? - zachichotała.

- A jakże. Jest porządnie nakręcony i gotów dalej tykać.

Odepchnęła go z trudnością i usiadła. - Maggie.

- Ja się nią zajmę. - Wyślizgnął się z łóżka. - Zostań tu. Nie bardzo umiesz łączyć obowiązek z przyjemnością. Nie chciałbym, żeby było jeszcze gorzej.

Poczuła dreszcz pożądania, gdy patrzyła, jak nagi przechodzi przez pokój. Gdy go ujrzała po raz pierwszy, uznała, że jest piękny jak kuguar. Umieśniony, wielki, silny, w sypialni czuł się równie swobodnie jak w dżungli.

Oszołomił ją swym lubieżnym erotyzmem i niespożytą energią, tak że zupełnie straciła głowę.

Myślała, że seks z nim będzie pełen napięcia, obezwładniający, i taki też był. Ale czerpała z niego również sporo uciechy. Jeżeli coś ją obezwładniało, to jej własna seksualność. Logan nie próbował nad nią zapanować. Prowadził, proponował, kusił.

Lecz czyż nie są to szczyty władzy i manipulowania? By uwieść, trzeba tysiąc razy więcej przemyślności niż przy przymuszaniu, a Logan był najbardziej uwodzicielskim mężczyzną, jakiego zdarzyło jej się poznać.

Do diabła z tym! Nie zamierzała analizować tego, co się stało. To był seks, a nie operacja mózgu.

Radowała się ciętym, i swoim, i jego. I tyle. Nikomu nie stała się żadna krzywda.

- Maggie ma się świetnie - rzekł Logan, wracając do niej. - Zmieniłem jej bandaż.

- Szybko ci poszło. Mnie zazwyczaj schodzi dłużej.

- Piliło mnie. - Usiadł na skraju łóżka. - Posuń się.

Zrobiła mu miejsce.

- Z Montym wszystko w porządku?

- Jeżeli robienie słodkich oczu do Maggie uważasz za

przejaw naturalności. Nigdy nie widziałem bardziej zakochanego zwierzaka. Maggie uwodzi go na potęgę.

- Powinna uważać. Dla niej to już na zawsze. Co nie znaczy, że ją bronię. Biedny Monty jest ... Co ci się stało w rękę?

- Nic takiego. - Spojrzał na lewą dłoń. - Maggie troszkę mnie chapsnęła. Zaledwie zdarła skórę. - Położył jej rękę na piersi. - To nie jej wina. Za bardzo się spieszyłem.

Czuła, jak ogarnia ją fala pożądania.

- Przemij to i przetrzyj środkiem odkażającym.

- Później. - Pochylił się nad nią i rozsunał jej nogi. - Zegar tyka.

- Teraz. - Odepchnęła go. - Nieważne. Sama to zrobię. Nie pozwolę, żebyś mnie całą pokrwawił.

- Jesteś bardzo czuła.

Podniosła się i przebiegła przez pokój.

- Nie lubię pokręconego seksu. No, może trochę, ale krew mnie nie podnieca.

- Mówisz takie rzeczy, a potem spodziewasz się, że będę cierpliwy i pohamuję ...

- Cicho. - Wróciła po chwili z torbą z przyborami medycznymi. - To potrwa tylko chwilę.

Patrzył na jej pochyloną głowę, gdy przecierała ranę alkoholem.

- To nie jest konieczne. Po prostu chcesz mnie udrczyć.

- To jest myśl. A może zamiana ról jest sprawiedliwa.

Ty obmywałeś mi kłykcie, gdy rozłożyłam Maddena. - Ale nie byłeś w formie, a ja świetnie się czuję.

- Byłam. Co prawda nie od razu, ale wpadłeś w złość i wyczułam ... - Podniosła wzrok. - Słowa

Maddena podnieciły cię. Patrzyłeś na mnie i widziałam, że myślisz o tym, co byś ze mną wyprawiał. A potem ja zaczęłam myśleć o tym samym i też się podnieciłam.

- Madden nie ma z tym nic wspólnego.

- Oczywiście, że ma. - Znowu spuściła wzrok i zaczęła

wcierać w ranę środek odkażający. - Madden nazwał mnie dziką samką. Czy jestem dla ciebie dość dzika, Logan?

- Byłaś fantastyczna jak cholera - odparł gburowato.

Przechylił jej głowę, tak by spojrzała mu w oczy. - Chciałem zabić Maddena za to, że tak o tobie mówił, ale co jest złego w tym, że się ma zwierzęcy temperament? Zwłaszcza jeśli zwierzęta są tak czyste, śmiałe i piękne jak ty. A może Madden tylko przyspieszył całą sprawę, bo w końcu i tak by do tego doszło. Pamiętasz? - drażnił się z nią. - To męska rzecz. Czego innego możesz oczekiwać od faceta, który myśli o seksie co dziesięć minut?

- Co osiem - rzekła urywanym głosem.

- Dziś wieczór to nie był sprawiedliwy sprawdzian. - Wciągnął ją z powrotem do łóżka. - O czym mam myśleć, kiedy się z tobą Kocham?

Odwróciła się od niego.

- Zgaś światło.

- Lubię na ciebie patrzeć.

Ona też lubiła na niego patrzeć.

- Zgaś.

Zgasił i wziął ją w ramiona.

- Jeśli ci się nie podoba, dlaczego wcześniej nie powiedziałaś?

Ale jej naprawdę się to spodobało. Tyle że niektóre rzeczy łatwiej powiedzieć w ciemności.

- Mówiłeś, że się ze mną Kochasz. Ale w istocie wcale się ze mną nie Kochasz, po prostu chodzi o seks. Oboje o tym wiemy. Nie musisz udawać, że w grę wchodzi coś innego. - Naprawdę?

- Lepiej nie udawać. Wiem, że nie możesz mnie Kochać, tak jak ja nie mogę Kochać Ciebie.

Jesteśmy jak ogień i woda.

Czuła, jak jego mięśnie się napinają.

- Ach tak ... rozumiem.

- Nie jestem podobna do Eve.

- Nie, nie jesteś.

- A już na pewno nie do Chen Li.

- W żadnej mierze.

- Więc seks wystarczy - schowała twarz w jego ramieniu.

- Mnie się to podoba. Ty mi się też podobasz. Pomyślałam ... że moglibyśmy być razem przez jakiś czas. Ale pod warunkiem, że będziemy ze sobą szczerzy.

- Tam do diabła, rzeczywiście jesteś szczerą. - Umilkł na chwilę. - Czy choć raz powiedziałaś Maddenowi, że go Kochasz?

- Co to za różnica ...

- Powiedziałaś?

- Tak.

- I jeszcze komuś?

- Nie.

- Ten bydlak naprawdę wykreślił ci numer, co? - Wtulił jej głowę w swoje ramię. - Nieważne. Dość już nagadaliśmy się dziś o Maddenie. Chodziło mi o to, żeby mieć jasny obraz sytuacji.

- Uważasz, że usycham z tęsknoty za tym skurwysynem.

- Nigdy w życiu. Nie jesteś psychicznie podłamana. Ja

ponoszę całą odpowiedzialność. Zgadza się? - Nie czekając na odpowiedź, przykrył ustami jej wargi i położył się na niej. - A teraz bądź cicho, chcę uprawiać z tobą seks. Przyrzekam, że nie będę się z tobą Kochać. Gram z tobą w otwarte karty.

Uświadomiła sobie, że jest zły. Tym razem wszedł w nią bardziej szorstko, głębiej, gwałtowniej, a jednak roznał ją jeszcze silniej niż poprzednio. Długo trwało, zanim na nią opadł.

Ciężko poruszał klatką piersiową, usiłując schwycić oddech.

- Całe szczęście, że po prostu uprawiamy seks. Gdyby to było coś poważniejszego, chyba bym padł.

Rozdział jedenasty

Sara otworzyła oczy gdzieś tak koło jedenastej. Monty.

Musi nakarmić Monty'ego i Maggie.

Zazwyczaj podawała im jedzenie o siódmej, toteż była zdziwiona, że Monty nie drapie łapami w drzwi.

Logan przerzucił ramię przez jej piersi i nadal spał. Jedna minuta dłużej naprawdę nie miała znaczenia. Sara leżała i patrzyła na niego. Przyjemnie było spoglądać na tak bezbronego Logana. Wyglądał na młodszego i bardziej wrażliwego. Zrobiło się jej przyjemnie i ciepło na sercu, że pozwolił się oglądać w takim stanie.

Monty.

Ostrożnie wyszła z łóżka. Na razie nie ma co budzić Logana. Nakarmi Monty'ego i Maggie, weźmie prysznic i może przygotuje dla nich jakieś śniadanie. Chwyła szlafrok, zebrała swoje ubrania i cicho zamknęła za sobą drzwi sypialni.

Monty spojrzał na nią z wyrzutem i zaskomlał żałośnie, gdy pojawiła się na werandzie.

- Mógłbyś to sobie darować. - Postawiła obok niego miskę z jedzeniem. - Ja też mam prawo do życia. Ja też potrzebuję towarzystwa. - Ale tu nie chodziło o towarzystwo, gdyż jej ciała nie przenikałoby wówczas to rozkoszne uczucie senności i wrażliwości na wszelkie bodźce. Miskę Maggie postawiła tuż obok wilczycy. - Wczoraj wieczorem nie zachowałam się miło wobec Logana. Myślałam, że już ci przeszła ta chęć do chapsania zębami.

Maggie spojrzała na nią zagadkowo żółtymi ślepiami, po czym zaczęła jeść.

To była jej wina. Opieka nad Maggie należała do obojwiążków Sary, a ona pozwoliła Loganowi, by zrobił za nią to, czego sama powinna była przypilnować. Oddanie steru Loganowi łatwo jej przyszło.

O wiele za łatwo. Z nachmurzoną miną z wolna podniosła się na nogi. Czyżby nieświadomie starała się mu przypodobać?

Nie ma nic złego w tym, że chce dogodzić mężczyźnie, który najwyraźniej stara się, by było dobrze jej. Powinna uważać na swoje uczucia i wyciągnąć z tego związku możliwie jak najwięcej przyjemności.

Uważać na swoje uczucia? Skąd przyszła jej do głowy taka myśl?

- Nie - wyszeptła.

Monty spojrzał na nią pytająco.

- Nie o ciebie chodzi, chłopie. - Potrząsnęła głową. - Zeszła z werandy. Ten dreszcz paniki był zupełnie bezpodstawny. Nie musi strzec żadnych uczuć z wyjątkiem sympatii i szacunku. Może nadal chodzić do łóżka z Loganem, byleby tylko nie naruszało to jej poczucia godności własnej i niezależności. To jedyny rozsądny sposób, by ...

Zadzwoił telefon.

Wycie.

Logan otworzył oczy. To na pewno Maggie.

A Sary już przy nim nie było. Odrzucił przykrycie.

- Sary! Co się stało Maggie? Zadnej odpowiedzi.

Zesztywniał.

- Chryste. - Wypadł z sypialni. - Sary! Nie było jej w saloniku.

Weranda.

Na werandzie była tylko Maggie. Ani śladu Monty'ego czy Sary. Maggie rzuciła mu nieszczęśliwe spojrzenie, po czym uniosła głowę i ponownie żałośnie zawyła.

Gdzie, do diabła, podziewa się Sara?

Nie wpadaj w panikę. Mogła zabrać Monty'ego, żeby się przebiegł. Skarzyła się przed paroma

dniami, że nie ma czasu, by prowadzić z Montym zwykle ćwiczenia. Ubierze się, upewni, czy dzip stoi przed domkiem i zacznie ich szu-kać.

Wracając do sypialni, zauważył karteczkę na blacie kuchennym.

Loganie!

Dostałam telefon od Helen Peabody. Porzebuja mnie i Monty'ego przy poszukiwaniach w wodzie. To miejscowa historia, więc powinnam wrócić jutro albo pojutrze. Zajmij się Maggie.

Sara

Kurcze•

Wystukał numer Franklina.

- Sara wyszła z domku.

- Wiem. Mniej więcej przed pół godziną.

- Czy ktoś ją śledzi?

- Chyba zartujesz. Galen powiedział mi, że nieźle oberwiemy po tyłku, jeśli spuścimy ją z oka.

Smith jedzie za nią. Jest na autostradzie numer sześćdziesiąt i nie ma żadnego ogona.

Logana przebiegła fala ulgi.

- To dobrze. Powiedz Smithowi, żeby jej nie zgubił. -Odłożył słuchawkę.

Może wszystko będzie w porządku. Telefon pochodził od Peabody, którą znał i której wierzył.

Ale mogła to też być zasadzka. Zadzwoił do Margaret. - Połącz się z Helen Peabody. To pracownica zespołu poszukiwawczo-ratowniczego z Tucson. Skłoń ją do współpracy z nami prośbą czy groźbą. - Poszedł do sypialni i zaczął się ubierać. Telefon zadzwonił, gdy zaczynał za-pinać guziki koszuli.

- Helen Peabody - usłyszał głos Margaret, która go przełączyła.

- Przepraszam, że pani przeszkadzam, pani Peabody, ale potrzebuję pani pomocy.

- Oczywiście. Jak się pan miewa, panie Logan? Chcia-łam panu podziękować za zorganizowanie transportu dla grupy, która miała polecieć na Tajwan. A teraz panna White i Sara namówiły pana do złożenia dotacji na rzecz usuwa-nia skutków tej katastrofy. Chyba orientuje się pan, jak rozpaczliwie potrzebujemy wsparcia finansowego.

- Sara mnie przekonała. Ale wyszła, zanim zdołaliśmy sfinalizować tę transakcję. Rozmawiała chyba z panią, nim wybiegła z domu.

- Bardzo mi przykro, ale Monty to jedyny pies w naszym zespole, który potrafi prowadzić poszukiwania w wodzie. Nie chciałam zawracać głowy Sarze, skoro niedawno wróciła z Tajwanu, lecz gdy zadzwonił sierżant Chavez, da-łam za wygraną. Nie zajmie jej to więcej niż dzień lub dwa. Ale sprawę dotacji powinnam omówić z panem. W istocie to mój obowiązek. Sara jest w akcji.

- Zacząłem z nią rozmowy i chciałem je prowadzić dalej. Ale w tej chwili mój czas jest niezwykle cenny. Może mógłbym porozumieć się z nią przez tego sierżanta Chave-za? Zna go pani osobiście?

- Kilka osób z naszej grupy pracowało już kiedyś z Ri-chardem. Jest w oddziale szeryfa Maricopy i współdziała z ekipą, która patroluje jezioro. Fajny facet. Bardzo się przejął tymi dziećmi.

- Jakimi dziećmi?

- Nie oglądał pan telewizji? Troje nastolatków wybrało się na piknik w lesie, porastającym dorzecze Tonto w po-bliżu jeziora Apache i nikt już ich więcej nie widział. Ze-społy poszukiwawcze tropią tę trójkę od dwu dni. Dzięki Bogu, że mamy lato. To bardzo zwiększa szanse przżycia.

- Nie, nie oglądałem telewizji. - Sara nie miała odbior-nika. - Czy Sara udała się bezpośrednio nad jezioro Apa-che?

- Tak, miała się spotkać z Chavezem na postoj.

- Może mi pani podać jego numer telefonu?

- Oczywiście, ale trudno go złapać. W sytuacjach wyjąt-

kowych zazwyczaj jest na szlaku albo na wodzie z zespo-łem ratowniczym.

- Będę próbował. - Zapisał numer. - Dzięki. Sara skontaktuje się z panią w sprawie mojej

darowizny. - Rozłączył się i zadzwonił do Margaret. - Porozum się z biurem szeryfa Maricopy i sprawdź sierżanta Richarda Chaveza. Upewnij się, czy aby na pewno jest uczciwy. Potem przekaz mi wszelkie informacje na temat poszukiwań na jeziorze Apache.

- Już się robi. Odłożył słuchawkę.

Maggie ciągle wyła. Może ją bolało. Poszedł na werandę i sprawdził bandaż. Był świeżo założony, Sara musiała go zmienić tuż przed wyjściem. Maggie chapsnęła i ledwo uszedł jej potężnym szczęką.

- Nic na to nie poradzę, do cholery. To nie ja ich wysłałem. Obrzuciła go wściekłym spojrzeniem, po czym uniosła głowę i zawyła.

Podniósł się na nogi, gdy zadzwonił telefon.

- Chavez sprawdzony. Jest w patrolu od piętnastu lat i zebrał górę pochwał. Pracuje nad sprawą jeziora Apache. Jeszcze coś?

- Na razie nie. - Odłożył słuchawkę i opadł na fotel, Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Była to ważna sprawa, Chavez został prześwietlony, Sarę śledził tylko Smith.

A niech to diabli. Już sam fakt, że Sara nie obudziła go, by powiedzieć, że wyjeżdża, był znamieny. Podkreśliła w ten sposób swoją niezależność i delikatnie zagrała mu na nosie. W głębi duszy spodziewał się takiej reakcji i nie mógł jej zlekceważyć. Co ma teraz zrobić? Wydawało się, że wszystko jest w porządku, a Sara jedynie wykonuje swoją pracę. Gdyby ruszył za nią, mogłaby zarzucić mu, że narusza jej wolność.

Maggie zawyła.

I prosiła, żeby się zajął Maggie. Nie może zostawić wilczycy samej ani też pod opieką kogoś, komu Maggie nie ufa. Każde inne postępowanie zaprzepaściłoby wszystko, co zyskał zeszłej nocy. Maggie znowu zawyła.

Jemu też chciało się wyc - z bezradności, gniewu i paniki. Pod gładką powierzchnią mogą kryć się niesłychane draństwa. Nie znał Smitha. Czy jest to agent wystarczająco bystry? A zadanie, która miała wykonać Sara, kryło dla Logana zbyt wiele tajemnic.

Co to są, do diabła, poszukiwania wodne?!

Śledzono ją.

Sara jeszcze raz zerknęła w tylne lustro. Czarna toyota SUV. Był to ten sam samochód, który zauważyła za sobą parę kilometrów po wyjeździe z domku. Wóz się zbliżał. Zaciśnęła ręce na kierownicy.

Przejeżdżała przez ostatnie małe miasteczko, by skręcić w tę wijącą się drogę do jeziora. Czas uwolnić się od SUV!, nim znajdzie się w bardziej opustoszałej okolicy. Zatrzymała się przed ruchliwą stacją Texaco i wysiadła z samochodu.

- Zostań, Monty.

Zrobiła sześć kroków z powrotem w kierunku szosy, dokładnie naprzeciwko strumienia samochodów. SUV zatrzymał się z piskiem opon zaledwie parę metrów przed nią.

- Jezus. - Z okienka wychylił głowę mężczyzna o kasztanowych włosach. - Omal pani nie przejechałem.

Przez ramię spojrzała na stację. Wystarczająco przyciągnęła uwagę. Kilku kierowców przestało tankować benzynę, by się im przyjrzeć.

- Kto omal mnie nie przejechał? - Podeszła do boku samochodu. - Kim pan jest? I dlaczego mnie pan śledził?

- Nie śledziłem pani. Po prostu ... - Urwał i uśmiechnął się. - No dobrze, nakryła mnie pani. Jestem Henry Smith. Franklin wysłał mnie za panią, gdy opuściła pani domek. - A kto wynajmuje Franklina?

- Galen. A któż by inny? - Zerknął przez ramię. - Czy mogę wjechać na stację?

- Inne samochody mogą nas objechać. To zajmie tylko minutkę. Niech pan zadzwoni do Galena. Chcę z nim porozmawiać.

Nakręcił numer i wręczył jej słuchawkę, gdy Galen odebrał.

- Galen, znasz niejakiego Henry'ego Smitha?

- Saro?
- Henry Smith - czy go znasz i jak wygląda.
- Tak - odparł żwawo. - Trzydzieści parę lat, brązowe oczy, kasztanowe włosy, nieduża blizna w zagłębieniu gardła. Gdybyś miała wątpliwości, zapytaj go, skąd mu się wzięła ta blizna. To było w San Salvadorze. Rzeczywiście miał w dole gardła małą, okrągłą, białą bliznę•
- Skąd ma pan tę bliznę?
- San Salvador, 1994.
- To on. Dzięki, Galen.
- Saro, co ty robisz? Logan zadzwonił do mnie i powiedział...
- Robię swoją robotę. - Rozłączyła się i oddała telefon Smithowi. - Przepraszam. Właściwie spodziewałam się, że ktoś z was będzie mnie śledził. Nie przywiązuję dużej wagi do tego zagrożenia, którego Logan jest taki pewny, ale chyba jakichś środków ostrożności trzeba w związku z tym przestrzegać.
- Nie ma sprawy. Cieszy mnie, że ma się pani na baczności. Ale mogłaby nas pani uprzedzić o wyprawie nad jezioro Apache.
- A skąd pan o tym wiedział?
- Logan. Zadzwonił do Franklina i powiedział, dokąd się pani wybiera. Poczowała ulgę, że Logan nie pojawił się osobiście. Najwyraźniej poważnie potraktował jej słowa.
- Mam się spotkać z sierżantem Chavezem na postoju przy jeziorze. Jeśli chce pan mieć na mnie oko, proszę nie wchodzić mi w drogę i pozwolić spokojnie pracować. Dotknął czoła, salutując niedbale.
- Nawet nie będzie pani wiedziała, że jestem w pobliżu.
- Nie musi się pan posuwać aż do tego. - Odwróciła się i ruszyła z powrotem do swego samochodu.
- Po prostu niech mi pan nie wchodzi w drogę.

- Pani Patrick? Jestem Richard Chavez. - Mężczyzna w brązowym mundurze policyjnym Maricopy wysiadł z wozu patrolowego tahoe z napędem na cztery koła, gdy Sara do niego podchodziła. - Dziękujemy za przybycie. - Wręczył jej swoją odznakę i identyfikator, rzucając okiem na Monty'ego. - Jak się masz? Wiele o tobie słyszałem. Helen powiada, że jesteś cudownym psem. Mogę go pogłaskać?
- Jasne. - Sprawdziła identyfikator, zerknęła na identyczny w wozie patrolowym, po czym zwróciła odznakę. - Ale najpierw niech rozprostuje nogi. Przejechaliśmy kawał drogi. Biegnij, Monty. Wyskoczył z dżipa i popędził wokół parkingu.
- Cudo, nie pies. - Chavez pobiegł za nim spojrzeniem pełnym podziwu. - Trzymam kundla, którego wzięłem ze schroniska. To suka, ma charakter, ale nie jest królową piękności. Ale i tak nie zamieniłbym jej na żadnego innego psa.
- Pewnie, wszyscy twierdzą, że kundle są najmądrzejsze. Chciałabym, żeby więcej ludzi brało je ze schronisk. - Spojrzała na las, rozciągający się poza terenami rekreacyjnymi. - Kiedy ostatnio widziano dzieci?
- Przed trzema dniami. Rozbili tu obóz. Josh No1den zadzwonił do swego ojca na komórkę, by mu powiedzieć, że wrócą przed północą. Nikt się nie pokazał. Natrafiliśmy na ich obóz jakieś piętnaście kilometrów stąd, ale dzieciaków w nim nie było. - Potarł kark. - Wczoraj późnym wieczorem znaleźliśmy ślady opon tuż za tymi sosnami koło jeziora.
- Uważa pan, że samochód mógł spaść do jeziora?
- Nie wiemy. W Bogu nadzieja, że nie. Ale zbrocze tu jest strome, a dna nie widać. Jeżeli zjechali z brzegu, mogli ześlizgnąć się do wody.
- Czy w takim razie na zboczu nie byłoby śladów opon? Potrząsnął głową.
- Jest z łupku ilastego.

- Wysłał pan nurków?
- Jeszcze nie. Zaczekam, aż będziemy mieli więcej przesłanek. - Skrzywił się. - Poszukiwania w wodzie mogą za-jąć całe dni i tygodnie.

- Wiem. - I stają się koszmarem dla znajomych i rodzin ofiar. - Gdzie są ślady opon?
- Zabiorę tam panią. To jakieś półtora kilometra przez las do jeziora. Mam motorówkę, przycumowaną niedaleko od miejsca, w którym ostatni raz widzieliśmy ślady.

Założyła pas z niezbędnymi przyborami. - Monty.

Przypędził do niej, a ona wzięła go na smycz. - Czas wziąć się do roboty, chłopie.

- Potrzebuje pani smyczy? Wygląda na bardzo posłusznego.

- I jest. Ale może wyskoczyć z łódki i próbować ratować rozbitków, jeżeli ich zobaczy.

- Nawet jeśli nie żyją?

- Monty nie poddaje się. Jest optymistą. Nie chce w to wierzyć.

Chaves westchnął.

- Ja też. Te dzieciaki mają zaledwie szesnaście i siedemnaście lat. Syn Noddena jest wzorowym uczniem, w przyszłym roku wybiera się na studia na najlepszy uniwersytet. Jenny Denkins jest w tym samym liceum, co moja córka. Znają się.

- Niech mi pan o nich nie opowiada. - To wprawiało ją w rozpacz. - Wystarczająco ciężko jest szukać obcego. Jeszcze gorzej, gdy w głowie ma się obraz zaginionego.

Spojrzał na nią ze zrozumieniem.

- Pani i Monty macie ze sobą wiele wspólnego. Pani też pewnie wskoczyłaby do wody, gdybyśmy znaleźli ciała.

- Teraz już nie. Gdy zaczynałam poszukiwania w wodzie, to mnie kusiło. Jest coś strasznego w śmierci pod wodą. Człowiek pragnie wynieść ciała z tej ciemności.

- Teraz już się pani przeciw temu opancerzyła?

- Nie, ale muszę panować nad sobą ze względu na Monty'ego. Moje zadanie polega na tym, żeby ich znaleźć. Kto inny wyniesie ich na powierzchnię.

- Na przykład ja.

- Na przykład. Ale mnie już wtedy tu nie będzie. Zabieram Monty'ego do domu, gdy tylko zlokalizujemy ... Co się stało?

Chaves z zatrzymał się i zerknął za siebie. Wzruszył ramionami.

- Nic. Ciarki przeszły mi po grzbiecie.

- Co?!

- Czuję dziwne mrowienie. - Omiótł wzrokiem okoliczne drzewa. - Jakby ktoś się nam przyglądał.

Spojrzała uważnie na drzewa. Niczego nie dojrzała i, w przeciwieństwie do Chaveza, nie wyczuwała nic groźnego.

- Przepraszam. To pewnie nic takiego. - Potrząsnął głową. - Tam w górach są niedźwiedzie. Chętnie włóczą się w pobliżu postojów i podbierają żywność z koszy na śmieci.

Bardziej prawdopodobne, że to Henry Smith dotrzywał obietnicy, by nie pokazywać się jej na oczy.

- Może to być mój znajomy, który przyjechał za mną aż tutaj. Powiedziałam mu, żeby mi nie przeszkadzał.

- Ktoś za panią szedł? Dlaczego?

- Jest troszkę zbyt opiekuńczy. Zresztą to długa opowieść i mało interesująca.

- Dla mnie, owszem. - Przybrał poważny wyraz twarzy. - Powinna pani uważać na osoby, które za panią chodzą. Mnóstwo kobiet odkrywa, że mężczyzna zbyt opiekuńczy w istocie na nie czyha.

- Nie przejmuję się tym. - Pora zmienić temat. Widziała, że Chavez sam robi się nazbyt opiekuńczy. Weszli na szczyt wzgórza, przed nimi rozciągało się jezioro. - Piękne. Już prawie

zapomniałam ...

- Była tu pani kiedyś?

- Przed laty. Dziadek mnie przywiózł. Uwielbiał te

okolice. - Spojrzała na błękitne jezioro. To nieprawdopodobne, by tak spokojne, błogie piękno skrywało dziecięce ciała. Ta myśl była niewiarygodnie smutna. Zrób po prostu, co do Ciebie należy i zabieraj się stąd. - Gdzie jest łódka?

Chavez wskazał na miejsce w dole zbocza, kilka kilometrów od punktu, w którym stali.

- Tu wytropiliśmy ostatnie ślady. Ale łupek staje się tutaj twardszy i mogli jechać jeszcze przez parę mil. - Zaczął schodzić ze stoku, po czym wyciągnął do niej rękę. - Proszę się o mnie oprzeć. Jest ślisko.

Dłoń miała ciepłą i mocną, toteż chętnie ją ujęła. Ciągle jeszcze czuła lekki dreszcz od pierwszego spojrzenia na jezioro, toteż przyjemnie było znaleźć w kimś wsparcie. Zerknęła przez ramię, lecz nie widziała śladu samochodu przejeżdżającego między skałami. Rozumiała, jakie trudność ci piętą się przed Chavezem, próbującym ustalić, w którym miejscu samochód wpadł do wody.

- Słyszała pani coś? - Spojrzenie Chavez'a powędrowało za jej wzrokiem.

- Nie, patrzyłam tylko na łupek. Ani śladu niedźwiedzia - dodała prowokacyjnie.

- Wydawało mi się, że słyszałam ... To musiały być nasze kroki. Ten łupek jest cholernie głośny. - Chavez pomógł jej wejść do motorówki, a Monty wskoczył tuż za nią. - Gdzie chce pani zacząć?

- Pan mi to powie. - Pobiegnęła spojrzeniem do punktu na najdalszym końcu jeziora. Ledwo rozróżniła kilka wozów patrolowych z autostrady i paru przeszukujących okolicę policjantów. - Czy to pańscy ludzie?

- Owszem. - Machnął ręką do jednego z funkcjonariuszy, który zrobił to samo w odpowiedzi. - Rodzice też tu są. Cieszę się, że znajdujemy się od nich spory kawał. Uprzedziłem chłopaków, by trzymali ich z daleka od jeziora, żeby pani nie zauważyli. I tak nie wiedzą, co pani robi tutaj z Montym. Niewielu ludzi słyszało o psach, które potrafią odnajdować trupy pod wodą.

- Ciała, nie trupy. Nie znoszę tego słowa. Odbiera im ludzki wymiar. - Przysłoniła oczy. - W którym miejscu samochód mógł wpaść do wody?

- Zależy, jak szybko jechał. - Wskazał na wzgórze, odległe o kilka mil. - Jeżeli podskoczył i spadł z tamtego stoku przy dużej szybkości, mógł wylądować w wodzie na odległość piętnastu, dwudziestu metrów. Jeśli wpadł do wody tutaj, może znajdować się tuż pod nami.

- Nie może być tuż pod nami, bo Monty powiedziałby mi. - Usadowiła się wygodnie w łodzi. - Ale zaczniemy tuż przy brzegu.

Rozdział dwunasty

Czas, żeby się tam wybrać. - Logan wyszedł z domku, gdy Galen zaparkował przed frontowymi drzwiami. - Pośpiesz się. Potrzebuję samochodu, który wynajmujesz.

- Nie było mnie dokładnie dwie i pół godziny - rzekł.

Galen, wysiadając. - Co jest niezwykle, biorąc pod uwagę, że kiedy zadzwoniłeś, siedziałem w Dodsworth. Doprawdy, Logan, nie możesz włóczyć mnie po całym kraju, jeśli chcesz, żebym znalazł Rudzaka.

- To ważna sprawa.

- Wiesz, nic jej nie jest. Mówiłem ci, że zadzwoniła, żebym zweryfikował tożsamość Henry'ego Smitha. Ona nie jest głupia, a Smith będzie jej pilnował.

Logan usiadł na fotelu kierowcy. - Chcę sam pojechać.

- Więc dlaczego nie pojechałeś? Czemu mnie tu ścigałeś?

Włączył silnik.

- Maggie.

- Maggie?

- Wilczyca. Sara chce, żeby się nią zajął ktoś, komu ufa.

- Więc mam niańczyć wilczyce? Tego nie było w umowie o pracę.

- Nie dostałeś żadnej umowy o pracę. A gdybyś dostał, byłaby mocno okrojona. Maggie jest na werandzie od tyłu. Niedawno zmieniłem jej bandaż, a gdybym nie wrócił za parę godzin, sprawdź go znowu.

- Lepiej wróć. Nie przepadam za ... Logana już nie było.

Galen potrząsnął głową, patrząc, jak znikają tylne światła samochodu szefa. Odjazd w panice z rykiem silnika, gdy nie rysowało się żadne wyraźne niebezpieczeństwo, zupełnie nie był w stylu Logana. Ale też Rudzak stanowił wyjątek od wszelkich Loganowych reguł. Od tego czasu z Chen

...

Galen poderwał się, gdy ciszę przeszło przenikliwe WYCIE.

- Jezus. - Odwrócił się i wszedł do domku. Weranda od tyłu, powiedział Logan.

Maggie uniosła głowę i warknęła, gdy pojawił się w drzwiach. W co też, do cholery, Logan go wpakował? Zmienić bandaż? Wilczyca nie dopuści go blisko siebie. Musi znaleźć jakiś sposób.

- Jak się masz? - Podchodził ku niej z wolna. - Ależ jesteś piękna. Musimy zostać najlepszymi przyjaciółmi. - Maggie nie spuszczała zeń wrogiego spojrzenia. - Nie mam do ciebie pretensji, że mi nie ufasz. Ja też nie ufam wielu ludziom. - Usiadł niedaleko od niej i założył nogę na nogę. - Ale chyba jesteśmy do siebie bardzo podobni. A więc posiedzę tu i chwilę z tobą pogawędzę.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca rzucały purpurowe blaski na jezioro, lecz Mont y nie natrafił jeszcze na żaden ślad.

- Czy ma znowu zejść na brzeg? - zapytał Chavez.

- Chyba nie. - Mont y był tak skupiony na poszukiwaniach w wodzie, że musiał często robić przerwy, by się nie wypalić. - Tropi dopiero od czterdziestu minut.

- Wydaje mi się, że minęło więcej czasu.

Jej też się tak wydawało. Minuty ciągnęły się, w miarę jak narastało napięcie.

- A może powinniśmy wrócić i zacząć znowu jutro? - zapytał Chavez.

- Nie, dopóki nie przeszukamy całego terenu. Ciemność nie przeszkadza Monty'emu.

- Miałem nadzieję, że pani to powie. Po powrocie chcę powiedzieć rodzicom, że przeszukaliśmy cały teren, niestety bez rezultatu. - Skierował łódkę w głąb jeziora. - Zostanę tak długo, jak pani będzie sobie życzyła. Ale czy jest pani pewna, że Mont y potrafi wyczuć obecność ofiary pod wodą?

- Absolutnie - odparła krótko. - A skoro uważa pan, że Mont y nie da sobie rady, to po co pan mnie tu ściągał?

- Proszę o wybaczenie. - Uniósł do góry obie ręce.! Nie znam się za bardzo na ratowaniu topielców. Po prostu chciałem zrobić wszystko, co się da, ze względu na rodziców.

- Wiem. - Potarła kark. - Chyba jestem trochę spięta.

Może nie ma ich w jeziorze. Boże drogi, przynajmniej mam taką nadzieję.

- Ale jeśli są, czy Mont y ich odnajdzie? Jak on to robi?

- Ciało tonącego uwalnia niewidoczne cząsteczki skóry.

Wydzielają one parę, olejki i gazy lżejsze od wody, które unoszą się na powierzchnię z każdej głębokości. Z chwilą gdy wydobędą się na powietrze, tworzą najwęższy punkt rozszerzającego się stożka węchowego. Mont y rozpozna stożek i prześledzi go z powrotem aż do miejsca największego skupienia.

- Niewiarygodne.

- To kwestia wykszolenia. Razem z Montym spędziliśmy całe lato na nauce odnajdywania topielców. Byliśmy oboje przesiąknięci wodą, zanim to opanowaliśmy. - Pogłaskała Monty'ego po głowie. - Jest niesamowity. Potrafi wywęszyć trop czterdzieści cztery razy lepiej niż człowiek, a wrażliwość na poszczególne cząsteczki może mieć tysiące razy większą.

- To rzeczywiście niesłychane. A zatem, jeśli nie zwieździ tropu, możemy założyć, że ich tu nie ma?

Potrząsnęła głową.

- Gęste algi mogą zatrzymać zapach, podobnie jak warstwy zimnej wody. Czasami przeszkodę stanowią inne czynniki, ale Mont y zdołał umiejscowić ...

Mont y szczechnął.

- Jasna cholera. - Nie ma co się dłużej łudzić, że nasto-latki są bezpieczne.
Mont y ze zwieszoną głową zaczął w łodzi biegać tam i z powrotem, wskazując na wodę.
- Znalazł coś. - Zacisnęła rękę na smyczy. - Niech pan zgasi motor i pozwoli łódce dryfować. - Gdy Chavez usłu-chał, usiadła nieruchomo, obserwując. Mont y okazywał podniecenie, ale nie znalazł jeszcze jego źródła. - Niech pan zapuści motor, ale na bardzo niskich obrotach. Płynmy najpierw w prawo, a potem w lewo.
Gdy skręcili w lewo i przepłynęli parę jardów, Mont y oszalał. Wrywał się ze smyczy, próbując łapami i zębami dosięgnąć wody.
- Tutaj. - Przelknęła ślinę, by ulżyć ściśniętemu nagle gardłu. - Niech pan rzuci boję, by oznaczyć to miejsce.
Oznaczyć miejsce. Oznaczyć to miejsce, by rodzice odna-leźli swe dzieci. Ostatnio wydawało się jej, że zawsze po prostu musiała oznaczyć miejsce i ruszać dalej.
- Nic pani nie jest?
Oderwała wzrok od żółtej boi, unoszącej się na wodzie i spojrzała na Chaveza, wpatrującego się w nią ze współczu-Ciem.
- Wszystko w porządku. - Uśmiechnęła się krzywo. -Nie, udaję. Miałam nadzieję, że niczego nie znajdę. Zabie-rajmy się stąd. Nie mogę utrzymać Monty'ego.
- Ostrzegала mnie pani, że będzie usiłował wskoczyć do wody. - Zapuścił motor. - Może pomóc?
- Nie. Gdy tylko minie podniecenie, zda sobie sprawę, że nie żyją i nie zdoła im pomóc.
I ona też nie.
- To nie muszą być dzieci - rzekł Chavez. - Czy nie mogło utonąć tam zwierzę albo ...
- Nie, Mont y rozpoznaje różnicę. Wyczuł przynajmniej jednego człowieka.
Mont y przestał szarpać smycz i spoglądał na miejsce, oznakowane boją.
Ratować.
- Nie możesz ich uratować, chłopie.
Już zaczynał zdawać sobie sprawę, że ich nie uratuje, a ona wyczuwała jego smutek.
Pomóc.
- Już pomogłeś.
Mont y uniósł głowę i zawył żałośnie.
Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Słyszała jak szczeka, nawet skomli, ale nigdy nie wydał z siebie tak dziwaczne-go dźwięku.
Czyżby to wpływ Maggie? Znowu zawył.
- Chryste - mruknął Chavez. - Ciarki mnie przechodzą.
- Jest zdenerwowany. - Poglaskała go po głowie. - Zaraz wróci do siebie.
- Przepraszam - rzekł Chavez ze zboląłą miną. - Niech sobie wyje. Mamy wobec niego wielki dług.
- Przekonamy się o tym, gdy ściągniecie nurków.
- Zaraz zadzwonię. - Chavez zgasił motor, gdy zbliżali się do brzegu. Wyskoczył z łódki i dociągnął ją na mie-liznę. - Chociaż może powiem im, żeby raczej rozpoczęli pracę jutro. Mamy już wieczór, a odnalezienie wraka pod wodą jest niebezpieczne nawet za dnia.
- Czy zawiadomi pan dzisiaj rodziców? Potrząsnął głową, pomagając jej wysiąść z łódki.
- Niech mają nadzieję chociaż przez jeszcze jedną noc.
A nuż Mont y się pomylił? Może ten nos za milion dolarów złapał katar albo inne choróbsko?
- Miejmy nadzieję, że ma pan rację. - Przygryzała dolną wargę, popędzając Monty'ego, by wyszedł z łodzi. Podwi-nął ogon między nogi, położył się na brzegu i wbił wzrok w wodę. Nie wróżyło to nic dobrego. Przez cały czas Sara musiała pilnować, by Mont y nie wpadł w głęboką depresję, która nieraz trwała całymi tygodniami. Dziewczyna od-wróciła się do Chaveza. - Mógłby mi pan oddać przysługę?
Spojrzał na nią pytająco.
- Niech się pan ukryje w lesie.

- Co takiego?
- Niech się pan ukryje i pozwól Monty'emu, by pana odnalazł.
- Nie mam czasu na zabawy. Muszę wracać i złożyć raport.
- Proszę tylko o dziesięć minut. Bardzo pomógłby pan Monty'emu. To forma terapii. Pies ratowniczy wpada w straszliwą depresję, gdy znajduje same zwłoki. Monty musi wytropić kogoś żywego.
- Nie mogę marnować ... - Spojrzał na Monty'ego. - Biedny kundel.
- Tylko dziesięć minut.
- Niech będzie. - Wyjął telefon. - Znajdując się w kryjówce, mogę chyba złożyć wstępny raport. - Skrzywił się. - Ale już na pewno nikomu nie powiem, że bawię się w chowanego z goldenem retrieverem. Potrzebna mu będzie jakaś moja rzecz do powąchania?
- Wystarczy czapka. Dam panu pięciominutowe fory. Po prostu niech się pan ukryje gdzieś w lesie. Ale proszę mu zbytnio nie ułatwiać zadania.
Zdjął czarną czapkę i wręczył ją Sarze. - Dziesięć minut.
- Tak jest. Dziękuję, sierżancie.
- Nie ma sprawy. - Uśmiechnął się. - Nie chcemy, żeby miał problemy psychiczne. - Zaczął wchodzić po zboczu. - Jezus, co ja opowiadam?
Patrzyła, jak jego niewyraźna sylwetka znika w ciemności. Fajny facet. Ułatwiał poszukiwania, jak mógł, i niewielu policjantów zadałoby sobie specjalny trud, by dogodzić psu.
Monty zaskomlał ze wzrokiem ciągle utkwionym w wodzie ..
Uklękła przy nim i objęła go za szyję.
- Wszystko będzie dobrze. Odwaliłeś dziś kawał roboty.
Za parę minut jeszcze kogoś znajdziemy, a potem pojedziemy do domu. Zobaczysz się z Maggie. Nie cieszysz się?
Monty wsunął łeb w jej ramię. Przynajmniej nie wpatrywał się już w wodę. Podetknęła mu pod nos czapkę Chaveza. - Powąchaj. Zgubił się. Niebawem będziemy musieli go szukać.
Martwy?
- Nie, żyje. Tylko się zgubił.
Sama poczuła się naraz nieco zagubiona. Zagubiona, zniechęcona i samotna. Chciała wrócić do swego domku, zobaczyć Maggie, a potem skulić się przy Loganie i odgrodzić od całego świata. Logan. Przez całe popołudnie usiłowała odpędzać myśli o nim. Jedynie od czasu do czasu przenikało ją wspomnienie zeszłej nocy. Lecz teraz może rozmyślać o kochanku bez szkody dla siebie, potrzebowała wręcz ciepła i namiętności mężczyzny, by otrząsnąć się ze świadomości, że te nieszczęsne dzieciaki...

Przestań o nich myśleć. Zajmij się Montym, a potem odjedź, wracaj do domu, do Logana. Wstała i z podręcznego pasa wyjęła latarkę.
- Powąchaj jeszcze raz. - Spuściła Monty'ego ze smyczy i przesunęła czapkę pod jego nos. - Znajdź.
Puścił się pędem w górę, w kierunku drogi.
Dogoniła go po paru minutach w głębi lasu, gdy przystanął, by węszyć w powietrzu. Drżał, podniecony, całą swą istotą skupiony na czekającym go zadaniu.
To dobrze. Tego ci potrzeba. Zapomnij o śmierci. Znajdź życie. Wyciągnęła czapkę, lecz nie zwrócił na nią uwagi, obrócił się i pomknął na południe. Schwycił stożek.
Ruszyła za nim, blaskiem latarki przeszywając tonący w ciemności las.
Krzaki.
Okrążyła je, lecz jedna gałąź zaczepiła ją za ramię. Sękaty, zwalony pień.
Przeskocz go.
Grunt po drugiej stronie kłody był błotnisty, toteż poślizgnęła się. Odzyskała równowagę, po czym

pobiegła dalej.

Widziała przed sobą Monty'ego, wyciągniętego w szalonym pędzie ku wyrastającemu przed nim wzgórzu. Dobiegł na szczyt i przystanął z uniesioną głową, jego sylwetka rysowała się wyraźnie na tle nocnego nieba. Odwrócił się do Sary i zaszczekał.

Mamy cię, Chavez.

Po chwili Monty zniknął, by przedrzeć się przez drugą stronę wzgórza.

Sara przystanęła na chwilę, chwytając oddech. Mogła sobie pozwolić na minutę odpoczynku, nim zejdzie pochwalić Monty'ego. Będzie tak dumny i szczęśliwy, że być może zapomni o ...

Ktoś stał za nią. Obróciła się. Nikogo.

Nic.

Ale czuła czyjąś obecność.

Ktoś nas obserwuje - powiedział Chavez.

Roześmiała się i zażartowała, że to niedźwiedź. Teraz nie było jej do śmiechu. Włoski zjeżyły się jej na karku.

- Smith? - To musiał być Henry Smith. Powiedział, że będzie miał na nią oko.

Zadnej odpowiedzi.

Zacisnęła rękę na latarce i zmusiła się, by promieniem powoli omieść teren. Drzewa, krzaki, głązy. Tyle kryjówek. Każdy mógłby ...

Monty zawył.

Odnalazł Chaveza. Ogarnęła ją fala ulgi. Nie była sama.

Miała Monty'ego i Chaveza. Pomknęła na szczyt wzgórza, a potem na dół, po drugiej stronie.

Widziała teraz Monty'ego. Siedział obok stosu otoczaków z uniesioną głową. Chavez musi być za ...

Monty znowu zawył.

Przystanęła tak nagle, że nią zarzuciło. Coś tu jest nie w porządku. Gdy Monty znajdował poszukiwanego, zawsze szszekał i biegł do niej. Nie powinien tu siedzieć i wyć.

Z wolna posuwała się naprzód, kierując promień latarki na otoczaki.

- Monty?

Nie poruszył się. Wzrok miał utkwiony w czymś ukrytym za głazami.

- Sierżancie? Znalazł pana. Może pan już wyjść ... Wtedy go ujrzała.

Ciało w mundurze spoczywało twarzą do ziemi. Z pleców sterczał trzonek noża.

Monty przysunął się do niej bliżej. Pomóż.

Uświadomiła sobie, że nie może pomóc Chavezowi. Zrobiło się jej niedobrze ze zdenerwowania.

Nóż przeszył mu ciało, przybijając go do ziemi. Kto mógł...

Z tyłu na ścieżce trzasnęła gałązka. Serce skoczyło Sarze do gardła. Ktoś nas obserwuje.

- Monty! - Pędem zbiegła ze wzgórza, mijając otoczaki. -

Monty, do nogi!

Za sobą usłyszała tupot mknących stóp.

Nóż. Nóż w plecach. Nóż przeszywający ciało. Jej jedyną bronią była latarka.

Monty gnał ścieżką przed Sarą.

Dusząca ciemność. Dokąd tak goni?

„Nieważne. Podążaj za Montym.

Kroki dudniące tuż za nią. Szybciej. Biegnij szybciej.

Przed nią przerwa między drzewami. Dostrzegła światło. Postój. Poczwała falę ulgi, gdy Monty przystanął i patrzył

na nią, czekając, aż go dogoni.

- Idź. - Ostatnim wysiłkiem śmignęła na wylany betonem plac.

Znajomy samochód zaparkowany był przed budynkiem. Samochód Henry'ego Smitha, a on sam siedział za kierownicą.

Bogu dzięki.

Biegnąc do samochodu Smitha, zerknęła za siebie. Nikogo.

Ale ktoś tam był. Wiedziała. Wyczuwała to.
Zabębniła pięścią w szybę samochodu, podczas gdy
Mónty, podniecony, krążył obok niej.
Smith ani na nią nie spojrział. Dlaczego, do diabła ... Bo w jego skroni widniała mała, okrągła
dziurka. Odsunęła się od samochodu.
Nie żyje. Nie żyje. Nie żyje.
Smith nie żyje. Chave z nie żyje.
A ktoś tam czai się w lesie, obserwując, podchodząc co-róż bliżej.
- Saro.
Obróciła się na pięcie i rzuciła latarką w idącego ku niej mężczyznę•
Logan chrząknął, gdy latarka uderzyła go w pierś. - Do diabła, to boli. Nie mogłaś ...
- Logan. - Rzuciła mu się w ramiona. - Nie żyją. Oni
VA

Odwróciła wzrok, lecz mimo wszystko słyszała szmer głosów funkcjonariuszy, klękających przy ciele Chaveza.

- Saro. - Logan znowu był przy niej. - Porucznik Carmichael chce z tobą pomówić.

- Dlaczego miałabym ...

- Po prostu chodź ze mną, dobrze?

- Nie, wcale nie jest dobrze. - Ale ruszyła w stronę otoczek. - Monty, zostań tu.

- Idź po skałach, żebyś nie zatarła ...

- Wiem. - Stała obok ciała Chaveza, wpatrując się w porucznika Carmichaela. - Chciał pan ze mną rozmawiać?

- Nie możemy ruszyć ciała, ale głowę ma przekreconą na bok. - Wskazał gestem, by ukłękła obok niego. - Niech mu się pam przyjrzy.

Nie chciała mu się przyglądać, ale i tak skierowała na niego wzrok. Oczy i usta miał otwarte.

Śmierć musiała przyjść nagle i...

Zesztywniała, wstrząśnięta.

- To nie jest Chavez.

- Jest pani pewna?

- Oczywiście, że jestem pewna. - Wpatrzyła się w grube rysy zmarłego. - To nie Chavez.

- Dziękuję. - Skinął na Logana, który pomógł jej podnieść się na 'nogi. - Niech pan ją teraz zabierze na postój. Ale nie odjeżdżajcie, póki jej nie przesłuchamy.

- Chodź, Saro. - Logan delikatnie podtrzymując jej łokieć, poprowadził ją na szczyt wzgórza, gdzie czekał Monty.

- To nie Chavez. Myślałam, że posłałam go prosto w ręce tego mordercy. Ale to nie Chavez.

Logan milczał. Aż nazbyt uporczywie. - O co chodzi?

- To był Chavez, Saro.

- Nie.

- Ci policjanci go znali, pracowali z nim codziennie. To był Chavez. - Ścisnęła mocniej jej łokieć. - I nie żyje już od dawna. Widać pierwsze oznaki stężenia pośmiertnego.

- Spędziłam z Chavezem całe popołudnie. Był z... -Spojrzała na niego oszołomiona. Zacerpnęła głęboko powietrza, gdy doznała nagłego olśnienia. - Rudzak?

- Jak wyglądał?

- Wysoki, czterdzieści parę lat. Miła twarz, szare oczy, siwe włosy. - Spojrzała na niego. - Rudzak? Przynął.

- Ale ... polubiłam go.

- Wszyscy lubią Rudzaka. Umie wzbudzać sympatię jak mało kto. Jestem pewien, że Chavez też go polubił. Porucznik uważa, że Chaveza zmuszono, by zadzwonił do Helen Peabody, która miała cię skłonić do przybycia tutaj. Potem go zamordowano. Dzisiaj nikt nie widział Chaveza na posterunku po dziesiątej rano.

Potrząsnęła głową.

- Ale pomachał jednemu z policjantów na przeciwległym brzegu, a tamten policjant odpowiedział mu.

- W jakiej znajdowaliście się odległości?

Miał rację. Policjant stał zbyt daleko, by dojrzeć, że człowiek, do którego macha, nie jest Chavezem. Boże, co za bezczelność.

- Smith. Powiedziałam mu o Henrym Smisie, gdy ostrzegł mnie, że prawdopodobnie ktoś nas śledzi, ale nie mógł go zabić. Cały czas byliśmy razem na jeziorze.

- Czy korzystał z telefonu?

Zastanowiła się chwilę, po czym skinęła głową.

- Przynajmniej raz. Gdy wyszliśmy na brzeg, co robiliśmy od czasu do czasu, by dać Monty'emu chwilę wytchnienia. Myślałam, że składa raport o poszukiwaniach w dowództwie. Sądzisz, że zlecał komuś zamordowanie Smitha?

- Nie mam co do tego najmniej szych wątpliwości. Zadrzała.

- Byłam z nim sama przez całe popołudnie. Gdyby chciał mnie zabić, mógł to zrobić w każdej chwili. Więc dlaczego mnie nie wykończył? I po co udawał Chaveza?
 - Nie mam pojęcia. Bawił się w kotka i myszkę? Może wcale nie zamierzał cię zabić, a chciał tylko pokazać, że ma ku temu sposobność.
 - Tu chodzi o ciebie, prawda?
 - Chcesz powiedzieć, że to wszystko moja wina. Tak, do diabła. Myślałaś, że będę się wypierał? Nie mam pretensji, że jesteś zła.
 - Jestem zła. - Była przerażona i oszołomiona, lecz teraz do tych uczuć doszła czysta wściekłość. - A to sukinsyn. Wykorzystał mnie. I manipulował mną.
 - Rudzak zawsze chwalił się, że umie nacisnąć odpowiednie guziki.
 - A mordując tego nieszczęsnego policjanta, nacisnął właśnie odpowiedni guzik?
- Logan przytaknął.
- Musi być nienormalny.
 - Chyba nie w tym rzecz. Po prostu czegoś mu brakuje.
- Nie rozróżnia pojęcia dobra i zła w naszym rozumieniu tych słów. To, co służy Rudzakowi, jest dobre, jeśli zaś coś krzyżuje jego plany, jest złe.
- Socjopata.
 - Nie da się go tak łatwo zaklasyfikować. - Gdy doszli do postoju, zacisnął rękę na jej ramieniu, widząc, jak ekipa śledcza przeprowadza oględziny samochodu Smitha. - Może wejdziemy do środka? To niezbyt przyjemny widok.
- Miał rację. Ani ona, ani Monty nie chcieli oglądać kolejnych zwłok. Ruszyła w stronę budynku
- Jak długo będziemy musieli tu zostać?
 - Porucznik chce cię przesłuchać, ale zapytam, czy nie mógłby posłać kogoś do domku w celu uzyskania formalnego zeznania. Nie jesteś uznana za podejrzaną.
- Nawet jej to do głowy nie przyszło. - A za kogo jestem uznana?
- Za świadka. - Wzruszył ramionami. - A może ... za ofiarę.
- Przypomniała sobie strach i bezradność, które dręczyły ją, gdy biegła przez las. Czuliła się wówczas jak ofiara i to wspomnienie napełniło ją gniewem.
- Ofiara?! Akurat!

Pozwolono im opuścić posterunek dopiero po czterech godzinach, a wówczas Sara była już niemal tak samo wykończona jak Monty.

- Ja poprowadzę - rzekł Logan, wsiadając do jej dzipa. - Ty odpoczywaj.
 - Dam sobie radę. Masz przecież własny samochód, który musisz ...
 - To wypożyczony samochód Galena. Załatwi, żeby go odebrali. - Zapuścił motor. - Przestań dyskutować i wsia-daj. Jestem teraz w lepszym stanie psychicznym niż ty. Nie chcesz chyba rozwalić się na tej koszarnej drodze i zranić Monty'ego.
- Zawahała się, po czym usiadła na fotelu pasażera.
- Jedyne argumenty nie do odparcia - mruknął. - Usiądź się wygodnie i zamknij oczy.
- Ale nie chciała zamykać oczu. Była odrętwiała z wyczerpania, lecz jej umysł nadal pracował. Skupiła wzrok na krętej drodze, po której dzipa z wolna pełznął w górę zbocza.
- Skąd masz wypożyczony samochód Galena?
 - Zadzwoniłem do niego, żeby przyjechał i zaopiekował się wilczycą, a ja wzięłem jego samochód.
 - Galen jest na ranczu? - Wydarzyło się tyle spraw, że zapomniała o Maggie. - Nie powinieneś zostawiać Maggie. Mówiłam ci, żebyś się zajął...
 - Zamknij się - powiedział szorstko. - Nie było mowy, że bym za tobą nie pojechał. A wiesz, że Galen potrafi za-dbać o Maggie.
- Tak, Galen umie zrobić wszystko, co chce. - Chyba nic jej nie będzie.
- Jeżeli coś się stanie, to prędzej tobie niż jej. Ona ma silny instynkt samozachowawczy.
 - Ale też wpadła w zasadzkę, jak ja z Rudzakiem. Wie-dział, że będę próbowała znaleźć te

dzieciaki.

- A jeśli dostaniesz następny telefon od Helen Peabody, znowu cię gdzieś poniesie.

- Tak.

Logan mruknął przekleństwo pod nosem. - Głupota.

- To wcale nie była głupota - odparła, urażona. - Zostałam wezwana do pracy i wydawało się, że poszukiwanie jest prawnie uzasadnione. Skąd mogłam wiedzieć, że Rudzak wykorzysta zniknięcie tych dzieci, by zastawić pułapkę? Musiał zaplanować to wszystko wcześniej z Chavezem, telefon od He ... O Boże! - Przymknęła oczy. - Dzieci.

A jeśli wcale nie wykorzystał sytuacji? - Czy mógł je zabić, Logan?!

- Tak.

Otworzyła oczy i obróciła się, by na niego spojrzeć.

- Zabiłby troje niewinnych dzieci tylko po to, żeby mnie tam zwabić?

- To bardzo prawdopodobne. Swoje posunięcia planuje bardzo precyzyjnie. Gdyby dzieci się pojawiły, zepsułyby wszystko, w co włożył tyle trudu.

- Niedobrze mi. - Znowu przed oczyma stanął jej obraz złotej boi, unoszącej się na wodzie. - Jezioro ...

- Porucznik Carmichael powiedział, że wysłała do boi ekipę nurków. Poprosiłem go, żeby do mnie zadzwonił, jeżeli coś znajdzie.

- Dzieci ... I uważasz, że nie jest szalony.

- Nie zabija dla przyjemności. Tylko wtedy, gdy jest to

dla niego korzystne. - Uśmiechnął się ponuro. - Choć ja mogę stanowić wyjątek od tej reguły. Mnie bez wątplenia zabiłby z rozkoszą.

- Mam nadzieję, że nie znajdą tych dzieci - wyszeptwała. - Jezu słodki, mam nadzieję, że nie zabił ich, żeby mnie tam ściągnąć.

Przykrył ręką jej zaciśniętą w pięść dłoń, spoczywającą na kolanie.

- Ja też mam taką nadzieję, Saro.

Telefon Logana zadzwonił, gdy znajdowali się zaledwie kilka kilometrów od rancza.

- Tak, poruczniku.

Z napięciem wpatrywała mu się w twarz, lecz nie mogła odgadnąć, co mówił mu Carmichael.

Rozłączył się.

- Nie ma śladu Rudzaka. Myślą, że uciekł.

- A dzieciaki?

- Znaleźli je pod boją. - Patrzył prosto przed siebie. - Nie wydobyli ich jeszcze z samochodu, ale nurkowie poświadają, że wszyscy troje związani byli sznurem. Poczuli się, jakby pchnięto ją nożem. - Powiedz coś.

Potrząsnęła głową. Cóż może powiedzieć? Chciałaby tylko zwinąć się w kłębek i nie mieć żadnej styczności z tym światem.

- Do diabła, przecież to nie twoja wina.

- Wiem.

- Więc nie rób takiej miny, jakbyś ...

- Mam minę taką, jaką mam, i nic nie mogę na to poradzić. - Zaciśnęła dłonie w pięści. - Czy żyli, gdy znaleźli się w wodzie? Tego nie mogą jeszcze wiedzieć, prawda?

- Nie.

- Jak można być takim okrutnikiem? Związać ich, a potem ...

- Wyobraźnia cię ponosi. To wcale nie musiało tak wyglądać.

- Ale mogło. - Oparła głowę o szybę. - Nie chcę już więcej rozmawiać o tym, Logan.

- Więc nic nie mów, ale też przestań to rozpamiętywać, do cholery.

- Spróbuję - wyszeptwała.

Zaklął pod nosem i nacisnął gaz. Po paru minutach zatrzymał się przed domkiem. Sara wyskoczyła z dżipa i ruszyła do frontowych drzwi.

- Zaczekaj chwilę. - Logan obszedł samochód. - Upuściłaś coś.
Potrząsnęła głową.
- Widziałem, że wykopsałaś coś z wozu. To musi być gdzieś na ziemi. - Ukłękł na polnej drodze.
- Co to takiego? - zapytała głucho.
- Nic. Wejź do środka.
Trzymał w dłoni jakiś przedmiot. - Co tam masz, do cholery?
- Grzebień. - Wyciągnął rękę i pokazał kunsztowne cacko z kości słoniowej i jadeitu. - Prezent od Rudzaka.
Zadrżała.
- Myślisz, że należał do któregoś z dzieci?
- Nie, to był grzebień Chen Li.
- Dlaczego Rudzak miałby ... - wpatrzyła się weń. - Spodziewałaś się, że to znajdziesz?
- Nie spodziewałem się, ale też nie jestem zdziwiony. Idź do łóżka, pogadamy o tym później.
- No, myślę. - Ale na razie nie mogła się zdobyć na nic więcej. Nerwy miała w strzępach.
Odwróciła się i weszła do środka.
- Jak się masz. - Galen wyszedł z werandy. - Już czas, żebyś wróciła do domu. - Czuję się jak ...
Strasznie wyglądasz. .
- Jestem zmęczona. Idę do łóżka. - Monty. Musi zająć się Montym. Ale Monty szedł już na werandę do Maggie. Dobranoc, Galen. - Zamknęła za sobą drzwi sypialni.
Zdjęła ubranie, wpełzła do łóżka i narzuciła na siebie przykrycia. Mętnie uświadomiła sobie, że pościel pachniała Loganem i ich zbliżeniem. Te dzieciaki nigdy nie doznają seksu ani radości życia.
- Posuń się. - Nagi Logan położył się do łóżka obok niej i wziął ją w ramiona.
- Nie chcę cię tutaj.
- Przepadło. Już mnie masz. - Musnął wargami Jej skroń. - Boże kochany, masz mnie jak w banku. A teraz odpręż się. Chcę tylko, żebyś się lepiej poczuła.
- A ja chcę tylko spać.
- I mieć koszmary? - Objął jej głowę ramieniem i wsunął ją sobie pod pachę. - Wygadaj się.
- Co mam ci powiedzieć? Ze troje dzieciaków zginęło, bo jakiś szaleniec chciał mnie wciągnąć w swoje diabelskie sidła?
- To nie twoja wina. Przecież uzgodniliśmy już, że to wszystko przeze mnie.
- Zrobiłam to, co chciał. Zanalizował mnie niczym jakiś makiaweliczny spec od czubków, a potem postanowił zabić troje niewinnych dzieci, bo dzięki temu miałam zrobić, co mi każe. I miał rację. Przybiegłam na jego gwizdnięcie.
- A co mogłaś poczuć? Poszłaś tam, żeby ... Przestań płakać. Nie, nie przestawaj. Chyba ci to dobrze zrobi. Po prostu mnie to wykańcza.
- Ja też się paskudnie czuję. Dusza boli.
- Bo się jeszcze nie wypłakałaś. Nie jesteś przyzwyczajona. Kiedy ostatni raz płakałaś? Jak umarł twój dziadek?
- Nie, obiecałam mu, że będę się trzymać. Gdy zobaczyłam Monty'ego u tego weterynarza we Włoszech.
- Powinienem się domyślić.
- Z Montym wszystko w porządku?
- Monty jest z Maggie.
- Słusznie, zapomniałam. Ale zazwyczaj wyczuwa, kiedy jestem smutna, a wtedy przychodzi i śpi koło mojego łóżka. - Temu nieszczęsnemu kundlowi szaleją hormony. Musisz zadowolić się mną.
- Cieszę się, że ma Maggie. Może zapomni przy niej o dzisiejszych wydarzeniach.
- Staramy się, żebyś ty o nich zapomniała.
- Nie powinno do tego dojść. Robię wszystko, żeby odnaleźć żywych i zadbać o godny pochówek dla zmarłych. To moja praca, sens mojego życia. A on to wykorzystał i zabił te dzieci. - Cała się trzęsła. - Wszystko wypaczył, zozydził i ...

- Ciii...

- Sam powiedziałeś mi, żebym się wygadała.

- Jeśli mówisz rozsądnie. W tobie nie ma nic pokręconego ani ohydneho. Jesteś czysta, piękna i prosta jak strzała. Możesz mi zaufać. Jestem znawcą świrów i ohydztwa. Zęby na tym zjadłem. - Potrząsnęła głową. - Nie wierzysz mi? To prawda. Robiłem takie rzeczy, że ... - Poglaskała ją po włosach. - Nie mogę ci o tym opowiadać. Ale chciała wiedzieć o nim jak najwięcej. Uświadomiła sobie, że to ważne. Gdy ujrzała Logana na postojach, poczuła, że wszystko, co go dotyczy, ma dla niej żywotne znaczenie. Gdyby umarł ... Nie chciała teraz o tym myśleć. Zbyt była skołowana i odrętwiała. Pragnęła tylko, by Logan trzymał ją w objęciach, co pomagało jej udawać, że koszmar na jeziorze Apache nigdy się nie wydarzył.

- Śpij teraz - rzekł. - Ja sobie poleżę i będę przy tobie, gdyby przyśniło ci się coś strasznego. Czy potrafi czytać w jej myślach? Czy wiedział, jaki rządkowski dar jej ofiarował? Nigdy w życiu nie miała nikogo, kto trzymałby jej koszmara na wodzy.

- Śpi? - zapytał Galen, gdy Logan wyszedł z sypialni.

- Teraz tak. Muszę wracać. Obiecałem, że przy niej zostanę.

- Wyglądała potwornie.

- Miała potworne przeżycia. - Podeszedł do zlewu i nalał sobie szklankę wody. - Henry Smith nie żyje. Rudzak go zabił. Galen zeszywniał.

- Dlaczego od razu mi nie powiedziałeś? Franklin próbował się z nim skontaktować, odkąd wróciłeś z Sarą.

- Teraz ci to mówię. Nie mogłeś nic na to poradzić, a ona mnie potrzebowała. - Wypił wodę. - Albo w ogóle kogoś.

- To była zasadzka?

- Tak, a Rudzak wykorzystał śmierć trojga nastolatków, by ją urządzić. Wiesz, jak Sara się po tym czuje?

Galen zacisnął usta.

- Wiem, jak ja się czuję.

- Więc upewnij się, czy Dodsworth jest dostatecznie chronione. Albo znajdź Rudzaka. Mógł ją załatwić dziś wieczór, jednak nie zrobił tego.

- Pojawiłeś się w samą porę?

- Nie. Spóźniłbym się, gdyby Rudzak chciał ją zabić. Ale woli mieć ją żywą ... na razie.

- Więc o co chodziło w całej tej jego zasadzce?

- By mi pokazać, że może to zrobić, i żeby się dowiedzieć, które miejsce Sara zajmuje na liście wartości, które najwyżej cenię.

- I dowiedział się?

- Prawdopodobnie. Jeżeli nas obserwował. Zawsze potrafił mnie przejrzeć.

Galen uniósł brew.

- A ona jest tak wysoko na twojej liście, że warto mu się trudzić?

- Niewiele go to kosztowało. - Logan odstawił szklankę i odwrócił się. - Musimy znaleźć sukinsyna, zanim ją zabije. Bo następnym razem zrobi to.

Sara spała głębokim snem, niczym dziecko po ciężkim dniu.

Logan stał, wpatrując się w nią.

Czułość. Opiekuńczość. Miłość. Namietność. Lęk.

Nie była pierwszą kobietą w jego życiu. Doznawał już wcześniej tych uczuć. Ale nie w takim stopniu. Nie tak dogłębnie żywo i przejmująco. Kiedy to podziw i przyjaźń przeszły w zaślepienie?

Nieważne. Stało się, dopadło go.

A Rudzak wie, że go dopadło. Sara poruszyła się i zakwiliła przez sen.

Koszmary? Przyrzekł, że odpędzi wszelkie koszmara. Wsunął się do łóżka obok niej i wziął ją w

ramiona. Pod jego dłońmi wydawała się miękka i kobieca, lecz wiedział, jak potrafi być silna. Silna i uparta, a zarazem niezwykle wrażliwa i ostrożna. To cud, że w ogóle dostał się do jej łóżka. Nie wiadomo, czy dokładając nawet nadludzkich wysiłków, zdołałby nadać ich związkowi inny kształt. Musi działać bardzo ostrożnie, by jej nie ponaglać.

Znowu zaskomliła, a on musnął wargami jej brew.

- Ciii, już dobrze. Jestem przy tobie. Już nigdy nie pozwolę, by ktokolwiek cię skrzywdził. - Przyciągnął ją do siebie i wyszeptał słowa, w które na jawie nigdy by nie uwierzyła. - Zawsze będę przy tobie, Saro.

*

Logan nadal leżał obok niej, gdy obudziła się następnego dnia. Oczy miał szeroko otwarte i najwyraźniej nie spał już od jakiegoś czasu.

- Dzień dobry. - Złożył jej pocałunek na czole i usiadł na łóżku. - Wskocz pod prysznic, a ja zajmę się śniadaniem.

- Która godzina?

- Już prawie południe.

- Muszę nakarmić Monty'ego i Maggie.

- To już załatwione. - Podniósł się. - Zostawiłem cię na tak długo, żeby zająć się Montym, a Galen nakarmił już Maggie. Pewnie się ucieszysz z tego, że Monty nie pozwolił mi się nakarmić.

- Ale tobie pozwolił i to po raz kolejny.

- Nie wściekaj się na niego. Ja jestem kimś szczególnym.

Tyle razem przeszliśmy. Santo Camaro, Tajwan, a i ze-szła noc. To naturalne, że ... - urwał, widząc, jak zmienia się jej wyraz twarzy. - Nie myśl o tym w tej chwili. Wskakuj pod prysznic i zjedz coś. - Wziął swój szlafrok, leżący w końcu łóżka, i wyszedł z pokoju.

Łatwo powiedzieć - pomyślała, podnosząc się z wolna.

Jak może przestać myśleć o tych biednych dzieciach? Wczorajsze wydarzenia stały jej przed oczyma ze wszystkimi przerażającymi szczegółami, wyraziście i ostro jak klinga sztyletu.

Jak nóż w plecach Chaveza.

Zadrżała, gdy przeszył ją lodowaty chłód. Pięć istnień ludzkich zniszczonych tylko po to, by zwabić ją nad jezioro Apache. Jak można zrobić coś takiego?

On jednak tego dokonał. I uszło mu to płazem. Paraliżujące zwątpienie ustąpiło równie nagle, jak się pojawiło. Teraz wrzała gniewem.

Po moim trupie, ty draniu.

Rozdział trzynasty

Dwadzieścia minut później Sara wyszła z łazienki ubrana w szorty koloru khaki i podkoszulek. Galen spojrzał na nią znad piecyka.

- Muszę jeszcze zrobić słodki sos i biskwity.

- Gdzie jest Logan? Myślałam, że to on przygotowuje śniadanie.

- Pomyśl rozsądnie. - Miał zboląły wyraz twarzy. - Choć pragnąłbym, by Logan mi usługiwał, za żadne skarby nie poświęcę dla niego mego systemu trawiennego. Z biegiem lat przywykłem do wykwintnej kuchni.

- Więc gdzie jest Logan?

- Przed domkiem z Montym.

- Myślałam, że Monty jest z Maggie.

- Monty smęci. Nie takie stosunki chce utrzymywać ze swoją przyjaciółką.

- Co takiego?

- Obawia się, że Maggie bardziej lubi mnie. W ogóle nie zwracała na niego uwagi, kiedy zmieniałem jej ban-daż i dawałem jeść. Każdy by poznał, że durzy się we mnie. - Potrząsnął głową, wlewając mleko do rondelka, po czym mrugnął do niej. - Zartuję sobie. Długo mi ze-szło, zanim przestała wyc po wyjeździe twoim i Monty'ego. Myślę, że jest podniecona i robi, co może, żeby z nim być. Naturalnie, mogę się mylić. Czasami wrodzona skromność nie pozwala mi ... -

Urwał i wpatrzył się w nią. - Wyglądasz lepiej niż zeszłej nocy, ale minę masz nadal dość ponurą.

- Bo i jestem w ponurym nastroju.

- Więc idź, porozmawiaj z Loganem. Aby osiągnąć szczyty kunsztu kucharskiego, potrzebuję spokoju i muszę myśleć pozytywnie.

- Logan powiedział ci, że zabito Smitha?

- A tak, co mnie samemu nasunęło ponure myśli. - Zamieszał sos. - Ale kiedy wszystkie elementy ułożyły mi się w zgrabną całość, poczułem się lepiej.

- Jakie elementy?

- Musiałem ustalić, a potem sprawdzić, kto też mógł być z Rudzakiem nad jeziorem Apache. Zawsze trzeba żyć pewno, zanim podejmie się odpowiednie kroki. - Otworzył piecyk, by sprawdzić, jak długo jeszcze należy potrzymać w nim biskwity. - To prawie na pewno był Carl Duggan.

- Skąd to przekonanie?

- Mam rozległe kontakty. Wszyscy mnie uwielbiają. Czy już o tym wspominałem?

- Zdażyłam się zorientować. A co chcesz właściwie zrobić?

- Cóż, oko za oko. A co innego - odparł cicho.

Nagle przypomniała sobie, jak biegł przez dżunglę, niczym drapieżnik, wcale nie mniej groźny niż Maggie. Ten obraz wcale nie wydał się jej odstręczający. Zabije czysto, elegancko i zasłużenie, nie jak Rudzak, który ...

- Znowu męczą cię złe myśli. - Z wyrzutem cmoknął. - Uprzedzałem już, że nie będę tego znosił. Idź i porozmawiaj z Loganem. Zawołam cię, kiedy śniadanie będzie gotowe.

Logan, oparty o płot, mówił coś do telefonu. Uniósł dłoń na powitanie, ale nie przerwał rozmowy.

Monty leżał u jego stóp, lecz gdy zobaczył Sarę, podskoczył i popędził ku niej, puszystym ogonem wprawiając całe ciało w radosną, powitalną wibrację.

- Teraz się cieszysz, że mnie widzisz - mruknęła, kucając, by go popieścić. - Gdzie byłeś zeszłej nocy, kiedy cię potrzebowałam?

Ale w gruncie rzeczy wcale go nie potrzebowała. Logan trzymał ją w objęciach. Może Monty czerpał taką samą pociechę z towarzystwa Maggie?

- Śniadanie gotowe? - Logan, rozłączywszy się, wbił wzrok w nią i Monty'ego.

- Jeszcze nie. Przeszkadzałam Galenowi, więc przysłał mnie do ciebie.

- Dziwi mnie to. Galena niełatwo jest wyprowadzić z równowagi. Ale cieszy mnie, że ma właściwą hierarchię ważności spraw.

- Z kim rozmawiałeś?

- Z porucznikiem Carmichaelem. Dziś po południu przysłał kogoś, by spisał twoje zeznanie.

- Wiadomo coś o Rudzaku?

- Absolutnie nic.

Tak też myślała.

- A dzieci? Jak umarli? Potrząsnął głową.

- Lepiej nie pytaj.

- Chcę wiedzieć.

- Jedno zostało zastrzelone. Inne się utopiły. Zły, gdy znalazły się w wodzie.

Wzdrygnęła się.

- Chryste.

- Uprzedzałem cię, żebyś nie pytała.

- Musiałam się dowiedzieć. - Zamknęła oczy i mocniej przytuliła się do Monty'ego. - Muszę wiedzieć wszystko.

- Dlaczego? Zebyś się zadreńczyła na śmierć? - zapytał szorstko.

- Bo do tej pory Rudzak nie był dla mnie rzeczywistą postacią. Wiedziałam, że zabił tych ludzi w Kolumbii, ale w istocie nie dostrzegałam żadnego związku między nim a sobą czy też moim życiem. - Szeroko rozwarła powieki, odsłaniając zalane łzami oczy. - Teraz widzę ten związek, Loganie.

- I to cię dobija.

- Nie, bo to oznaczałoby, że Rudzak bierze górę. Do tego nie dopuszczę. Nie pozwolę mu się skrzywdzić. –Podniosła się. - I nie pozwolę, by skrzywdził kogokolwiek jeszcze. Już nigdy. Wbił wzrok w jej twarz. - A co to znaczy?

- To znaczy, że znajdę go, nim zdoła zabić kogoś jeszcze.

- I co wtedy?

- Ty mi poradź. Mówiłeś, że Rudzak jest sprytny. Nawet gdy go złapią, wcale nie musi zostać skazany. A jeśli nawet, już raz wy dostał się z więzienia. Więc może to zrobić ponownie, prawda?

- Będzie mu trudniej.

- Ale może to zrobić.

- Jasne, że może. O co ci chodzi, Saro?

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. - Głos trząsł się jej z gniewu. - Galen wyznaje zasadę oko za oko. Ty też. - Ale ty nie. To nie leży w twojej naturze.

- Skąd wiesz? Nigdy nie byłam taka wściekła.

- Byłaś wściekła, gdy Madden zabrał Monty'ego, a ty go nie zabiłaś.

- Mont y nie zginął. Zdołałam go uratować. Rudzak nie dał mi szansy, by ocalić te dzieci. Zabił je, a potem zwał mnie w to miejsce i pozwolił Monty'emu je znać. Opowiadał mi, jak jest mu przykro, a tymczasem wsadził je do samochodu i zrzucił.

- Bierzesz to do siebie, a przecież wszystkie te okropieństwa wymierzone były we mnie.

- Masz świętą rację, że biorę to do siebie i nic mnie nie obchodzi, że przeze mnie chcą uderzyć w ciebie. Wykorzystał mnie, wykorzystał te dzieci, Chaveza i Smitha. Z uśmiechem opowiedział mi o psie, którego wziął ze schroniska, a ja polubiłam tego człowieka. Bawił się mną jak ...

- Ciii... - Stał przed nią, trzymając ją za ramiona. –Przerażasz mnie na śmierć, a ja nie znajduję właściwych słów, by ci to wyperswadować.

- A w jaki sposób zamierzasz mnie przekonać? Chcesz mi wytłumaczyć, że po prostu powinnam o tym zapomnieć!

- Usiłuję ci powiedzieć, że to moja rozgrywka, nie twoja. To ja muszę dopaść Rudzaka.

- Jeszcze go nie odnalazłeś.

- Myślisz, że tobie się uda?

- Znajdę go. - Zaciśnęła dłonie w pięści. - Tym się zajmuję. Odnajduję ludzi. Odszukam go.

- Tego się właśnie boję. - Na chwilę objął ją mocno, po czym opuścił ręce. - Nie mam co ci tłumaczyć, że to bez sensu?

Potrząsnęła głową.

- Więc spróbuję wycisnąć z tego, co się da. - Cofnął się o krok. - Jeżeli cokolwiek da się z tego wycisnąć. Mam nadzieję, że nie zamierzasz wykluczyć mnie całkowicie z całej tej sprawy?

- Jakżeby mogła? Potrzebuję cię.

- To pocieszające ... ale nie bardzo.

- Nie mam zamiaru cię pocieszać. Ty jeden wiesz wszystko o Rudzaku. Opowiedz mi o nim.

- Nie możemy porozmawiać po śniadaniu?

- Nie.

- Niech będzie. - Zaprowadził ją na ławeczkę przed domem. - Siadaj i wal.

- Dlaczego Rudzak wsunął ten grzebień do mojego samochodu?

- To ci pomoże go znaleźć?

- Niewykluczone. Dzięki temu lepiej go poznam i będę wiedziała, na co go stać.

Milczał przez chwilę.

- Chciał mi pokazać, że to on zabił te dzieci i że ciebie też mógł zabić. Dał Chen Li grzebień i parę innych sta- rożytnych egipskich przedmiotów, a teraz wykorzystuje je jako podpis, gdy zabija.

- Jaki podpis?

- Symboliczny dar śmierci. Egipscy władcy grzebali wraz z sobą swe skarby, a on chce uczcić odejście Chen Li innymi zgonami. - Wykrzywił usta. - A zarazem usiłuje mnie zranić.

- A o co chodzi z Chen Li? Czy byli kochankami?

- Nie, byli przyrodnim rodzeństwem.

Spojrzała na niego, wstrząśnięta.

- A jednak wsadziłeś go do więzienia.
 - Tak.
 - Dlaczego, na miłość boską?
 - Bo zabił Chen Li.
 - Co ty mówisz?
 - Wszedł do jej pokoju w szpitalu i skręcił jej kark. Powiedział, że to zabójstwo z litości. - A jak ty to nazwałeś?
 - Morderstwem. Objawy choroby ustępowały i to mogło być trwałe. - Zacisnął usta. - Nie dał jej tej szansy.
 - Czy wiedział, że nastąpiła remisja?
 - Powiedziałem mu, ale mi nie uwierzył. Nie chciał mi uwierzyć. Stracił ją i nie pragnął, by żyła, skoro nie mógł jej mieć.
 - Stracił ją?
 - Kochał Chen Li. Chciał z nią iść do łóżka.
- Odetchnęła gwałtownie.
- Dlatego usiłował wciągnąć ją w mistykę egipską.
- Wtedy uprawianie miłości z bliskimi krewnymi było rzeczą normalną. Uwodził ją jak kochanek i nigdy nie zrobił fałszywego kroku. Ale myślę, że pod koniec odgadła, o co mu chodzi, i wyczuł jej odrazę. Nie mógł się z tym pogodzić, dlatego musiała umrzeć.
- A ty wysłałeś go do więzienia?
 - Gdybym go złapał, zanim uciekł do Bangkoku, zabiłbym go. W zamian powiadomiłem władze w Bangkoku, kiedy i gdzie mogą znaleźć narkotyki, które tam przełmył. Potem przekupiłem sędziego, by skazał go na dożywocie w jednym z najcięższych więzień na świecie. Galen zapewnił mnie, że nawet karaluchy wychodzą stamtąd za kaucją, jak się trochę rozejrzą. - Jego uśmiech przejmował chłodem. - Bardzo mnie to ucieszyło.
 - Rudzak przemycił narkotyki?
 - Jego ojciec miał w Tokio przedsiębiorstwo importowo-eksportowe. Początkowo Rudzak wykorzystywał kontakty ojca, by szmuglować trochę dzieł sztuki. Wtedy właśnie Galen poznał go i przedstawił mnie. Kilkakrotnie przetruciliśmy parę rzeczy i wtedy zaprosił mnie do domu, żebym poznał jego rodzinę i Chen Li.
 - Ty też byłeś przemytnikiem?
 - Uprzedzałem cię, że nie mam kryształowego życiorysu. Straciłem wszystko i próbowałem zagrać o dużą stawkę. Skończyłem z tym, gdy poślubiłem Chen Li. Rudzak powiedział, że też się wycofuje, ale po prostu zmienił pole działania. Dwa lata później Galen przyszedł do mnie i powiedział, że Rudzak przemycił narkotyki do całej Azji. Było to o wiele bardziej zyskowne, ale i niebezpieczniejsze. Wiedziałem, że gdyby Chen Li dowiedziała się o tych machinacjach, zabiłoby ją to, toteż starałem się przekonać Rudzaka, żeby z tym skończył. Zapewnił mnie, że wycofa się po następnym skoku.
 - Ale nie dotrzymał słowa. Logan potrząsnął głową.
 - Zarabiał szybkie pieniądze i nie było sposobu, by go powstrzymać, toteż udawałem, że o niczym nie wiem, i po prostu starałem się chronić Chen Li. Wszystko, cokolwiek wtedy robiłem, nastawione było na osłonę Chen Li. Wtedy właśnie dowiedziałem się, że ma raka, i rozpaczliwie szukałem dla niej lekarstwa. Byłem bardzo młody i sądziłem, że ze wszystkim sobie poradzę. To prawda, Logan z pewnością był o tym przekonany - pomyślała. A jako młodszy mężczyzna musiał być jeszcze bardziej stanowczy i zdecydowany, by wszystko szło po jego myśli.
 - Więc teraz już wiesz, jakim draniem jest Rudzak, a o mnie też się co nieco dowiedziałeś. Może zatem dyskretnie się usuniesz i pozwolisz mi zapolować na niego?
- Potrząsnęła głową.
- Głupia jesteś - oświadczył szorstko. - Nie masz dość pary, żeby z nim walczyć. Rozpracował cię. Zna twoją słabość.
 - Jaką słabość?
 - Masz dobre serce. Zawsze spieszysz z pomocą każdemu, kto cię potrzebuje. Tak jak pojechałaś

nad jezioro Apache.

- A co mam robić? Siedzieć tu z założonymi rękami?

- Czy to byłoby takie złe? Ta zabawa długo nie potrwa.

Najwidoczniej zrobił, co do niego należało, i na razie trzeba czekać na jego następny ruch. Teraz wszystko pójdzie szybko.

- A co takiego zrobił?

- Uważamy, że dowiedział się o Dodsworth. Galen wetknął do sądu swojego człowieka, a on powiada, że ktoś węszy w aktach.

- Dodsworth?

- To mój medyczny ośrodek badawczy w Dakocie Północnej. Prowadzi się tam prace mniej utajnione niż w Santo Camaro. Gdy tylko Bassett uporządkuje swoje notatki, pojedzie tam, by ukończyć swój projekt z tam-tym zespołem.

- Nie wytłumaczyłeś mi, skąd Rudzak dowiedział się o Santo Camaro. Skoro był to tak ściśle strzeżony obiekt, jak wpadł na jego ślad?

- Dzięki pieniądзом. Wypatrzył kogoś i przekupił go w zamian za informacje.

- Kogo?

- Castletona.

Zesztywniała, wstrząśnięta.

- Castletona? Jesteś pewien?

- Absolutnie.

Pomyślała o spotkaniu z Castletonem i nie mogła przypomnieć sobie niczego, co wzbudziłoby jej podejrzenia. Lecz patrząc na Logana i wspominając wszystko, co o nim wiedziała, uświadomiła sobie, że coś w jego postawie jej się nie zgadza.

- Przypominasz sobie wieczór, w którym przyjechał?

- Tak.

- I pozwoliłeś mu odjechać?

Nie odpowiadał przez chwilę.

- Nie.

Poznawszy już nieco Logana, nie była nawet zdziwiona.

- Ponieważ bałeś się, że powie Rudzakowi o Montym i zepsuje cały niespodziewany atak?

- Po części. Ale i tak bym to zrobił. Zdradził tych ludzi z ośrodka. Był odpowiedzialny za ich śmierć. Oko za oko. Pamiętasz?

Z wolna skinęła głową.

- W ten sposób Rudzak dowiedział się o Dodsworth?

- Rudzak wie wszystko to, co i Castleton. Przede wszystkim wzmocniłem ochronę we wszystkich swoich fabrykach i ośrodkach badawczych.

- We wszystkich? Ale uważasz, że uderzy w Dodsworth?

- Najprawdopodobniej. Ale skąd wiadomo, że tylko tam? Nie mogę ryzykować. A poza tym kupił tyle materiałów wybuchowych, że wystarczyłoby na wysadzenie małego miasteczka.

- Materiałów wybuchowych - wyszeptwała.

- Byłaś w Oklahoma City. Wiesz, co można narobić za pomocą materiałów wybuchowych.

Orientowała się doskonale. Pomagała wydobywać z ruin te wszystkie nieszczęsne dzieciaki.

- Nie możesz do tego dopuścić. Zawiadomiłeś Grupę Kryzysową?

- Zawiadomiłem i ich, i FBI.

- Powiedziałeś im o Dodsworth? - Wyczytała odpowiedź z jego twarzy. - Nie powiedziałeś. - Jeszcze nie.

- Zadzwoń do nich.

- W Dodsworth nic się nikomu nie stanie.

- Jak możesz tak mówić? - Jeszcze miała przed oczyma tragedię z Oklahoma City.

- Przed chwilą powiedziałaś, że Rudzak ma materiały wybuchowe. Potrząsnął głową.

- Po raz pierwszy mamy podejrzenie, gdzie może uderzyć. Spróbujemy zastawić na niego pułapkę.

- To zbyt ryzykowne. Niech Grupa Kryzysowa się na niego zasadzi.

- Jeśli chcę go przyciągnąć do Dodsworth, nikt nie może przebywać tam oficjalnie. Moją ochronę uzna za wyzwanie, nie czynnik odstrasżający. Ale straż jest tak czujna, że mysz się nie przecisnie.

- Zadzwoń do nich.

- Jeszcze nie. Póki nie będę pewien, że to konieczne.

Aż dojdę do wniosku, że nie mogę go powstrzymać. Uwierz mi. Jeśli będę musiał, podejmę odpowiednie kroki.

- Ile osób pracuje w tym ośrodku?

- Pięćdziesiąt siedem.

- I wiedzą, jakie niebezpieczeństwo im grozi?

- Tak. Poleciałem kierownikowi, by powiedział wszystkim, co zdarzyło się w Santo Camaro i że oni mogą być następni. Mieli do wyboru - zostać albo odejść. Sześciu odeszło. Reszta została.

- Powinieneś zamknąć ten zakład.

- Wtedy Rudzak po prostu zmieni cel. Jeżeli chcesz zawiadomić Grupę Kryzysową, sama to zrób. - Zawiadomię•

- Ale pamiętaj, że wtedy bierzesz na siebie ryzyko spowodowania takiej samej katastrofy jak w Kai Czi.

Czuła, jak cała krew odpływa jej z twarzy. - Kai Czi?

- To sprawka Rudzaka. W hołdzie Chen Li. Chcesz doprowadzić do następnego Kai Chi, czy pozwolisz mi złapać tego drania?

- Kai Czi. - Wpatrywała się w niego z przerażeniem. - Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Bo wiedziałem, że będziesz się we mnie wpatrywać tak jak w tej chwili, aby potem schować się w mysią dziurę. Nie rozumiesz człowieka, który zabija pięćset osób, by dać wyraz chorobliwym uczuciom.

- A ty?

- Nie, ale jestem w to zamieszany i za każdym razem, kiedy na mnie patrzysz, widzisz Kai Czi.

- Proszę, zawiadom Grupę Kryzysową - wyszeptwała. - Widziałeś dziecko, które zginęło na Tajwanie. To nic w porównaniu z masakrą, którą bomby urządziły dzieciom w Oklahomie. Milczał przez chwilę, po jego twarzy przebiegały najprzeróżniejsze uczucia. Potem potrząsnął głową.

- Dałbym ci wszystko inne na świecie, Saro, ale tego ofiarować ci nie mogę. Muszę mieć szansę dopadnięcia go. - Źle robisz, Logan.

- Więc zadzwoń. Nikt ci nie wzbrania. - Wszedł do środka. - Ale głęboko to przemyśl. I pamiętaj o Kai Czi. To się może powtórzyć. Nikt jej nie wzbrania? Akurat. Oklahoma City. O Boże, nie może być odpowiedzialna za drugą taką makabrę. Kai Czi.

Jeśli Logan ma rację, czyż Sara zdoła unieść odpowiedzialność za śmierć jeszcze większej liczby ludzi niż w Dodsworth?

Musi znaleźć na to odpowiedź, i to jak najszybciej. Monty zaskomlał i położył jej głowę na kolanie.

- Wszystko w porządku. - Poglaskała go po łbie. - Wracaj do Maggie.

Nie poruszył się. Był przy niej, by dać jej wsparcie i pociechę, podobnie jak Logan zeszłej nocy. Ale rankiem Logan sprawił, że poczuła się samotna i zrozpaczona.

Sara starała się nie zwracać uwagi na ból. Przestań się nad sobą rozczulać. Uprzedziła Logana, by nie spodziewał się niczego innego nad rozkosze seksualne. Źle, że pozwoliła mu poznać swoje słabe punkty. Ale wszystko dobrze się skończy. Prawie przez całe życie była sama i całkiem nieźle na tym wyszła.

Prosił, by mu zaufała. Ale czy może? Ze względu na to, co do niego czuła, czy też naprawdę wierzyła, że warto zażykować? Zawsze myślała samodzielnie, lecz nigdy z nikim nie czuła się tak uczuciowo związana jak z Loganem.

Gdy przyszła z nim pogadać, wszystko wydawało się proste. Czuła nienawiść do Rudzaka, była zdecydowana odnaleźć go i ukarać za okrucieństwa, których dopuścił się nad jeziorem Apache. Teraz jeszcze większa tragedia zagraża Dodsworth i nic już nie wydaje się proste. Nic z wyjątkiem tego, że jakkolwiek decyzję powźmie, może popełnić błąd.

- Moje biskwity i sos do niczego się nie nadają – oświadczył jej Galen, gdy godzinę później wróciła do domku. - A Logan też nie może przełknąć ani kęsa. Ale z dobroci serca przyrządzę wam nową porcję. Musicie tylko poczekać. Doskonałość wymaga czasu.

- Nie jestem głodna. - Spojrzała na Logana, siedzącego na krześle przy stole. - Coś mi utkwiło w gardle.

Logan napotkał jej spojrzenie.

- Nie wątpię. Pytanie tylko, czy będziesz w stanie to przełknąć.

- Spróbuję. Nie widzę innego wyjścia. - Skrzyżowała ręce na piersi. - Zastanowię się jeszcze, zanim zawiadomię Grupę Kryzysową w sprawie Dodsworth. Ale gdy tylko uznam, że ośrodkowi grozi jakieś niebezpieczeństwo, natychmiast wszczynam alarm i nie pozwolę, byś wybił mi to z głowy.

- Tak też myślałem.

- A ja nie mam zamiaru tu siedzieć, kręcić młynka palcami, aż usłyszę, że Rudzak wysadził ośrodek w powietrze. Uważasz, że facet gotów jest do następnego ruchu. Chcę pojechać do Dodsworth, zanim zdecyduje się umieścić tam materiały wybuchowe.

- Powiedziałem ci, że wcale nie musi zasadzić się na Dodsworth.

- Ale to twoje oczko w głowie i on o tym wie. Nie przypuszczasz chyba, że to sobie odpuści.

- Nie.

- A skoro znajdziesz się tam na miejscu, tym bardziej zechce zaatakować. - Naturalnie.

- I najwyraźniej chce też dopaść mnie. Zgadza się?

Wykrzywił usta w uśmiechu.

- Nie mogłabyś powiedzieć niczego bardziej trafnego.

Ani przerażającego.

- Więc te różnorodne cele powinny go przyciągnąć. - Zwróciła się do Galena. - Jesteś pewien, że ochrona w Dodsworth jest niezawodna?

Galen przytaknął.

- Założyłem tam zakład, a swój kark cenię wyżej niż któregokolwiek z tych naukowców. Nauka może zbawić świat, lecz cóż byłby on wart bez wdzięku i wykwintnej kuchni? - Zerknął na Logana.

- Nasze plany ulegają rozszerzeniu. Chyba będziemy musieli troszkę zaczekać.

- Nie chcę czekać - rzekła Sara. - Muszę mieć Rudzaka już teraz.

Logan skinął głową.

- Miałem nadzieję, że zdołam utrzymać cię od tego z daleka.

- Rudzak nie chce mnie trzymać od tego z dala.

- Więc dlaczego podawać mu cię jak na telerzu? Siedz tu, gdzie jesteś bezpieczna.

- To mi się wydaje rozsądne - przytaknął Galen.

- Kiedy jedziemy do Dodsworth? - spytała Sara.

- Gdy Bassett dołączy do tego zespołu. Myślę, że za jednym zamachem Rudzak zechce zniweczyć wszelkie szanse naszego powodzenia. Nie uda mu się to, jeśli Bassett będzie żył.

- Powiedziałeś, że Bassett jest gotów wyruszyć w ciągu tygodnia?

Logan przytaknął.

- Dobrze. W takim razie opracuję własny plan. - Weeszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

- Akurat uda nam się uchronić ją przed tym wszystkim - powiedział Galen. - Spróbuję zaopiekować się Sarą w Dodsworth, ale nie mogę ci niczego obiecać, jeżeli postanowi chodzić własnymi drogami, tak jak nad jeziorem Apache. Nie możesz chronić kogoś, kto nie chce być chroniony.

- Wiem.

- Odkryłem też w niej chłód, który może wszystko utrudnić.

- Masz o to do niej pretensję? Dziwię się, że nie chce poderżnąć mi gardła. Musiałem jej

powiedzieć o Kai Czi, bo inaczej sama ruszyłaby w pogoń za Rudzakiem.

- Ale na twoim miejscu przestałbym się zastanawiać, jak ona się czuje, i sprawdziłbym, co robi. - Galen znowu obrócił się do piecyka. - Skoro powiada, że snuje plany, nie wiem, czy chciałbyś zostać którymś z nich zaskoczony. - Zerknął na sos, gęstniejący na patelni. - Jaka szkoda. Wszystko mi zepsuliście. A to miało być takie wykwintne śniadanie.

- Co ty robisz?

Gdy Sara uniosła wzrok, ujrzała Logana, stojącego w drzwiach.

- A jak ci się wydaje? - Wrzuciła stos bielizny do torby, leżącej na łóżku. - Pakuję się. Chcę być gotowa razem z Bassettem.

- Nie musimy wychodzić z domu z chwilą, gdy on się tam pojawi.

- Wiem. - Wrzuciła do torby sweter i dwie pary dżinsów. - Ale oszaleję, jeśli czegoś nie zrobię. Może ty i Rudzak jesteście najcierpliwszymi ludźmi na świecie, ale ja nie. To nie są dla mnie jakieś zawody.

- Dla mnie też nie. Jesteś niesprawiedliwa, Saro.

- Może. Zapytaj się, czy mnie to w ogóle obchodzi.

- Obchodzi cię. W tym cała rzecz. Obchodzi cię aż za bardzo. - Przeszedł przez pokój i stanął tuż obok niej. - Burzy to wszystkie moje plany, ale nie chciałbym, żeby było inaczej.

Znajdował się zbyt blisko. Czula żar jego ciała. Odsunęła się o krok i wróciła do biurka.

- Obchodzą mnie ci ludzie w Dodsworth. Nie ty.

- Zawsze tak uważałem - powiedział cicho. - Wiem, że teraz nie masz o mnie najlepszego zdania. To się zmieni, jak ta cała sprawa wreszcie się skończy. Zmieni się krańcowo. - Nie odpowiedziała.

- Musimy pracować razem, Saro. Twoje uczucia nie mogą nam przeszkadzać.

Temu właśnie starała się zapobiec. Nie może pozwolić sobie na najmniejszą poufałość. Uczucia, które do niego żywi, nie mogą zaćmić jej oceny sytuacji, skoro w grę wchodzi tyle ludzkich istnień.

- Będę z tobą pracować. - Napotkała jego spojrzenie z przeciwległego krańca pokoju. - Ale nie spodziewaj się ode mnie niczego więcej. Nie mogę ci tego dać.

- Dasz. Jak już mówiłaś, potrafię być bardzo cierpliwy.

- Gdy to się skończy, możesz zmienić zdanie.

- Nie zmienię zdania.

Mocno zacisnęła dłoń na gałce szuflady biurka, gdy wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Nie myśl o nim. Nie dopuść do tego, by odegrał ważną rolę w twoim życiu. Nawet jeżeli w tej chwili zależy mu na tobie, jak długo to potrwa? Zbyttno się od niego różnisz.

No i dobrze. Nie chciała się zmieniać. Nie pragnęła być nikim innym prócz siebie. Jest kobietą, która potrafi podejmować decyzje i kierować swym życiem wedle własnych upodobań.

Nie myśl o nim. Myśl o Rudzaku i ochronie Dodsworth.

- Chcesz, żebym tam przyjechała? - powtórzyła Eve. - Dlaczego?

- Ze względu na Maggie. Czuje się już znacznie lepiej, ale ktoś musi się nią zaopiekować, kiedy wyjadę.

- Gdy mówiłaś, że chcesz, by Jane zajęła się twoją wilczycą, myślałam, że żartujesz.

- Wtedy tak. Ale teraz już nie. Potrzebuję twojej pomocy. Przyjedziesz?

- Co za pytanie! Pojawiłaś się, kiedy cię potrzebowałam, odnalazłaś moją córkę. Wsiadam w najbliższy samolot.

- Dzięki. Czy możesz poprosić matkę, żeby zaopiekowała się Jane, i przyjechać z Joem?

- Zobaczę, czy może się wyrwać. Ale dlaczego chcesz, żebym przywiozła Joego?

- Będę się pewniej czuła. Raczej nie grozi ci tu żadne niebezpieczeństwo, póki nas tu nie ma, ale wolałabym, żeby Joe był z tobą.

- Nas? A z kim jesteś?

- Z Loganem.

Chwila milczenia.

- Powiesz mi, co się tam dzieje?

- Jak tylko tu przyjedziesz. I przywieź Joego, jeśli będziesz mogła. Chociaż może lepiej nie. Jak

tylko opowiem mu o Rudzaku, natychmiast wsadzi cię w pierwszy samolot powrotny do Atlanty. - Potarła skroń. - A może właśnie tak powinien zrobić. Zostawimy to jemu.

- Mowa twoja jest przejrzysta jak woda w bagnisku.

- Bo właśnie w nim brodzę. Wiedz, że nie będę miała do ciebie pretensji, jeśli nie zechcesz mi pomóc. Zrozumiem, a ty nie masz żadnego obowiązku ...

- Cicho bądź. Zadzwoń do ciebie, gdy będę wiedziała, o której mój samolot przylatuje do Phoenix. - Eve rozłączyła się.

Sara ruszyła do drzwi saloniku. To miała załatwione.

Teraz musi odnaleźć Galena.

Ale w saloniku nie było nikogo.

- Galen!

- Tu jestem! - odkrzyknął z werandy. - Właśnie nakarmiłem Maggie.

- Zadzwoń do mojej przyjaciółki Eve i właśnie ... - Szczeka jej opadła, gdy przystanęła w drzwiach. Galen siedział na podłodze tuż obok Maggie, która złożyła mu głowę na udzie. - To dobry sposób, by stracić pewną część ciała. A być może wysoko ją sobie cenisz.

- Rozumiemy się nawzajem. - Galen pogłaskał Maggie po łbie. - Omówiliśmy to i doszliśmy do wniosku, że jesteśmy do siebie bardzo podobni. Prawda, Maggie?

- Pod jakim względem jesteście podobni?

- To samo pochodzenie. Z klatki na dziką przestrzeń.

Ten sam instynkt samozachowawczy. - Mrugnął. - I oboje jesteśmy tak sprytni, że aż się kręci w głowie.

- Muszę się zebrać w sobie, żebym nie padła od takiego wstrząsu. A mógłbyś jednak odsunąć się od niej o parę kroków? Być może rozumiecie się nawzajem, ale to jednak ja sprowadziłam ją do domu i jestem odpowiedzialna za wszelkie szkody, które może wyrządzić.

- Jeżeli ma ci to poprawić samopoczucie. - Ostrożnie wyjął nogę spod głowy Maggie, tak by nią nie szarpnąć, po czym nadal ją głaskał. - Wiesz, że muszę zostawić tę piękność i jechać do Dodsworth? Mam tam teraz robotę.

Przytaknęła.

- Zadzwoń do kogoś, żeby się nią zajął. Dziś przyjeżdżają Eve Duncan i Joe Quinn.

- Doprawdy? W tym domku robi się przytulniej.

- Chcę mieć pewność, że nie odwołasz stąd swoich ludzi. Eve i Joe muszą mieć ochronę.

- Zamierzałam posłać ich do Dodsworth.

- Wyślij kogoś innego. Logan ma mnóstwo forsy.

- Za pieniądze nie kupi się wykszolenia i umiejętności, by ... - Uśmiechnął się. - Co ja mówię?

Oczywiście, że się kupi. Całe szczęście, mam dość swoich ludzi w Dodsworth.

- Więc dlaczego zawracasz głowę?

- Bo czułem się w obowiązku namówić cię, żebyś tu została. Loganowi na tym zależy, a to on mi płaci. - Gdzie jest Logan?

- Wyszedł na dwór, pobięgać z Montym. Chyba chce upuścić trochę pary po waszej rozmowie.

Wychodziła już, lecz nagle się zatrzymała.

- Mógłbyś zadzwonić do Franklina i powiedzieć mu, że za kwadrans wyjeżdżam do domu Logana w Phoenix? - Dlaczego?

- Będę bliżej Basssetta i zaczekam tam, póki nie skończy swoich badań. Poza tym Loganowi wydaje się, że Rudzakowi na nim zależy.

- Mogłabyś poczekać tutaj.

- Tam jest również bliżej do lotniska. Chcę podrzucić Eve i Joego.

- Załatwi to któryś z moich ludzi.

Potrząsnęła głową.

- Chcę porozmawiać z nią i z Joem na lotnisku. Być może zechcą od razu wracać.

- A jeśli nie, przywieziesz oboje tutaj?

- Nie, odeślę ich. Tu jest dość ciasno.

- Logan zaraz za tobą ruszy.

- Nie uciekam od niego. Jeśli chce, może jechać ze mną. I tak musiałabym go dogonić, żeby odebrać Monty'ego.

- Bez wątpienia będzie zachwycony.

Nie będzie zachwycony. Zniecierpliwi się i pewnie wścieknie, że przejęła inicjatywę.

Eve zarezerwowała lot, odłożyła słuchawkę i podeszła do okna, by wyrzeć na jezioro.

Joe spacerował po brzegu z Jane u boku. Patrzył na nią, słuchając z uwagą jej słów. Eve cieszyła się, ale zarazem było jej trochę smutno, że Jane tak zbliżyła się do Joego od czasu znalezienia Bonnie. Lekki dystans mógłby wyjść jej na dobre. Eve znajdzie sposób na rozwiązanie kłopotów z Jane i wtedy staną się prawdziwą rodziną.

Może gdy tylko wróci z Phoenix, wybiorą się wszyscy razem na jakiś wypoczynek. W wakacyjnej atmosferze Jane będzie bardziej skora do rozmowy i wyjaśni sobie wszystkie nieporozumienia.

Po powrocie z Phoenix. Co dzieje się z Sarą i dlaczego jest z nią Logan?

Źle to wróży.

Uniosła wzrok, by spojrzeć na wzgórze za jeziorem.

- Oby nic się stało. Oby wszystko poszło dobrze.

Rozdział czternasty

Sara i Logan spotkali się z Eve tego wieczoru na lotniisku w Phoenix. Nie było z nią Joego Quinna.

Eve podniosła rękę, gdy Sara otworzyła usta.

- Jane jest wystarczająco wytracona z równowagi. Nie chciałam rozdzielać jej z Joem. - Masz bagaż? - zapytał Logan.

Eve potrząsnęła głową, po czym przyklękła, by pogłaskać Monty'ego.

- Myślałam, że będzie mi potrzebny tylko podręczny. - Spojrzała na Sarę. - A przydałby się większy?

- Chyba nie. - Sara zmarszczyła się z niezadowoleniem. - Chciałam, żeby Joe z tobą przyjechał. Mówiłaś mu ...

- Powiedziałam, że chcesz, bym się zajęła wilczycą. - Uśmiechnęła się, podnosząc się. - W końcu sama nie wiem nic więcej, prawda? - Ruszyła do wyjścia. - Joe nie był zachwycony, ale gdybym mu powiedziała, że potrzebuję ochroniarza, naprawdę by się przeraził. Jest trochę zbyt opiekuńczy.

- Trochę? - prychnął Logan.

- Może więcej niż trochę. To nie jest takie złe. - Zerknęła na niego. - Sam jesteś niesamowicie opiekuńczy. Dziwi się, że wpuściłaś Sarę w taki kanał, z którego ...

- Nie miałem wyboru. - Logan wziął jej torbę podróżną. - Ale teraz mam i jeśli zdołasz wybić jej z głowy wyjazd do Dodsworth, wsadzę was obie do samolotu do Atlanty.

- Dodsworth?

- Nie jadę do Atlanty. - Sara spojrzała mu w oczy. -

A wykorzystywanie Eve, by namówiła mnie do zmiany zdania, to wstrętna sztuczka.

- Nie tak wstrętna jak to, w co się wpakujesz w Dodsworth.

- Miło byłoby, gdybyś mi powiedział, o co w tym wszystkim chodzi - rzekła Eve.

- Opowiem ci. - Logan otworzył drzwi dżipa Sary. - Podwiozę Sarę do swojego domu w Phoenix, a potem pojedę z tobą. Po drodze będziemy mieli mnóstwo czasu na rozmowę.

- Ja ją podwiozę - rzekła Sara. - Ja ją tu sprowadziłam i ja powinnam jej wszystko wyjaśnić.

- Wykluczone. Nie ma Joego, żeby was pilnował, więc przejmuję komendę - rzekł Logan. - I

żebyście do mojego powrotu nie wychylały nosa z domku. - Wargi mu drgnęły. - To ty, Saro, chciałaś zostać, żeby mieć oko na Bassetta. Może nakłonisz go jakoś, żeby przyspieszył prace.

- Eve jest ważniejsza.

- Owszem, to prawda. - Zapaścił motor dżipa. - I ja się nią troskliwie zajmę. - Wątpisz w to?

Przenosiła wzrok od jednej twarzy do drugiej. Widziała nieomal łączącą ich więź, utkaną ze wspomnień i przeżyć. Z wolna potrząsnęła głową.

- Nie, zawsze bardzo się o nią troszczyłeś.

- Więc zaufaj mi, teraz też się nią zajmę.

Spojrzała na Eve.

- Jeśli po wysłuchaniu tego, co Logan ma ci do powiedzenia na temat Rudzaka, uznasz, że grozi ci choćby najmniejsze niebezpieczeństwo, wracaj do domu. Nie zostawaj. Zgoda?

Eve uśmiechnęła się.

- Nic się nie martw. Nie chcę napytać sobie biedy.

Ostatnio życie jest dla mnie bardzo łaskawe. Pragnę skorzystać ze wszystkich jego uroków.

Ale Eve przyjechała na prośbę Sary.

- Pamiętaj o tym, gdy Logan będzie ci opowiadał o Dodsworth.

Kwadrans później Sara stała przed domem w Phoenix, patrząc, jak Logan i Eve przejeżdżają przez elektronicznie zabezpieczone bramy. Gawędzili przyjaźnie, jak starzy przyjaciele ... albo kochankowie. Nagle poczuła we wnętrzną pustkę i samotność. Głupio jest tak stać i gapić się na nich.

Zadzwoi do Eve do domku i pogada z nią. Może skontaktuje się też z Joem i powie mu, co się dzieje. Decyzję powźmie po rozmowie z Eve.

Kolejna decyzja. Nie chce już stanowić o cudzych losach ani dokonywać wyborów. Nie jest Salomonem. Po prostu działa w ekipie ratowniczej i stara się pracować najlepiej, jak potrafi. Jak to się stało, że dała się w to wciągnąć.

- Bogu dzięki, że ktoś się pojawił, żeby przejąć ode mnie opiekę nad dzieckiem. - Przez przedpokój przemaszerowała ku niej Margaret. - Mam mnóstwo rzeczy do zrobienia, a jestem uwiązana do Bassetta.

- Sprawia kłopoty?

- Właściwie nie. Nie wie tylko, co jest dla niego dobre, a mnie nie chce słuchać.

- Postaram się pomóc ci w miarę możliwości.

- A przynajmniej trochę. Logan obarczył mnie odpowiedzialnością, a ja nie będę się od niej uchylać.

- Przyjrzała się uważnie Sarze. - Coś ci nie idzie?

Sara potrząsnęła głową.

- W takim razie dobrze, że przyjechałaś. Na rozklekotane nerwy nie ma jak regularne posiłki i ćwiczenia fizyczne. Wyciągnę Bassetta z laboratorium i razem pójdziemy na szybki spacer po okolicy.

- Nie potrzebuję ...

Ale Margaret już znikła. Sara z rezygnacją potrząsnęła głową. Wyglądało na to, że Margaret zdecydowanie postanowiła wziąć ją pod swoje skrzydełka. Nie powinna się przyznawać, że coś szło jej nie tak.

Po paru minutach pojawił się Bassett.

- Cześć, cieszę się, że wróciłaś. Trochę brakuje mi towarzystwa.

Widziała go pierwszy raz po przyjeździe. Gdy Logan i Sara przywieźli tu walizki, siedział w laboratorium. Włosy miał zmierzwione, a pod oczami widniały cienie. Widać było, że pracuje do późna w nocy.

- Nie wiem, jak można odczuwać samotność, gdy w pobliżu kręci się Margaret - rzekła Sara.

- Jest skrzyżowaniem matki i dyktatora. Zmusza mnie, żebym jadł, chodził na spacer i bez przerwy przeszkadza mi w pracy.

- I bardzo dobrze.

- Ale chciałbym przebywać w towarzystwie kogoś, kto nie zrzędziłby mi nad uchem dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- To już niedługo. Logan powiada, że prawie skończyłeś i niebawem powinieneś ruszać do Dodsworth.

- Logan powiedział ci o Dodsworth? - Uśmiech rozjaśnił jego twarz. - Cieszę się. Nie byłem zachwycony, że cię wykluczył, kiedy mi pomogłaś, ale nie dało się bez tego obejść. Sztuczna krew

znajduje się w centrum zainteresowania szpiegostwa przemysłowego i ...

Uniosła dłoń.

- Omawialiśmy już to z Loganem. Póki nie ma niebezpieczeństwa, że ktoś z Dodsworth odniesie obrażenia, nie zamierzam niczego ujawniać.

Jego uśmiech zgasł.

- Przyjmując tę pracę, wszyscy wiedzieliśmy, w co się wplątujemy.

- Nie wiedziałeś o Rudzaku.

- Rzeczywiście nie, ale i tak bym się tu zatrudnił, żeby prowadzić te badania nawet na podstawowym poziomie. - Dużo ci brakuje do ukończenia notatek?

- Co najmniej z pięć dni. Staram się ze wszystkich sił, ale doba nie jest z gumy.

Spojrzała mu w twarz.

- I raczej ich nie przesypiałeś.

- Powiedziałem ci, to moje marzenie. Może teraz zrozumiesz, jak ważny jest ten projekt.

- Rozumiem. - Potrząsnęła głową. - Ale nie musisz się zabijać.

- Przeżyję. Codziennie umierają ludzie, których można by uratować, gdybyśmy osiągnęli cel. To warte jest lekkiego zmęczenia. - Potarł kark. - Co dzień staram się chodzić na spacer, żeby zastanowić się nad trudnościami i zebrać myśli. Poszłabyś ze mną?

- Wydawało mi się, że to rola Margaret. Nie chcę zranić jej uczuć.

Wykrzywił się.

- Może przecież pójść z nami. Lubię chodzić spokojnym krokiem, a ona narzuca tempo jak nazistowski sierżant.

- Pójdę, jeśli zaczekasz, aż napoję Monty'ego.

- Zaczekam. Może nawet poważnie porozmawiamy. -

Oparł się o framugę drzwi. - Wiesz, nie mam z kim pogadać i czuję się trochę osamotniony. Moja żona powiada, że stanowią typ zbyt towarzyski jak na naukowca. - Zaśmiał się. - Co znaczy, że jej zdaniem, jestem gadułą. Odpowiadam, że moja praca wymaga samotnictwa, więc kiedy wychodzę z laboratorium, po prostu puszcza ją tamy.

- Jaka jest twoja żona?

- Fantastyczna. Tęsknię za nią. Dzwonię do niej codziennie, ale to nie to samo. W tym tygodniu zabiera naszego syna na wakacje na Wyspy Bahama. Załuję, że nie mogę z nimi jechać. Wiesz, tam są cudowne warunki do nurkowania. Strasznie plotę.

- Możesz paplać, ile chcesz, gdy tylko napoję Monty'ego. Żadne z nas nie jest rozmowne, ale umiemy słuchać. - Powiedziałaś to tak, jakby twój pies miał ludzkie cechy. - Kiwnął głową. - Dlaczego nie? Jest twoim partnerem w pracy, a praca stała się również twoją namiętnością. - Monty znaczy dla mnie więcej. Jest moim przyjacielem.

- Szczęściarzem z ciebie, Monty - rzekł ze smutkiem. - Ja nie mam czasu na przyjaciół. Z trudem znajduję wolną chwilę, by być przyzwoitym mężem i ojcem.

- Jesteś młody. Masz jeszcze mnóstwo czasu. - Gestem nakazała Monty'emu, by pobiegł przed nią do kuchni, po czym dodała ponuro: - Jeśli nie dasz się Loganowi wpuścić w następny taki projekt.

- Logan nigdy mnie nie zmuszał. Nie jest taki.

- Chyba że uzna to za konieczne. - Ale wiedziała, o co mu chodzi. Logan zazwyczaj starał się oczarować przeciwnika, swe cele osiągał dzięki subtelny-
m gierkom. A któż wie lepiej od niej, jak nieodparty jest jego urok? Uległa mu i nadal ją obezwładnia.

- Dalej jesteś na niego zła? Sądziłem, że zorientujesz się, jaki z niego wspaniały facet.

- Nie jestem zła. - Ale chciała się wściec. Gdyby nie знаła Logana tak dobrze, byłoby jej znacznie łatwiej. Lecz przekonała się, jak jest wrażliwy, stanowczy, jakie ma poczucie humoru. Trudno byłoby jej odejść od Logana. Co też jej chodzi po głowie? To pewnie on ją opuści. Fakt, że ze sobą spali, nic nie znaczy. Nawet teraz jest z kobietą, z którą miał romans niespełniony rok temu. Z kim będzie za następnych kilka miesięcy? - I naprawdę go podziwiam - rzekła do Bassetta. - Nie jestem tylko pewna, czy ma stuprocentową rację. - Poszła za Montym do kuchni. - Wracam za chwilę. Napoję Monty'ego, a potem możemy iść po Margaret.

*

- Gdybym nie знаła cię tak dobrze, przysięgłabym, że nie masz sumienia, Logan - rzekła surowo Eve. - Nie powinienes wciągać w to Sary.
- Nawracasz wierzącego. - Logan zaparkował samochód tuż obok domku i wyłączył zapłon. - Ale teraz już za późno. Będę się starał możliwie jak najlepiej ją chronić.
- I za jednym zamachem osłaniać ten swój Dodsworth! Nie chciałabym brać na siebie takiej odpowiedzialności.
- Ja też nie. - Zacisnął ręce na kierownicy. - Eve, wiesz, że nie jestem święty. Bywam arogancki, samolubny i bardziej uparty, niż to komukolwiek przystoi. Przed laty popełniłem błąd i pozwoliłem Rudzakowi żyć, a teraz muszę to naprawić. Dodsworth stanowi przynętę, a ja chcę ją zarzucić.
- Jeżeli Sara ci pozwoli.
- Pozwoli, tylko ochrona musi być tak ścisła, by Rudzak nie miał żadnych szans. Osobiście tego dopilnuję.
- Milczała przez chwilę.
- Mówiłeś, że Rudzak atakuje wszystkich z twojego otoczenia. Czy w związku z tym coś grozi mnie i mojej rodzinie?
- To mało prawdopodobne. Od czasu, kiedy Rudzak wypłynął na powierzchnię, dwóch strażników obserwuje twój dom, ale to tylko tak, na wszelki wypadek. - Uśmiechnął się z przekąsem. - Przeszłość go nie interesuje.
- Zawsze będziemy przyjaciółmi, Logan.
- Wiem i to mi wystarczy. - Urwał. - Wezwij tu Quinna, żeby poprawić Sarze samopoczucie.
- A ty?
- Chyba wszyscy będziecie tu bezpieczniejsi. Obserwują was strażnicy, rozmieszczeni u podnóża wzgórz, a domek widać jak na dłoni. Trudno jest pilnować taką chatkę w lesie. Sama się o tym przekonałaś, gdy miałaś do czynienia z tym mordercą, który się za tobą skradał.
- Zadrżała.
- Rudzak nie może być takim cwaniakiem jak Dom.
- Nie bądź taka pewna. Wykiwał Sarę, a jest przecież sprytna.
- Tak. - Zmarszczyła brwi. - Zastanowię się nad tym. - Wsiadła z dżipa i sięgnęła po swoją torbę. - Nie wychodź. Sama przedstawię się Galenowi. Wiem, że chcesz wracać do Sary. Wyraźnie się o nią martwisz.
- Owszem. Cały czas.
- Ale strażnicy w domu w Phoenix są bardzo ... - urwała, ze wzrokiem utkwionym w jego twarzy. - Mój Boże.
- Owszem. - Skinął głową. - Z całą pewnością Sara jest ich celem. Quinn będzie się śmiał - rzekł szyderczo. - Zawsze mi powtarzał, że nie dość cię kocham, że powin-na to być obsesja. Wtedy tego nie rozumiałem, ale teraz widzę, że miał rację. To jest obsesja.
- Jeżeli tym ludziom w Dodsworth coś się stanie, znieńawidzi cię, Logan.
- Sam siebie znieńawidzę. - Zapalił motor dżipa. - Zadzwoń do niej i powiedz, że poprosisz, by Quinn przyjechał. Wystarczy, że się przejmuje Dodsworth. Nie musi jeszcze przejmować się tobą.

Telefon Logana zadzwonił w drodze powrotnej do Phoenix.

- Spotkałem twoją Sarę - rzekł Rudzak. - Mówiła ci, jak miło spędziliśmy czas? To interesująca kobieta. Nie tak fascynująca jak Chen Li, ale też nie byłeś dość wyrafinowany, by ją docenić. Nie dziwi mnie, że związałaś się z kimś tak szczerym i bezpośrednim jak Sara Patrick.
- Pracowała dla mnie. Nic nas nie łączy.
- Za późno na kłamstwa. Widziałem was razem, a potrafię przejrzeć cię dokładnie.
- Nie masz o niczym pojęcia. Nie widzieliśmy się od dawna. Jestem już innym człowiekiem.
- Dojrzałaś, jesteś inteligentniejszy, ale twoja natura się nie zmieniła. Wdajesz się w romanse i stajesz się żalostnie sentymentalny, gdy się wzruszysz. Przypomnij sobie, jak straciłeś rozsądek,

gdy zrobiłem to, co najlepsze dla Chen Li.

- Masz rację. Dużo rozsądniej byłoby skrócić ci wtedy kark. Teraz naprawię to zaniechanie.

Rudzak roześmiał się.

- No to dopadnij mnie, Logan. Znajdź mnie. Czekam na ciebie. A tak nawiasem, grzebień nie był przeznaczony dla Sary ani dla nikogo z Apache Lake. To była zwykła wprawka, niego dna Chen Li.

Logan zeszywniał.

- To w takim razie dlaczego wrzuciłeś grzebień do jej dzipa?

- Nie był przeznaczony dla Sary, Logan - rzekł i odłożył słuchawkę.

Rozdział piętnasty

Gdzie jest Jane? - Eve rzuciła to pytanie Loganowi następnego dnia, gdy tylko odebrał telefon. -

Powiedziałeś, że będą bezpieczni. Gdzie ona jest, do cholery?

- Co takiego? - Przeszyła go panika. - O czym ty mówisz?

- Mówię o Jane. Joe właśnie zadzwonił z wiadomością, że Jane zginęła.

- Skąd zginęła?

- Z domu mojej matki w Atlancie. Joe zostawił ją u niej wczoraj wieczorem, gdy poprosiłam go, żeby do mnie przyjechał. Kiedy moja mama weszła do pokoju Jane, by zawołać ją na śniadanie, małej już nie było. Do cholery, powiedziałaś, że będą bezpieczne.

- Czy znaleziono jakieś ślady włamania?

- Nie, chyba nie. Joe tam leci, żeby porozmawiać z moją mamą i obejrzeć dom.

- Czy to możliwe, że uciekła? Ostatnio była przygnębiona.

- Nie na tyle, aby uciekać.

Logan też miał takie wrażenie, ale wysuwał różne możliwości. Wszelkie inne wyjaśnienia śmiertelnie go przerażały.

"Grzebień nie był przeznaczony dla Sary".

Słowa Rudzaka tkwiły mu w głowie od zeszłej nocy. Czyżby miał być dla małej Jane MacGuire?

- Dlaczego się nie odzywasz? - zapytała gniewnie Eve.

- Zastanawiałem się. Rozłącz się, a ja zadzwonię do Galena. Skoro Jane miała zamieszkać u twojej matki, na pewno przydzielił domowi ochronę.

- Więc zadzwoń do niego, a potem oddzwoń do mnie - powiedziała Eve urywanym głosem. - Zwróć mi Jane, Logan. Nie zniosę utraty drugiej córki. - Odłożyła słuchawkę. - Co się stało? - pytała Sara, wchodząc do saloniku. - Coś z Jane?

- Zniknęła z domu babki. - Logan łączył się z Galenem. - Eve odchodzi od zmysłów.

- Trudno jej się dziwić - rzekła Sara. - Musiało jej to przypomnieć porwanie Bonnie i cały związek z tym koszmarem.

- Galen, kogo ty, do diabła, posłałeś do Atlanty? Jane MacGuire zginęła.

- Ta dziewczynka? Niemożliwe. Wczoraj wieczorem postawiłem dwóch swoich najlepszych ludzi przy domu jej babki. Zameldowaliby mi, gdyby coś się działo.

- No więc twoi dwaj najlepsi ludzie schránili robotę.

Zaginęła. Zadzwoń do nich i zapytaj, co, do cholery, wiedzą. - Odłożył słuchawkę. - Galen nie ma o niczym pojęcia. Mówi, że dom był strzeżony.

- Rudzak - wyszeptwała Sara.

- Nie wiem.

- To mała dziewczynka, Logan. - Wzdrygnęła się. - Ale te dzieci w Apache Lake nie były zwykłymi malcami, co? Jego to nic nie obchodzi.

- Tak, nic go nie obchodzi. - Zacisnął wargi. - Ale nie powinniśmy wyciągać pochopnych

wskazówek. - M się zał. - Szczęśliwie

- I co jej powiesz? Ze jesteś pełna współczucia? Czy'dzięki temu lepiej się poczuje? Nie blokuj jej linii, bo może ktoś będzie chciał się z nią skontaktować.

- Mówisz jak policjant - powiedziała bezdzwięcznym głosem. - Czy nie tak każą postępować, kiedy ginie dziecko?

- Quinn już szuka Jane. Zadzwoń do Eve, kiedy tylko czegoś się dowie. - Urwał. - To nie musi być Rudzak, Sara. - Po prostu zbieg okoliczności? Czyż nie to sobie wmawiałeś w Kai Czi? Nie mógł zaprzeczyć.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Ruszyła do drzwi.

- Dopóki nie znajdziemy jakichś pamiątek po Chen Li obok ciała Jane?

Cieszył się, że wyszła z pokoju. Nie zamierzał jej opowiedzieć o rozmowie z Rudzakiem, ale mogła coś wyczytać z jego twarzy.

"Ten grzebień nie był przeznaczony dla Sary".

- Wiadomo coś o dziecku? - spytała Margaret, idąc obok Sary do frontowych drzwi.

Sara potrząsnęła głową.

- Ludzie Galena przysięgają, że nikogo nie widzieli koło domu.

- To dobre wieści.

- Oznacza to tylko, że Rudzak jest sprytny. Nie mogę dłużej czekać. Zamierzam jechać, żeby zobaczyć się z Eve.

- Na nic się tam nie zdasz.

- Spróbuję ją podtrzymać na duchu. Na miłość boską, już się robi ciemno, a ustalili, że mała zniknęła rano. Miałam nadzieję, iż niebawem czegoś się dowiemy.

- Zaczekaj jeszcze - przekonywała Margaret. - Pójdziemy na spacer z Bassettem, a jeżeli do naszego powrotu Logan niczego się nie dowie, zwiejesz stąd, a ja będę cię kryła przed Loganem.

- Nikt nie musi mnie kryć.

- W takim razie ty kryj mnie, bo nie umiałam tak cię zagadać, żebyś nie rozmyślała o Jane. - To ci zlecił Logan?

- Niektóre rzeczy są oczywiste same przez się. Bassett już czeka.

Sara wzruszyła ramionami. Jeszcze kwadrans nie zmieni sytuacji.

- No dobrze, obejdźmy teren dookoła.

- Świetnie. - Margaret szybkim krokiem minęła Bassetta i szparko pomaszzerowała za dom. - Odpręż się, Bassett. Rozruszaj się trochę.

- Już się robi. - Bassett mrugnął do Sary, doganiając Margaret. - Znowu na przebieżce. Ta kobieta jest zakląką mojego życia. - Spoważniał. - Logan powiedział mi o dziewczynce. Czy są jakieś wieści?

Sara doganiała go, potrząsając głową.

- Dziś po południu Galen poleciał do Atlanty. Spotka się tam z Joem.

- Może nic jej nie jest. Dzieciom wpadają do głowy różne pomysły. A nuż postanowiła pobawić się w chowanego albo chce, żeby się o nią trochę pomartwili.

- To niepodobne do Jane.

- A może jej babcia ...

- Pospieszcie się. - Margaret machnęła ręką do strażnika, stojącego w pewnej odległości od frontowej bramy.

- Jak się masz, Booker. Widziałeś kiedyś w życiu większe niedolegi niż tych dwoje?

Strażnik uśmiechnął się.

- Naprawdę spodziewa się pani odpowiedzi na to pytanie?

- Tchórz. - Margaret skręciła na ścieżkę, wiedząc wokół domu. - Pospieszcie się, ćwiczenie nie przynosi żadnych rezultatów, jeżeli nie przyspiesza rytmu serca.

- Pędzimy. - Bassett ruszył szybciej. - Tuż za tobą.

Nie szli tuż za nią. W rzeczywistości Margaret wyprzedzała ich o paręnaście metrów. Odwróciła się i pomachała do nich z pogardą. - Mówiłam wam, że musicie wyciągać nogi, żeby ... - Zesztywniała, ze wzrokiem utkwionym we frontową bramę. - Booker?

Wilk znowu zawył. Eve również chciało się wyć. O Boże, żeby Jane nic się nie stało. Zobacz, jak się ma Maggie, upewnij się, że z nią wszystko w porządku. Przynajmniej czymś się zajmiesz. Podeszła do werandy i wetknęła głowę przez drzwi. Wilk łypnął na nią ślepiami z niechęcią i uniósł łeb, by znowu zawyć.

- Nie mogę ci pomóc - wyszeptała. - Nie mogę sprowadzić ich z powrotem.

Nie potrafiła też pomóc sobie. Ani Jane.

Do diabła, Logan" znajdź ją. Zesztywniała, słysząc pukanie do drzwi. Powoli przeszła przez pokój. Gdyby trafili na jej trop, zadzwoniliby natychmiast. Złe wieści przekazuje się osobiście. Policjanci pukają do drzwi i mówią, jak im przykro, że pani mała dziewczynka nie żyje.

Bonnie.

Nie, tu chodzi o Jane i Bóg nie pozwoli, by znowu to się jej przytrafiło. Musi obowiązywać jakieś powszechne prawo, zabraniające ...

Znowu rozległo się pukanie. Wilczyca zawyla.

Na chwilę oparła czoło o framugę. Spójrz prawdzie w oczy. Cofnęła się i gwałtownym ruchem otworzyła drzwi.

Herb Booker przywarł do bramy, patrząc wprost przed siebie. Z jego ramienia ciekła krew. Całym ciałem nieszczęślika wstrząsnęło drzenie.

- Chryste, postrzelono go. - Bassett przebiegł podjazdem obok Margaret. - Musimy mu pomóc.

- Postrzelony? Sarę ogarnęła panika. - Bassett, nie podchodź do bramy!

- Na ziemię! - Margaret już biegła ku Bassettowi i leżącemu Bookerowi. - Nie podnoś się, Bassett.

- Co tu się dzieje, do diabła? Bookera ... - Bassett okręcił się dookoła i chwycił się za przegub.

Następny strzał.

Sara ujrzała krew, tryskającą z piersi Margaret, która z wolna osuwała się na kolana.

- Sara? - wyszeptała z niedowierzaniem. Sara krzyknęła i pobiegła ku niej.

- Wezwij ochronę - rzekł oszołomiony Bassett. Ścisnął się za przegub, a przez palce ciekła mu krew.

- Na miłość boską, wezwij ...

- Padnij na ziemię i nie podnoś się - ryknęła na niego Sara. - Nic nie możesz poradzić. Mont y, zostań z nim.

Kula świsnęła koło jej policzka, gdy uklękła przy

Margaret, która opadła na ziemię.

- Margaret?

Oczy Margaret wpatrywały się w przestrzeń.

- Nie ... podnoś się ...

Sara uświadomiła sobie, że Margaret nadal wydaje rozkazy. Czy powinna ją przenieść? A gdyby pocisk przeleciał odrobinę bliżej?

Pomoc. Potrzebuje pomocy. Otworzyła usta i krzyknęła.

- Wiem, że się na mnie wściekniesz. - Jane wojowniczo wyprostowała ramiona. - Szkoda. Jestem tutaj i tu zostanę. Nie możesz po prostu wyjechać i myśleć, że ... Puść mnie. Nie mogę oddychać.

- Nic na to nie poradzę. - Eve mocniej ścisnęła w objęciach chude ciało Jane. - Nie puszcę cię. -

Odchrząknęła. - Przynajmniej jeszcze przez parę minut. Potem cię zamorduję.

- Wiedziałam, że się wściekniesz. Powiedziałabym Joemu albo twojej mamie, ale na pewno nie pozwoliliby mi wyjechać. Myślą, że jestem dzieckiem.

- Jesteś dzieckiem, do cholery.

Jane spojrzała na nią.

- Niech będzie. - Jane była takim samym dzieckiem jak Eve w jej wieku. Obie wychowała ulica, która skradła im młodość. - W takim razie powinnaś być na tyle dorosła, że bym nie zamartwiała się przez ciebie na śmierć.

- Nie pozwoliłabyś mi przyjechać. - Cofnęła się. - A ja tu jestem. Chyba powinnaś zawiadomić o tym Joego, co?

- Tak. - Nie chciało się jej ruszyć. Pragnęła tylko patrzeć na swoją córkę. - Jak się tu dostałaś?

- Kupiłam bilet elektroniczny w Internecie i zapłaciłam twoją kartą kredytową. Jestem ci winna pieniądze.

- Pozwolili ci samej wejść do samolotu?

- Dałam sobie radę. Czy to wyje ta wilczyca? Gdzie ona jest?

- Na werandzie. A jak przyjechałaś tu z lotniska?

- Autostopem. - U niosła rękę, by powstrzymać okrzyki oburzenia Eve. - Wiem, że to niebezpieczne. Zabrało mnie starsze małżeństwo i przez całą drogę wkładali mi do głowy nauki. Zaczekali w swojej furgonetce, póki nie otworzyłaś drzwi. Chcę zobaczyć wilczycę. - Ruszyła w kierunku drzwi, które wskazała Eve. - Zadzwoń do Joego, a potem możesz na mnie nawrzeszczyć.

- Masz to jak w banku. - Podeszła do telefonu. - Ale trzymaj się z dala od Maggie. Jest rozdrażniona. - Dlaczego?

- Chyba czuje się osamotniona.

Jane spojrzała na nią przez ramię. - To bardzo przykre. Aż ... boli.

- Tak, to prawda.

Jane odwróciła wzrok.

- Zadzwoń do Joego.

Kolejny pocisk gwizdnął koło ucha Sary, która skuliła się nad Margaret, obiema rękami ściskając miejsce nad raną.

- Saro! - Logan wybiegł ku niej z domu. Tuż za nim spieszył Juan Lopez. - Skryjcie się z Margaret między drzewami, do cholery!

- Zaraz. Zajmij się Bassettem i Bookerem. Obaj zostali postrzeleni.

- Lopez, dzwoń pod dziewięćset jedenaście - krzyknął Logan.

Przed bramą rozległ się pisk opon i ciemny camaro pomknął aleją.

Lopez wybiegł z bramy i stał, patrząc za nim. - Sukinsyn.

- Daj s

tobą tak jak ja. Jestem sprytna i znam te same rzeczy co i ty. To coś jest.

- To bardzo dużo.
- A więc jesteś szczęściarą, że mnie masz.
- O tak.

Jane rzuciła jej lekceważące spojrzenie.

- Chyba nie masz zamiaru się rozplakać?
- Nawet mi to do głowy nie przyszło. - Eve potrząsnęła głową. Odchrząknęła. - Skoro jesteś po prostu rozsądna.
- To dobrze. Nie ma sensu lać łez. - Jane podeszła do wilczycy. - A teraz powiedz mi, jak opiekować się Maggie.

Sara cała się spięła, gdy Logan wszedł do szpitalnej poczekalni.

- Będzie żyła?
- Nie mam pojęcia. Wyjęli kulę, ale Margaret jest w stanie krytycznym. Przez jakiś czas sytuacja będzie bardzo niepewna. - U siadł i ukrył twarz w dłoniach. - Po prostu nie wiem.

Milczała przez chwilę.

- Znacie się od bardzo dawna.
- Prawie piętnaście lat. - Uniósł głowę, ukazując wymizerowaną twarz. - Pracowaliśmy ze sobą tak długo, że stała się jakby członkiem rodziny. Ale nie sądziłem, że Rudzak. .. Myślałem, że nic jej nie grozi.
- Znajdowała się za elektrycznym płotem, strzeżonym przez ochronę.
- Jak mogłem do tego dopuścić? Powinienem być bardziej uważać. Należało powstrzymać ją i Bassetta przed tymi spacerami.
- Byli bezpieczni pod warunkiem, że nie podchodzili do bramy. Tylko wtedy znajdowali się w polu ostrzału. Nie mogłeś wiedzieć, że strzelec najpierw wyceluje w Bookera, żeby przyciągnąć nas do bramy.
- Mimo wszystko ponoszę za to odpowiedzialność. Powinno być inaczej ...
- Cicho bądź, Logan. - Zamknęła w dłoniach jego rękę. - Zrobiłeś, co mogłeś. Nie jesteś wróżbitą, a już na pewno nie bogiem. Więc przestań się obwiniać.

Na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech. - Dzięki za miłe słowa.

- Chcesz, żebym powiedziała coś miłego? - Zamrugnęła, by powstrzymać łzy. - Niestety, mogę być tylko sobą. Zrobiła-bym wszystko, żeby oszczędzić ci tych przeżyć. Przynajmniej Booker i Bassett wyjdą z tego. Doktor powiada, że stan Bookera nie jest ciężki, a Bassett ma tylko paskudną ranę w ręce.

- Przeżył spory wstrząs. Chce dokończyć badania w Dods-worth.
- Wie, że w Dodsworth też może nie być bezpiecznie?
- Woli zaryzykować tam. Myślę, że ma rację. - Podniósł się. - Muszę się rozruszać. Przynieść ci kawy z automatu?

Potrząsnęła głową.

- Kazałem Lopezowi spakować twoje rzeczy. Galen pojedzie po ciebie i Bassetta i zawiezie was do Dodsworth.

- .Mnie?'

- Ja muszę tu zostać, a chciałbym, żeby Galen cię ochraniał. Musi być w Dodsworth.
- Nie przyszło ci do głowy, że chciałabym zostać z tobą? - zapytała łamiącym się głosem.
- Przyszło, choć nie żywisz do mnie czułych uczuć. - Delikatnie dotknął jej policzka. - Lecz jeśli chcesz mi pomóc, jedź do Dodsworth. Nie chciałbym się martwić jeszcze i o ciebie. - Wolałabym ...
- A ci ludzie z Dodsworth? Zapomniałeś, że może będziesz musiała przekazywać mi informacje? - Nie zapomniałam.

- W takim razie jedź i upewnij się, że Galen robi, co do niego należy. Przyjadę tam, gdy tylko Margaret się polepszy.

Do diabła, cierpiał i nie chciała go zostawiać. Pragnęła przytulić kochanka i pomóc mu przetrwać tę straszliwą noc, podobnie jak on tulił ją po Apache Lake.

- Rudzak będzie w Dodsworth, Saro. Jestem tego absolutnie pewien. A ja cię tutaj nie potrzebuję i nie chcę, żebyś tu została. - Wyszedł z poczekalni.

Dogoniła go w połowie korytarza.

- Nie ze mną te zagrywki. - Obróciła go, obejmując w pasie, a potem uściśnęła gwałtownie. - Na to nie pozwolę. Chcesz, żebym tu została. Wiem o tym. Zależy ci trochę na mnie i mogłabym ci pomóc. - Wypuściła go z objęć. - Ale pojedę do Dodsworth. Aby mieć pewność, że nic się nie stanie tym ludziom, żebyś nie miał poczucia winy przez resztę swego nieszczęsnego życia. - Cofnęła się. - Idę do pokoju Bassetta. Powiedz Galenowi, żeby tam do mnie zaszedł.

Lusterko oprawne w kość słoniową miało kształt anchu: zmiękką kunsztownie wyrzeźbioną wokół rączki z drewna teakowego. Był to jego ostatni prezent dla Chen Li.

To będzie jego ostatni prezent dla Logana.

*

- Anch? - Chen Li uniosła lusterko. - To symbol nieśmiertelności, prawda?

- Dlatego ci go przyniosłem. Aby ci pokazać, że będziesz żyła wiecznie.

Skrzywiła się.

- W tej chwili nie czuję się nieśmiertelna, Martinie, chociaż polepszyło mi się od zeszłego tygodnia. Może mimo wszystko powracam do zdrowia.

Nie powracała do zdrowia. Siedząc w fotelu pod oknem, sprawiała wrażenie wychudzonej, słabowitej i bladej. Nigdy nie będzie już tą samą Chen Li. Śmierć wykradała mu ją, podobnie jak Logan. A Logan będzie ją trzymał przy sobie aż do samego końca, podsycając w niej nadzieję, a zarazem mówiąc Rudzakowi, że ukochana nie czuje się dość dobrze, by go widzieć.

- Czy wczoraj wieczorem poszłaś wcześniej spać? Logan powiedział, że nie mogę wejść.

Odwróciła wzrok.

- Byłam trochę zmęczona.

- Znużenie szybko minie. - Stał za nią i położył jej ręce na ramionach. - To lusterko jest niezwykle. Należało do najwyższego kapłana. Dzięki niemu będziesz żyła wiecznie.

- Może powinniśmy powiedzieć o tym moim lekarzom. Przydałaby się im pewna pomoc. -

Pochyliła się do przodu, aż ręce mu opadły. Usiłuje uniknąć swojego dotyku, uświadomił sobie z pełną niedowierzania wściekłością. Już jest dla mnie stracona.

Ale może ją odzyskać. Może ją odebrać Loganowi. - Wypróbujmy to - rzekł. - Spójrz w lustro.

- Ostatnio nie podoba mi się to, co widzę w lustrze.

- A powinno. Jesteś piękna.

- Jasne. John mi to powtarza.

Nie chciał słuchać, co mówi Logan. Ta chwila należała tylko do niego.

- Bo to prawda. - Pochylił się nad nią i położył ręce na jej karku. - Ujrzysz to w moich oczach.

Spójrz w lusterko.

Jeśli nie chcesz patrzeć na swoje odbicie, spójrz na moje, a dowiesz się, że będziesz żyła wiecznie i na zawsze pozostaniesz tak piękna, jaka jesteś dla mnie w tej chwili. Podnieś lusterko.

Z wolna je uniosła.

- Martinie, co się dzieje? Masz łzy w ... - Lusterko wypadło jej z rąk, gdy jednym gwałtownym ruchem skrzywiła jej kark.

- Zegnaj, Chen Li. - Delikatnie ucałował jej policzek, po czym podniósł lusterko. - Zegnaj, najdroższa.

Starannie owinał lusterko w bibułę i umieścił je w pudełku. Wsunął zapisaną karteczkę na wierzch i zamknął pokrywkę.

Zaadresował przesyłkę do Sary Patrick w Dodsworth.

Budynek sądu grodzkiego Dodsworth, Dakota Północna

Czyżby coś usłyszał? Zamykane drzwi?

Chyba nie. Billowi Ledwickowi przez cały wieczór wydało się, że w tym trzeszczącym starym budynku rozlegają się różne dźwięki. Był tak znudzony, że najdrobniejsza rzecz poruszała jego wyobraźnię. Pragnął już wrócić do kołogów w ośrodku.

Jednak lepiej sprawdzić, co to za hałas. Galen życzył sobie, by zwracać uwagę nawet na najmniejszy drobiazg.

Podniósł się z krzesła i ruszył długim, ciemnym korytarzem. Ciszę zakłócał tylko szelest jego gumowych podeszew na marmurowej posadzce.

Przystanął przed szklanymi drzwiami archiwum. Przesuwał się na bok i otworzył je gwałtownym ruchem. Odczekał minutę, po czym sięgnął do środka i zapalił światło.

W pomieszczeniu nie było nikogo.

Oczywiście, że nie. To tylko igraszki jego wyobraźni. Lepiej sprawdzić dla pewności.

Podszedł do kartoteki w przeciwnym końcu pokoju i otworzył szufladę. Wiedział, gdzie trzymano dokumenty. Bardzo często ją sprawdzał.

Otworzył teczkę. A niech to szlag!

- Dostałem wiadomość od mojego człowieka w budynku sądu - rzekł Galen w rozmowie telefonicznej z Loganem następnego dnia. - Plan ośrodka zniknął z archiwum.

Logan milczał przez chwilę.

- Spodziewałem się tego. Rudzak nie jest typem człowieka, któremu wystarczałaby ciężarówka dynamitu zaparkowana w pobliżu celu. Nie atakuje na oślep. Musi mieć stu-procentową pewność, że mnie dopadnie.

- W takim razie jego wynajęty strzelec powinien trafić w ciebie, a nie Margaret.

- To dla niego za mało. Nie dość efektywne. Chce po-grzebać mnie w Dodsworth, tak jak ja pogrzebałem go w tym więzieniu. Byłby to ostateczny hołd, złożony jemu i Chen Li.

- A jak się czuje Margaret?

- Lepiej, chociaż niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.

Pozwolili mi zobaczyć ją za parę minut. Jej rodzina przyleciała wczoraj wieczorem z San Francisco, a braci wpuszczono na oddział intensywnej terapii. - Urwał. - A jak tam Sara?

- Doprowadza mnie do białej gorączki. Razem z Mon-tym sprawdzają każdy centymetr ośrodka, szukając luki w systemie bezpieczeństwa. Zna zasady postępowania w nagłych wypadkach lepiej niż mój zastępca i chyba zapamiętała usytuowanie każdego korytarza w tym cholernym budynku.

- A znalazła jakieś luki? Chwila wahania.

- Jedną. Ale to szczelina cienka jak włos.

- Więc uważa, że Dodsworth jest dobrze zabezpieczone?

- Tak, ale teraz nie rozumie, dlaczego Rudzak miałby się upierać, żeby go zaatakować. - Powiedz jej o planach.

- Powiem. Ale może się martwić o inne ośrodki.

- Od tego tam jesteś, żeby się nie martwiła.

- Póki nie zrobi kolejnego obchodu o czwartej nad ranem. - Głos miał zdecydowanie cierpki. - Wolałbym już za-jąć się Maggie. Kiedy przyjedziesz, żeby mnie od niej uwolnić?

- Najprędzej, jak tylko będę mógł, ale zapewniam cię, że Rudzak nie zacznie beze mnie. Nie ma od niego żadnych wieści?

- Tylko brak planów. To dość dobitne oświadczenie. Po-zdrów ode mnie Margaret. - Rozłączył się. Logan wsunął telefon do kieszeni i ruszył w stronę oddziału intensywnej terapii. Nie dziwił się, że Sara przyprawiła Galena o ból głowy. Sympatia przestawała się liczyć, jeśli ktoś wchodził jej w drogę przy wykonywaniu zadania, a w tym wypadku miała za zadanie zapobiec katastrofie w Dodsworth.

- Co ty tu robisz? - zapytała Margaret tak stłumionym szeptem, że ledwo go dosłyszał od drzwi. Przeszedł przez pokój i ujął ją za rękę. - Jak się czujesz?

- Paskudnie. - Łypnęła na niego gniewnie. - I jestem wściekła. Dlaczego jęczysz tu i smęcisz, zamiast ścigać tego sukinsyna, który mnie postrzelił! Myślałeś, że umrę?

- Nawet mi to nie przyszło do głowy.

- Kłamczuch. Ale ja nie umrę i ... - musiała urwać, by zaczerpnąć powietrza - mam dość kłopotów z braćmi, którzy się nade mną trzęsą. Więc wynoś się stąd.
- Stał, wpatrując się w nią.
- No dobra, dobra, obiecuję, że nie umrę, John. - Obnażyła zęby niczym rozjuszony tygrys. - Zamiast kwiatów przyslij mi głowę Rudzaka.
- Zrobię, co się da.
- To dobrze. - Zamknęła oczy. - A teraz zabieraj się stąd. Jestem zmęczona.
- Zawołać pielęgniarkę?
- Jego głowę, John. - Nie otwierała oczu. - Nie stój tu jak smutas, tylko wynoś się i przynieś mi jego głowę.
- Tak jest, wielmożna pani. - Odwrócił się ku drzwiom. -W tej chwili, jaśnie pani.

19.45

- Joe przyjechał wczoraj - powiedziała Eve do Sary przez telefon. - Zostanie tu tak długo, jak długo będziesz mnie potrzebowała. Orientujesz się mniej więcej, ile to potrwa? - Chciałabym.
- Nie ma sprawy. Po prostu pomyślałam, że miło byłoby pobyc w domu z rodziną.
- Jane już doszła do siebie?
- Ale nie dzięki mnie. Sama wszystko sobie poukładała. Tak mi się wydaje.
- Jak to?
- To zabawne, jakie wszystko staje się jasne i proste, gdy odrzucimy bagaż przeszłości. A co ty tam robisz w Dodsworth?
- Swoją robotę.
- Czy ochrona jest tak szczelna, jak myślałaś?
- Lepsza. I to mnie gnębi. Dlaczego Rudzak uważa, że może wysadzić ten ośrodek?
- Obawiasz się, że weźmie na cel inne miejsce?
- Ale tylko ja. Galen i Logan uważają, że skradzione plany to niezbity dowód. Boję się, że to zmyłka. - Logan nie jest głupi.
- Wiem. Po prostu ... - Urwała, zakłopotana. - Obawiam się, że idziemy fałszywym tropem. Coś tu śmierdzi.
- Eve zachichotała.
- Mówisz, jakbyś była wężącym Montym.
- Mont y zazwyczaj się nie myli.
- Absolutnie się z tobą zgadzam. Kieruj się instynktem.
- Ale muszę kończyć. Czas nakarmić Maggie.
- Była to też pora, by nakarmić Monty'ego.
- Chodź, chłopie. - Sara powiesiła słuchawkę i poszła do stołówki z Montym u nogi. Wyładowała jedną z szafek kuchennych jego karmą i witaminami i próbowała dawać mu posiłek wieczorami, gdy naukowcy przestawali go rozpieszczać. Mont y praktycznie stał się ich maskotką i zamiast jeść, wołał, by drapano go po brzuchu.
- Bassett siedział przy stoliku i podniósł wzrok, gdy Sara weszła na salę.
- Usiądziesz ze mną? Potrząsnęła głową•
- Przyszłam, żeby nakarmić Monty'ego. Jestem cała podminowana.
- Naprawdę? Ja czuję się tu dużo bezpieczniej. - Wstał i poszedł za Sarą i Montym do kuchni. - To zabawne, ale aż do ostatniego dnia w Phoenix uważałem, że wszystko idzie dobrze. Nie wiesz, co słyhać u Margaret?
- Jeszcze żyje.
- Strasznie na nią wyrzekałem, ale w gruncie rzeczy lubiłem ją.
- Wiem. Jak ci się podoba tutejsze laboratorium?
- Bardzo. Przydzielili mi do pomocy Hildę Rucker. Jest wspaniała. - Zmarszczył nos, wpatrując się w swą obandażowaną lewą rękę. - I ma dwóch świetnych komputerowców. Nie mogę się skarżyć. - Dopił kawę jednym łykiem. -Wracam do roboty. Hilda nie jest Margaret, ale nie mogę

pozwolić, by mnie wyprzedziła. Przekazuj mi wieści o Margaret.

- Nie omieszka.

Galen minął go w drzwiach, niedbale kiwając mu głową, po czym podszedł do Sary.

- Logan tu jedzie. Właśnie dzwonił z wiadomością, że Margaret go wykopała. Powinien być na miejscu za parę godzin.

- To dobrze. - Pochyliła się i postawiła przed Montym miskę z jedzeniem. - Więc jest jej lepiej?

- Cóż, najwyraźniej zachowuje się w zwykły sposób. - Skrzywił się. - Cieszę się, że jest w Phoenix.

Nie potrzeba mi tu jeszcze jednej kobiety jak dynamo.

- Owszem, potrzeba. Ale na razie ja ci muszę wystarczyć. A mówiąc o kobietach typu dynamo, rozmawiałam niedawno z Eve. Uważa, że Maggie albo się dąsa, albo lamentuje. Bez przerwy wyje.

- Więc może pojedź do domu i sama się zajmij swoją wilczycą.

Rzuciła mu szelmowskie spojrzenie.

- A może powinnam posłać po Maggie i Eve, żeby one tu przyjechały?

- Nie ma mowy. - Ruszył do drzwi. - Zmywam się stąd.

- Nie możesz znieść tego napięcia? - Ale mężczyzny już nie było.

Duża kuchnia nagle wydała się jej przepastna i opustoszała. Jej uśmiech zgasł, gdy oparła się na blacie i patrzyła, jak Monty pałaszuje. Utarczka z Galenem pozwoliła jej się wyładować, czego tak bardzo potrzebowała. Czula narastający niepokój i musiała jakoś ukoić nerwy.

Monty y spojrzał na nią. Smutna?

Potrząsnęła głową, napełniając miskę wodą. Nie smutna, rozdrażniona. I samotna. Aż dziw, jak głęboką można odczuwać samotność z dala od drogiej sercu istoty.

- Jedz kolację. Nie dostałeś porządnego posiłku od czasu, gdy opuściliśmy domek.

Smutny.

- Taką mamy pracę. Musiałam cię zabrać od Maggie.

Smutny.

- Niech mnie Bóg broni przed usychającymi z miłości ... - Dlaczego ma pretensje do Monty'ego, skoro sama przed paroma minutami snuła się nieszczęśliwa? - W porządku - wyszeptła, pochylając się, by podrapać go za uchem. - Wiem, że ci źle, ale musimy ciągnąć tę robotę. Teraz jedz ko ...

- Saro.

Gdy się odwróciła, ujrzała Galena, stojącego w drzwiach.

- Dlaczego wró ... - Zesztywniała. - Co się stało?

- Paczka dla ciebie. - Przeszedł przez pokój i wręczył jej starannie zapakowane pudełeczko. -

Właśnie nadeszła. Przesyłka specjalna.

Wszystkie paczki, przychodzące do ośrodka, były prześwietlane.

- Co to jest? Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Coś dziwnego. Ale to nie materiał wybuchowy.

Powoli rozwinęła papier i zdjęła pokrywkę. Znajdujący się w środku przedmiot był stary, bardzo stary, kość słoniowa żółkła z upływem czasu, ale pozłacane lusterko nadal lśniło. Poczowała ucisk w żołądku.

- Chen Li.

Galen zesztywniał.

- Obawiałem się tego. Nie czytaj karteczki. Może lepiej zostawić ją dla Logana.

- Adresowana jest do mnie. - Rozwinęła papier.

Saro!

Jak powiedziałem Loganowi, ostatni prezent nie był przeznaczony dla Ciebie. Ten jest znacznie bardziej odpowiedni. Zauważyłaś zmianę? Możesz się nią podzielić z Loganem.

Martin Rudzak

Rozdział szesnasty

20.20

Jeszcze jeden ładunek.

Duggan ostrożnie umieścił plastikowy materiał wybuchowy wysoko w rozwidleniu kolumny, tak by go nie było widać.

Teraz zejdź. Zabieraj się stąd.

I patrz, jak ta cholerna buda wylatuje w powietrze.

22.05

- Co właściwie dzieje z tobą? - spytała Sara, patrząc wraz z Galenem, jak Logan czyta karteczkę. W sali konferencyjnej na pierwszym piętrze zaciągnięte były wszystkie żaluzje, a Monty leżał parę metrów od Sary. - Czy lusterko należało do Chen Li?

- Prawdopodobnie. Ale nigdy go nie widziałem. Pielęgniarki mówiły, że Rudzak niósł jakieś pudełko, gdy wszedł do pokoju szpitalnego Chen Li tej nocy, której ją zabił.

- A co ono oznacza?

- To jego ostatni prezent dla niej, z czego wynika, że zaczyna tracić cierpliwość. Chce z tym skończyć. - Zacisnął rękę na lusterku. - Bogu dzięki. Ja także.

Sara również miała już tego dosyć, lecz myśl o ostatecznej rozgrywce przerażała ją.

- A zatem chodzi o Dodsworth ...

Zadzwoił telefon Logana. Słuchał rozmówcy przez chwilę.

- Tak. Rozumiem. - Rozłączył się i zwrócił do Gale'na. - Rudzak ma zamiar zrobić ruch.

Ewakuujcie personel. Ile osób dziś pracuje?

- Dwanaście.

- Wyprowadź ich stąd. Powiedz swoim ludziom, żeby obeszlili cały teren, a potem niech się też stąd zabierają.

- Już leczę. - Galen wybiegł z sali.

- Zawiadomić saperów i Grupę Specjalną? - spytała Sara.

- Galen się tym zajmie. - Dotknął jej policzka. - Wszystko pójdzie dobrze, Saro. Zanim cokolwiek się stanie, w budynku nikogo nie będzie. Mamy trochę czasu. - Skąd wiesz? Co Rudzak powiedział ci przez telefon?

Możesz się spodziewać, że ten kłamczuch wysadzi ośrodek za parę minut.

- Rudzak planował to od dawna. Ze świecą szukać kogoś bardziej metodycznego. Posuwa się krok za krokiem. Uwierz mi. Nikomu nic się nie stanie.

- Jak mogę ci wierzyć, skoro nigdy mi nic nie mówisz? Rudzak powiedział ci, że grzebień nie jest przeznaczony dla mnie, a ty nie pisałaś mi o tym nawet słówkiem.

- Dlaczego miałem cię martwić? Denerwuję się za nas oboje.

- Czy jeszcze coś przede mną ukrywasz? Nie odpowiedział.

- Odkąd cię poznałam, walczę z twoimi tajemnicami.

- Nie rób mi teraz tego, Saro.

- Dlaczego nie? To ważne. Zawsze musisz być wielkim, silnym bohaterem. Mam już tego dość.

Przecież mieliśmy się dzielić. I traktuj mnie jak partnerkę. Nie jestem krucha jak Chen Li. Nie musisz troszczyć się o ...

- Cicho bądź. - Chwycił ją za ramiona i potrząsnął. - Nie wycieraj sobie gęby Chen Li.

- Nie muszę. Boże drogi, już Rudzak pilnuje, żeby żadne z nas o niej nie zapomniało.

- Posłuchaj. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Nie jestem już tym człowiekiem, który poślubił Chen Li, ale czuję wdzięczność za to, co mi ofiarowała.

- Wiem. Byliście ...

- Zamknij się, na miłość boską! O niczym nie masz pojęcia. Kocham cię. Chcę spędzić z tobą resztę życia. Nigdy nie czułem tego do nikogo i nie pozwolę, by cokolwiek ci się stało. - Ucałował ją mocno. - I będę się o ciebie troszczył, czy ci się to podoba czy nie. Wyjdiesz razem z ochroniarzami.

Patrzyła, oszołomiona, jak od niej odchodzi.

- Akurat! - zawołała za nim. - Rudzak chce, żebym była tutaj. Jeżeli wyjadę, może w ogóle nie przyjść.

Podszedł do drzwi, nie oglądając się za siebie.

- Dokąd ... - Pobiegnęła za nim z Montym u nogi, lecz Logan zniknął za rogiem.

Nie miała zamiaru opuszczać ośrodka, ale nie było czasu na kłótnie. Należało ewakuować ludzi z budynku.

- Chodź, Monty. Wyprowadzimy stąd wszystkich. - Monty szedł za nią, gdy szybko podeszła do laboratorium na parterze, gdzie pracował Kevin Janus.

Czuła się coraz bardziej nieswojo. Cała ta sytuacja przypominała układankę, w której brakowało najważniejszego kawałka. To nie powinno tak wyglądać. Coś tu śmierdzi.

"Mówisz, jakbyś była Montym na tropie". "Kieruj się instynktem".

Nie miała wyboru. Nie było czasu, musiała polegać na instynkcie.

No dobrze, przestań się głowić, dlaczego czujesz się nieswojo. Ale spróbuj znaleźć stożek, spróbuj podjąć trop.

Zanim będzie za późno.

22.35

Budynek pustoszał. Na parkingu nie było już prawie samochodów.

- Nie powinienś wysłać im ostrzeżenia - powiedział Duggan do Rudzaka, gdy siedząc w samochodzie, przyglądali się całemu temu zamieszaniu. - Rozbiegają się jak przerażone myszy.

- A ty wolałbyś myszy w pułapce. - Rudzak obniżył lornetkę. - Paru nieważnym ludzikom pozwolę wziąć nogi za pas. Myszy, które się liczą, nadal siedzą w środku, Duggan. Gdzie umieściłeś ładunki?

- Tam gdzie mi powiedziałeś. W laboratorium w piwnicy. Kanał odpływowy był dokładnie tam, gdzie pokazywał plan. Zajęło mi to w sumie piętnaście minut. Ale powinniśmy zainstalować mechanizm czasowy. Byłoby to dużo bezpieczniejsze.

- Nie zależy mi na bezpieczeństwie. Chcę tam być, pa-trzeć na jego twarz, gdy mu powiem, co go czeka. - Uśmiechnął się. - Ty to rozumiesz. Sam czujesz miły dreszczyk, kiedy naciskasz spust.

- Nie wtedy, kiedy siedzę na stosie ładunków wybuchowych.

- Ale powiedziałeś, że bez kłopotu wydostałeś się z kanału odpływowego. Wszystko razem zajęło ci piętnaście minut?

Duggan przytaknął.

- A przełącznik masz w bagażniku? Daj mi go, proszę, Duggan.

- Oczywiście. - Wysiadł z samochodu, a gdy wrócił, wręczył Rudzakowi przełącznik. - To naprawdę fantastyczna zabawka. I upewniłem się, że nie jest zbyt czuły. Nie chciałbym, żebyś niechcący sam siebie wysadził w powietrze.

- Dzięki za troskę, Duggan. - Leniwie podniósł się z fotela kierowcy. - Ale nie chcę, żebyś więcej się o mnie martwił.

Po czym strzelił mu w głowę.

23.10.

Ciemność.

Logan zatrzymał się w drzwiach pełen napięcia. Wiedział, co czai się w tej ciemności. Gdy oczy przyzwyczajają mu się do czerni nocy, dostrzeże Rudzaka. Czuł niemiłą nienawiść, bijące weń z głębi tego pomieszczenia.

Lecz groźne słowa nie dobiegły do niego z ciemności.

Usłyszał je od tyłu.

- No, dalej. - Nagle poczuł na plecach nacisk lufy rewolweru. - Rusz się, Logan.

23.45

Cztery laboratoria sprawdzone. Zostały jeszcze trzy. Sara i Monty pospieszyli korytarzem.

Gdy dotarli do laboratorium na drugim piętrze, ludzie Galena wyprowadzili już stamtąd siedmiu naukowców. Zostali jeszcze tylko Hilda Rucker i Ron Bassett na trzecim piętrze.

Hildę Rucker Sara spotkała na schodach. Siwowłosa kobieta niosła pudło wypełnione papierami.

- Wiem. Powiedzieli mi, żebym wyszła i pozbieram się w ciągu dwóch minut.
- Zatrzymałaś się, żeby zabrać dokumenty?
- Nie chcę, żeby moja praca rozleciała się w drobny mak. Logan miał rację. Ci ludzie byli tak samo pochłonięci projektem jak i on.
- Gdzie jest Bassett?
- Tuż za mną. Właśnie wrócił do laboratorium i powiedziałam mu o ewakuacji. Kiedy wychodziłam, ładował dyskietki do teczki.
- I pewnie wrzucał dokumentację do pudeł, tak jak ty. Zaraz go stamtąd wyprowadzę. - Cały czas wspinała się po schodach.
Wyprowadzi Bassetta, a potem ...
Wyprowadź Bassetta.
Chroń Bassetta.
Zatrzymała się.
Słodki Jezu.
Gdy znowu ruszyła, zadzwonił telefon.
- Zabieraj się stamtąd, Saro - powiedział Galen, gdy odebrała.
- Niech cię szlag, Galen. Obaj z Loganem wiedzieliście, co?
Milczenie.
- Wyjdź, Saro - usłyszała po chwili.
- Idź do diabła - rozłączyła się i zaczęła przeskakiwać po dwa stopnie z Montym u nogi.
Chroń Bassetta.
Zapewnij mu bezpieczeństwo.
- Bassett!
Wyszedł z laboratorium z teczką w ręce.
- Saro, właśnie miałem do ciebie zadzwonić. Przed paroma minutami spotkałem Logana, który chce, żebyś poszła ze mną ... - Urwał, widząc wyraz jej twarzy. - Rozumiem. A więc nie pójdzie tak łatwo, jak myślałem, co? Jesteś bardzo sprytną niewiastą. Obawiałem się, że na to wpadniesz. Jaka szkoda, że tak się stało.
- To ty jesteś judaszem, co? Od początku byłeś wtyczką Rudzaka. Chciał, żebyśmy cię uratowali. Zaplanował sobie, że zabierzemy cię z Santo Camaro, żebyś załatwił Dodsworth. I załatwił Logana.
- Serce w niej zamarło. -Gdzie jest Logan? To ty do niego dzwoniłeś, prawda?
Przytaknął.
- Powiedziałem mu, że Rudzak mi groził i poprosiłem o spotkanie w laboratorium w piwnicy. Oczywiście przyśzedł. - Uśmiechnął się. - Wszyscy wiemy, jak Rudzak napastował mnie w przeszłości. - Wyjął broń z kieszeni marynarki. - Ale Rudzak prócz Logana chce i ciebie, więc muszę wypełnić jego polecenie.
- Ile ci płacił?
- Więcej niż Castleton. Choć to właśnie Castleton wprowadził mnie do zespołu. Zasługiwałem na to. Rudzak nagle zaczął się niecierpliwic, więc dał mi pretekst do natychmiastowego opuszczenia Phoenix. Ten drań nie powiedział mi, że ma zamiar również mnie zastrzelić. - Machnął bronią. - Chodźmy już. Rudzak nie chce wysadzić tego budynku bez ciebie, ale może zrobić się nerwowy, a w takim razie wolałbym, żeby mnie tu nie było.
Nie ruszyła się.
- Mam najpierw zastrzelić psa?
- Nie! - Zaczęła schodzić po schodach. - Jeśli zgodzę się iść z tobą, czy mogę posłać Monty'ego do Galena?
- Boisz się, że wyleci w powietrze?
- Po co mu robić krzywdę? - Przystanąła i odwróciła się twarzą do Bassetta.
Wzruszył ramionami.
- On się nie liczy. I tak nie chcę mieć z nim nic do czynienia. Odeślij go.
- Monty! Idź do ... - Rzuciła się w górę schodów i przypadła do nich, chwytając Bassetta za rękę,

w której trzy-mał broń. - Mont y!

Mont y zatopił zęby w przegubie Bassetta, Sara zaś chwyciła jego obandażowaną dłoń, odginając palce.

Krzyknął z bólu i upuścił broń. Sara zgarnęła ją i ude-rzyła go w twarz kolbą. Krew trysnęła z rozciętej wargi.

- Drań. - Ponownie uderzyła go rewolwerem. - Sukinsyn.

Zgiął się wpół z bólu.

- Saro!

Zobaczyła biegnącego ku nim Galena.

- Puść - poleciała Monty'emu.

Mont y niechętnie uwolnił ze szczęk przegub Bassetta. - Przepraszam. - Galen wysunął się przed Sarę i wy-

mierzyl Bassetowi cios w tętnicę szyjną. - Nie chcemy, żeby nam przeszkadzał. O rany, to mi dobrze zrobiło. -Spojrzał na Monty'ego. - Nie sądziłem, że zobaczę tę pu-chatą kulkę w ataku.

- Nie lubi, jak się we mnie celuje.

- Może niepotrzebnie się tak zdenerwowałem, kiedy spotkałem przy drzwiach Hildę Rucker, która powiedzia-ła mi, że idziesz zobaczyć się z Bassettem. Wygląda na to, że ty i Mont y panujecie nad sytuacją.

- Nad niczym nie panujemy. - Zaczęła schodzić po schodach. - Logan jest w laboratorium w piwnicy. Jakbyś o tym nie wiedział.

- Wiedziałem.

- A ty i Logan wiedzieliście wszystko o Bassetcie.

- Nie od razu. Podejrzewaliśmy tylko. Ale uzyskaliśmy potwierdzenie, gdy dowiedzieliśmy się, że jego tele-fony do żony przełączane są na inny numer.

- Stąd wiedzieliście, że mimo naj szczelniejszej ochro-ny Rudzak uderzy tutaj. Miał wewnątrz kogoś, kto do-starczał mu informacje o systemie zabezpieczeń i otwie-raniu wszystkich drzwi.

- Tak, też na to wpadłaś, co? Zorientowałem się, że to cię dręczy.

- Więc dlaczego do diabła nikt mi nie powiedział?

- Saro, masz wiele talentów, ale nie potrafisz nikogo

zwozić. Nie byłabyś w stanie spojrzeć Bassetowi w twarz i udawać, że o niczym nie wiesz.

- Więc Logan jest na dole sam z Rudzakiem.

- Nie możesz tam zejść, Saro. Tego właśnie chce Rudzak.

- No to tylko popatrz.

Ręka Galena zacisnęła się na jej ramieniu.

- Obiecałem Loganowi, że cię stąd wyciągnę.

- W takim razie beczelnie kłamałeś, bo ja nie ... - Ciemność.

12.05

- Jesteś wyjątkowo potulny, Logan - rzekł Rudzak. -Ciekawe dlaczego.

- Może to przez tę broń, którą trzymasz.

- Tak, to może tłumić niewczesne porywy. Trzeba jeszcze uwzględnić fakt, że masz związane nogi i ręce. A do tego leżysz na ziemi, jak bydlę przeznaczone na rzeź.

- A może chodzi o to, że ten budynek roi się od straż-ników. Któryś zaraz tu wpadnie i rozwali ci łeb. - Logan uśmiechnął się. - Wyobrażam sobie tę scenę z prawdziwą rozkoszą•

- Najpierw cię zabiję. - Odwzajemnił uśmiech. - Ale do tego nie dojdzie. Zbyt dobrze wszystko zaplanowałem. Zaczekamy na twoją Sarę i wtedy zaczniemy. Mam na-dzieję, że wybuch nie zabije cię od razu, ale najprawdopo-dobniej tak się stanie. A jeśli cię nie zabije i tak zosta-niesz zmiazdzony. Kazałem Dugganowi umieścić ładun-ki wybuchowe na szczycie tych kolumn. Dźwigary pod- ' trzymujące tę część budynku runą jak klocki domina.

- Kolejny hołd złożony Chen Li.

- Ostatni.

- Nie, ty będziesz ostatnim. Złapią cię i posła z powrotem do więzienia. Umrzesz tam.

Rudzak potrząsnął głową.

- Wydostanę się stąd tą samą drogą, którą tu wszedłem.

Przez starą kłapę w podłodze, prowadzącą do kanału odpływowego pod budynkiem. Na małym lotnisku za mia-

stem czeka na mnie samolot. Zniknę, zanim ktokolwiek zacznie mnie szukać. Będą zbyt zajęci wygrzebywaniem twojego ciała spod gruzów.

- Nie licz na to. Galen ma głowę na karku i jest moim przyjacielem.

- Kusilo mnie, by uwzględnić Galena w moich planach, ale to nie byłoby praktyczne. Może będę miał okazję później się z nim rozprawić. - Spojrzał na zegarek. - Bassett coś się ociąga.

- Może się z czymś wygadał. Sara nie jest głupia.

- Nie, ale Bassett powiada, że ona go lubi, a nie podejrzewa się ludzi, którzy wzbudzają naszą sympatię. - Znowu się uśmiechnął. - Ty też lubiłeś Bassetta, prawda?

- Gdyby wszystko szło po twojej myśli, już by tu był.

Kazałem Galenowi ewakuować wszystkich, również Bassetta. Gdyby się opierał, wzbudziłby podejrzenia. Galen nie jest taki jak Sara, podejrzewa wszystkich.

Rudzak zmarszczył brwi.

- Usiłujesz wytrącić mnie z równowagi. Czy chcesz poświęcić ostatnie chwile, by uratować tę kobietę?

Logan nie odpowiedział.

- Może tak. Zawsze byłeś głupcem. - Rozpogodził twarz. - Może warto jeszcze chwilę zaczekać.

- Słusznie. - Wodź go za nos, niech się czuje niepewnie, nieswojo. Może Galenowi uda się wyprowadzić Sarę z ośrodka. - Z każdą chwilą, którą tu tracisz, Galenowi będzie łatwiej cię złapać.

Rudzak zawahał się, po czym potrząsnął głową.

- Zaczekamy.

Pięć minut. Dziesięć.

Logan wpatrywał się w niego. Dlaczego się nie boi?

Rudzak pragnął, by rywal trząsł się ze strachu. Czy okaże lęk w ostatecznym momencie?

I gdzie się podziewa Bassett?

- Nie przyjdzie. - Logan odczytywał wyraz jego twarzy. - Ale nadejdzie Galen. Pewnie się zastanawia, gdzie ja teraz jestem.

Rudzak powziął decyzję.

- Niepotrzebna mi Sara Patrick. Zawsze mogę dopaść ją później. - Podeszedł do Logana. - I dorwę ją, Logan. Pomyśl o chwili, gdy runą te kolumny. - Otworzył podręczną torbę. - Mam dla ciebie prezent. Postanowiłem, że lusterko będzie moim ostatnim podarunkiem, ale zmieniłem zdanie. Doszedłem do wniosku, że to powinno być ostatnim miejscem spoczynku wszystkich moich innych podarków dla Chen Li. - Wyciągnął duże pudełko z tekowego drewna. - A więc włożyłem pozostałe pięć cacek, które ode mnie dostała, do tego pudełka, a prócz nich jeszcze coś. - Zdjął pokrywkę, ukazując drobne wyroby artystyczne, pod którymi leżało sześć ładunków dynamitu.

Logan zeszywniał.

- Nie lubię kalamburów, ale to zabójczy pomysł. Wreszcie jakaś reakcja. Logan usiłował to ukryć, ale

wyraźnie był wstrząśnięty.

- Kiedy znajdę się w kanale odpływowym, odpalę ładunki, które umieścił tam Duggan. Ale byłoby to działanie bez polotu. Dlatego chcę, byś patrzył, jak płonący lont zbliża się do ciebie coraz bardziej. - Położył pudełko przy kolumnie najbliższej Logana i rozwijał lont, idąc przez laboratorium ku drzwiom. Przystanął tam i pochylił się, by podpalić lont. - Ten lont wolno się pali. Nie zorientujesz się, który ładunek jako pierwszy cię rozerwie, Duggana czy mój. Masz jakieś trzy minuty. Leż tu i licz sekundy. - Rzucił ostatnie spojrzenie na Logana. Więzień miał ponurą minę, ale Rudzak stwierdził z rozczarowaniem, że nadal nie widać było po nim strachu. - Zegnaj, Logan, niebawem umrzesz.

- Jeśli tak, przywita mnie Chen Li. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby ją uratować. Ciebie nie powita, Rudzak. Zamordowałeś ją. Nienawidzi cię jak zarazy.
- Kłamiesz. Uratowałem ją. - Trzasnął drzwiami i zbiegł ze schodów. Po paru chwilach był już w kanale odpływowym.

Niech to szlag.

Logan wpatrywał się w jaskrawy blask płonącego lontu. Pomyśl. Nie wpadaj w panikę. Jak tu nie wpaść w panikę, skoro to cholerne laboratorium może w każdej chwili zwalić się na niego? Serce waliło mu tak mocno, że omal nie wyskoczyło z piersi. Znajdź bezpieczniejsze miejsce. Zaczął czołgać się w kierunku drzwi.

Kroki biegnącego Rudzaka odbijały się echem w kanale odpływowym.

Logan powiedział nieprawdę. Chen Li nigdy by go nie znienawidziła. To Logan, nie Chen Li, uznał, że wszystko, co ją łączyło z Rudzakiem, było wstrętne i wynaturzone.

Jeszcze dwie minuty i będzie mógł bezpiecznie nacisnąć przełącznik. Logan umrze.

A pamięć o Loganie i Chen Li umrze wraz z nim. Wtedy Rudzak będzie wspominał tylko Chen Li, taką, jaka była, nim pojawił się Logan.

Jedna minuta.

Sięgnął do kieszeni i wyjął przełącznik. Jeszcze minuta, Chen Li.

Pobiegł szybciej. Jeszcze trochę, Chen Li. Już zaraz, ukochana. Już zaraz ...

*

Gdy Sara otworzyła oczy, ujrzała nad sobą czarne niebo i drzewa. Leżała na trawie, a Monty opierał łeb na jej ramieniu.

Galen pochylał się nad nią, rozmawiając z kimś. Musiał poczuć na sobie jej spojrzenie, gdyż zerknął w dół.

- Przepraszam cię. - W jego głosie słychać było napięcie. - Musiałem cię stamtąd wydobyć.

Mgliście przypomniała sobie jego rękę na ramieniu.

Delikatne ukłucie ...

- Dałeś mi ... jakiś narkotyk.

- Tylko bardzo słaby środek uspokajający, bo inaczej nadal byłabyś nieprzytomna.

- Uspiełeś ... Logan! - Usiadła gwałtownie.

- Myślę, że Loganowi nic nie jest.

- Tak myślisz? - Rozejrzała się. Trawa. Mężczyźni. Betonowa rura odpływowa. - Gdzie jesteśmy? -

Przed ośrodkiem.

- A Logan nadal jest wewnątrz?!

- Minęło dopiero dziesięć minut.

- Z Rudzakiem. - Z trudem uklękała. - Dlaczego za nim nie poszedłeś?

- Czekamy.

- Czekać?

Kiwnął głową w kierunku rury odpływowej.

- Tędy Rudzak dostał się do ośrodka.

- Więc idź za nim, do cholery.

- Logan kazał nam czekać.

- Jak to - czekać? Wsadzi ...

Ziemia zatrzęsała się pod nią, nim usłyszała wybuch. Rura odpływowa rozprysnęła się w ognistą kulę fruwającego betonu i dymu.

- Nie! - Zerwała się na nogi i pomknęła w jej kierunku.

Galen pochwycił ją, nim zdążyła dobiec.

- Saro, wszystko jest w najlepszym porządku. Logan właśnie tego chciał.

Spojrzała na niego z przerażeniem.

- Chciał, żeby go rozerwało na kawałki? Oszalałeś?
- Logan nie jest samobójcą. W powietrze nie wyleciał ośrodek, ale jedynie rura odpływowa. Wiedzieliśmy, że w laboratorium w piwnicy umieszczone są ładunki wybuchowe i przenieśliśmy je do rury. Rudzak powinien być w rurze, gdy nacisnął przełącznik.

Obudziła się w niej nadzieja.

- Laboratorium nie wyleciało w powietrze?

- Nie, tylko kanał odpływowy.

- Wiedzieliście, że Rudzak wyjdzie przez tę rurę i mimo to nie wezwaliście policji.

Galen milczał przez chwilę.

- Logan nie chciał, by Rudzaka złapali i wsadzili gdzieś do więzienia. Pragnął jego śmierci.

Poprzednio popełnił błąd, nie zabijając go. Tym razem już nie był taki dobroduszny.

- A więc sam wystawił się na przynętę? A jeśli Rudzak zabił go, nim opuścił laboratorium?

- Logan uważał, że Rudzak nie zamierza ...

- A jeśli Logan się pomylił? - Zaczęła się trząść. - Jak ktokolwiek może odgadnąć, co chodzi po głowie temu sukin ...

Kolejna eksplozja wstrząsnęła ziemią.

Sara, przerażona, wpatrywała się w budynek. Dym rozświetlał się ukazując, że nie tylko rura odpływowa wyleciała w powietrze.

- Czy to laboratorium? - wyszeptła.

Galen klął. Starczyło to za odpowiedź.

12.55

Strażacy przewietrzali rurę odpływową, usiłując oczyścić ją z pyłu i trujących gazów. Sara przypatrywała się im, wbijając paznokcie w dłonie.

- Nie powinno było do tego dojść - rzekł Galen. - Moi ludzie są pedantyczni. Nie przeoczyliby żadnego ładunku wybuchowego w tym laboratorium.

- Ale doszło - rzekła bezdźwięcznym głosem. - A Logan może mówić o szczęściu, jeśli nie leży pod toną gruzu. Nawet jeżeli żyje. Nie mam pojęcia, jak się do niego dostać. Róg budynku zawalił się.

Monty przylgnął mocniej do jej nóg i uniósł ku niej wzrok. Znaleźć?

Pogłaskała go po głowie. Znaleźć?

Tak, trzeba mieć nadzieję, choć przejmują ją śmiertelny strach. A zatem nie ma co tu stać i trząść się. Może jest sposób. Słodki Jezu, miała nadzieję, że jest sposób. -"Znajdź". - Ruszyła ku dowództwu brygady ratowniczej straży pożarnej z Montym, biegnącym truchtem u jej nogi.

- Dokąd idziesz?! - krzyknął Galen.

- Robić swoją robotę.

Chryste, ależ tu ciemno.

Monty pełzł przed nią przez zgliszcza w rurze odpływowej. Ledwo go widziała, ale czołgał się bez przestanku. Wiedział, dokąd zmierza, złapał stożek.

Co nie znaczy, że Logan żyje.

Nie myśl o tym. Kiedy przedrą się przez tę rurę, znajdą żywego Logana. Powtarzaj to jak mantrę.

Logan żyje. Logan żyje. Logan żyje.

Ledwo mogła oddychać. Spojrzała na monitor, który nosiła na szyi. Nie ma trujących gazów.

Pewnie jej duszno z powodu betonowego pyłu i strachu. Wbijając łokcie w stosy gruzu z wolna posuwała się do przodu.

- Wszystko w porządku, Saro? - zapytał przez radiotelefon Donner ze stanowiska dowodzącego.

Nie, nie uważała, że cokolwiek jest w porządku. Była przerażona. Ale odparła:

- Tak. Znalazłam więcej korków powietrznych niż się spodziewałam. I udało mi się podeprzeć wszystkie słabe punkty.

- Na razie. Nie bądź takim wyczynowcem. Powinnaś stamtąd wyjść i wpuścić nas.

Nie mogła tego zrobić, wiedziała przecież, że będą zmuszeni przedsięwziąć środki ostrożności, które zabierają czas. Czas Logana.

- W porządku - powtórzyła. Mont y jęknął cicho.

Znała ten dźwięk. O Boże, znalazł coś. I to nic żywego.

- Nie mogę dłużej rozmawiać, Donner. Słyszę, że Mont y ...

Czołgała się, aż ujrzała Monty'ego, który stał nieruchomo.

Stał obok ciała, zmiażdżonego przez betonowe płyty.

Koło trupa.

O Jezu, spraw, żeby Mont y się pomylił.

Niechby w Loganie tliła się choć isierka życia, żeby mogła go uratować.

Podpełzła bliżej.

Krew. Pełzła przez krew.

- Spokojnie, chłopie. Przesuń się trochę. Muszę mu pomóc.

Mont y zaskomlał i stanął z boku.

Gdy światło jej latarki przeszło ciemność, Sarę skreśliło w żołądku. Krew. Tyle krwi.

Kałuże wokół głowy. O Boże, to nie Logan.

Rudzak.

Oczy szeroko otwarte, krew na białych włosach, na twarzy i gardle.

Nie żyje.

To nie Logan.

Poczuła tak wielką ulgę, że aż zaszumiało jej w głowie.

- Znajdź, Monty.

Spojrzał na nią, nie bardzo wiedząc, o co jej chodzi. Potem znowu ruszył wzdłuż rury.

Pięć minut. Dziesięć. Ciemność. Pył.

Mont y zaszczekał.

- Logan!

Zadnej odpowiedzi.

Ale widziała przed sobą Monty'ego, a w jego szczeknięciu posłyszała zapach.

- Logan! Odezwij się!

- Saro, co ty tu, do diabła, robisz?!

Omal nie zemdląca. Musiała na chwilę przymknąć oczy, nim zdołała odpowiedzieć.

- A twoim zdaniem, co robię? Ratuje cię.

- Więc wynoś się stąd i powiedz Galenowi, żeby mnie odkopał.

- Przestań mi rozkazywać. Gdzie jesteś? Nie widzę cię.

- Ja też cię nie widzę, ale słyszę. Jestem za jedną z tych zwalonych kolumn w laboratorium.

- Ile z nich runęło?

- Dwie, jedna jeszcze się trzyma.

Wślizgnęła się bliżej miejsca, skąd dochodził jego głos.

- Tu są zwały gruzu.

- To ci właśnie mówiłem.

- Ale chyba zdołam je ominąć.

- Zostań na swoim miejscu.

- Zamknij się. Jesteś ranny?

- Parę skaleczeń i siniaków.

- Nie zasłużyłeś na takie szczęście. - Wcisnęła się w zatarasowane przejście. Mont y zaskomlał ochoczo i usiłował wczougać się za nią.

- Nie, chłopie, to ty go znalazłeś. Dobry pies. Teraz powiedz Galenowi i Donnerowi.

- Ty idź i powiedz Galenowi - rzekł Logan.

- Idź, Monty.

Mont y spojrzał na nią niepewnie.

- Idź.

Odwrócił się i poczołgał z powrotem.

- Znalazłam Logana - odezwała się przez radiotelefon. - Chyba nic mu nie jest. Posłałam Monty'ego, żeby pokazał wam drogę. - Wyłączyła radiotelefon, po czym skierowała promień światła latarki na Logana. - No więc gdzie są te skaleczenia i siniaki, które ... Ty kłamczuchu. - Podpełzła bliżej miejsca, w którym leżał. - Złamana?

- Chyba tak.

- Jeszcze coś?

- A to nie wystarczy?

- Owszem. - Ręka jej drżała, gdy wyjęła apteczkę i uważnie obejrzała jego ramię. Przecięła więzy, które go krępowały, po czym otworzyła torbę. - Kość omal nie przebiła skóry. Ale nie lubisz, żeby cokolwiek szło zwy-czajnie, co?

- Przyganiał kociół garnkowi.

- Mogłeś oberwać w swój kretyński łeb.

- Przyszło mi to do głowy. Nie spodziewałem się, że Rudzak przed wyjściem zostawi jeszcze jeden ładunek. Wydawało mi się, że spenetrowaliśmy wszystkie miejsca. Zmieniłem plany laboratorium, nim je ukradł, tak by wy-dawało się idealnym celem. Wiedziałem, że zdecydował się...

- Zamknij się i zaciśnij zęby. - Unieruchomiła ramię i obandażowała je. - W porządku. Już po wszystkim.

- Cieszę się.

- Ja też. - Usiadła, spoglądając na niego. - Ale złamię ci drugie ramię, jeśli jeszcze raz będziesz miał przede mną sekrety.

- To było konieczne.

- Bzdura. Nawet jeśli nie wiedziałeś o drugim ładun-ku i tak musiałeś wysadzić tę rurę, tak czy nie? Podjąłeś ryzyko, przez co mogłeś ...

- Nie mógł dłużej żyć. Nie po tym, co zrobił w Kai Czi. Mam nadzieję, że go załatwiłem.

- Owszem. Mont y znalazł go, zanim się tu dostaliśmy.

- Bogu dzięki.

- Myślałam, że to ty. Ze nie żyjesz. - Położyła się obok, nie dotykając go. - Nie chcę już nigdy przeżywać takiego strachu.

- Można to nazwać niezwykłymi okolicznościami.

- Nieważne, jak to nazwiesz. To się nie może powtórzyć. Nie chcę, żebyś został ranny, połamał sobie kości al-bo umarł.

- Ja też nie.

- Więc bardziej uważaj na siebie. Nie możesz liczyć, że za każdym razem, kiedy wpadniesz w tarapaty, pospieszy-my ci z Montym na ratunek.

- Wezmę to pod uwagę.

- Bo będziemy musieli ci pomóc. Nie mamy wyboru.

- Dlaczego?

Milczała przez chwilę.

- Bo cię ... kochamy. Zesztywniał.

- Naprawdę?

- Nie żebyś na to zasługiwał. Ale już się stało. Należymy do ciebie.

- Boże drogi, jakież to romantyczne oświadczenie. Nie jestem pewien, czy to ty, czy Mont y poczuliście ...

- Ja. Mont y ma więcej rozumu. - Zwilżyła wargi. -I nie obchodzi mnie, ile kobiet kochałeś w przeszłości. Bo ja będę najlepsza i ostatnia. Pasujemy do siebie. Byli-byśmy wspaniałym małżeństwem. Dołożę wszelkich sta-rań i przypilnuję, byśmy stworzyli niezwykłą parę. I ty się o to też postarasz.

- Prosisz mnie o rękę?

- Nie. Mówię ci, że powinienes się ze mną ożenić, bo nie znajdziesz dla siebie nikogo lepszego, a ja cię nie puszczę przez najbliższe sto lat.

_ Nie musisz mnie tak żarliwie przekonywać. - Odchrząknął. - To ja pierwszy wyznałem ci uczucia. Szkoda tylko, że udzielasz mi odpowiedzi akurat w tym dole.

- Musiałam to z siebie wydobyć.

_ Czy przynajmniej możesz wziąć mnie za rękę? - Nie, będzie cię bolało. Złamałeś ją.

- Jakoś przecierpię.

Sięgnęła i ostrożnie splotła palce swoje i jego.

_ Kocham cię, Logan - wyszeptwała. - Nie myślałam, że zdołam pokochać kogoś aż tak bardzo.

Wiesz chyba, że to nie przemienie.

_ Jakoś się z tym pogodzę. - Oparł głowę na jej ramieniu, a ten ciężar był jej drogi, solidny i właśnie taki, jak trzeba. - Chcę tylko wiedzieć jedno. To bardzo ważne.

- Co takiego?

_ Czy kochasz mnie tak mocno jak swojego psa?

Epilog

Gdy tylko wysiedli z dżipa, dobiegło ich wycie wilczycy.

- Bogu dzięki. - Eve gwałtownym ruchem otworzyła drzwi domku i wpatrywała się w nich z irytacją. - Do końca życia nie chcę słuchać żadnego wilka. Zrezygnuję nawet z prenumeraty "National Geographic". Miałam zamiar dać temu zwierzęciu jakiś środek uspokajający, żebyśmy mogli trochę się przespać.

- Bardzo cię przepraszam - rzekła zakłopotana Sara. - Zajmiemy się nią. Gdzie są Joe i Jane?

- Wyszli pobiegać. Chyba chcieli na chwilę odetchnąć od Maggie.

- Jest aż tak źle?

- Aż tak. - Eve zerknęła na Logana. - Ten gips na rękę może ci się przydać.

Maggie zawyła.

Mont y szczechnął radośnie i zniknął w głębi domu.

- Lepiej bądźcie przy tym spotkaniu - poradziła Eve Sarze. - Maggie jest w okropnym humorze.

Może prze-gryźć mu gardło.

- Myślę, że wszystko będzie dobrze - rzekła Sara. - Zazwyczaj go toleruje. Ale rzucimy na nich okiem.

- Co macie zamiar z nią zrobić?

- Oto jest pytanie - rzekł Logan. - Myślisz, że spodobałoby się jej w Kalifornii?

- Nie. - Sara zmarszczyła brwi. - Nie możesz wywieźć jej z tego stanu. Władze na to nie pozwolą.

- Mogę cię zapewnić, że spojrzą na to przez palce.

- Nawet jeśli użyjesz swoich wpływów, co zrobimy?

Pozwolimy jej włóczyć się pośród tych wszystkich rezydencji na odcinku wybrzeża liczącym niespełna trzydzieści kilometrów? Lepiej jej będzie tutaj.

- I mamy ryzykować, że zastrzelą ją sąsiedzi z okolicznych farm?

- Nie, oczywiście, że nie. - Westchnęła. - Rzecz w tym, że Mont y ...

- Wiem - rzekł Logan. - Ma problem. - Przechylił głowę. - Co to?

Sara również słyszała ten pomruk, coś pomiędzy warknięciem i gruchaniem.

- Mont y? - Nie, to nie Mont y.

- Powołuję się na Piątą Poprawkę. Zrzuciłaś mi już jawną manipulację, a na razie ze skóry wychodzę, starając się przekonać ciebie, byś postawiła na mnie. Jeżeli wzbudzę twoje podejrzenia, możesz zabrać psa i ruszyć na wzgórze.

- I co wtedy zrobisz?

- Pognam za tobą. Wytropimy cię razem z Maggie. Oboje wiemy, czego chcemy, i nie zrezygnujemy z tego. Powiedziałaś mi, że gdy Maggie zapłonie do kogoś uczuciowo, to już na całe życie.

- A ty?

Uśmiechnął się.

Sama się przekonaj.

